ISSN 1425-1760 INDEX 332682

Gadżet Ziooom...

ŚLIZG

numer 08 / 92 sierpień 2003

cena 6 PLN (w tym 7% VAT)

rap graffiti breakdance deskorolka komiks



ISSN 1425-1760

92

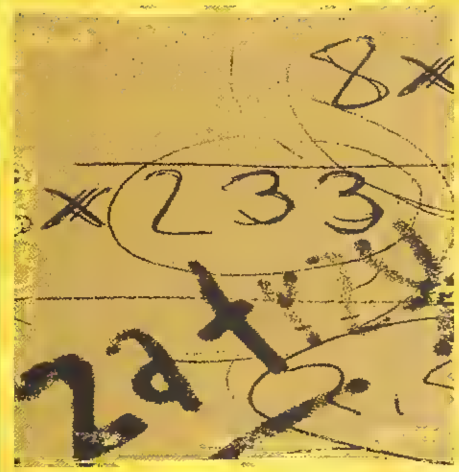
W ŚRODKU

INTRO INTRO



Wydawca - Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o. 00-258 Warszawa ul. Brzozowa 35, tel/fax +48(prefix)226359874 nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa 15001777-121770066518
Redaktor Naczelny: Łukasz Kowalski (rednaczkwl@go2.pl)
Sekretarz Redakcji: Kuba Demiańczuk (hellboy@wp.pl)
Dyrektor Artystyczny: Grzegorz Forin Piwnicki (forin@wp.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wuzeter@go2.pl)
Redaktor: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@go2.pl)
Redakcja techniczna i dtp: Sławomir Adam Barański (adam.sklad@wp.pl)
Ilustracje: Marek Oleksicki (moleksicki@wp.pl)
Zespół: Rafal Wielgus, Pawelec (pawelec_slg@o2.pl), Flintstone, Wiedźma Cessya, Fala, Sebastian Imbierowicz, Rafal Skarżycki, Tomek Leśniak, Sebastian Rerak
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@wp.pl)
Sekretariat: Aneta Haladyj
Finanse i księgowość: Alicja Wlodarczyk
Druk i przygotowanie: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi

ELO!!! NOWY ADRES REDAKCJI!!!
Ślizg
ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa
tel/fax +48(prefix)22 8254907, 8255069



DJ OSTASZ

„DJ Ostasz, to w tym numerze Ślizgu bardzo ważna postać" - bo otwiera sierpniowy SLG. Człowiek o wielu twarzach, wykonujący wiele różnych profesji. Przede wszystkim didżej, organizator imprez i koncertów, promotor, menedżer i współwłaściciel wytwórni nagraniowej Wielkie Jol, wraz z Markiem Zioło współtwórca agencji koncertowej Bongos. Związany z Gib Gibon Składem. Lubi też powyżywać się dziennikarsko, czytelnicy Ślizgu mieli już okazję go poznać i taką okazję jeszcze z pewnością będą mieli.

Po tych wszystkich oficjalnych elementach prezentacji dodamy tylko, że Ostasz jest sympatycznym typem, czasami lekko zakręconym, ale to zawsze pozytywna zakrętka wynikająca z dużej ilości zadań, których non stop się podejmuje. Idealna osoba, by rozpocząć sierpniowy, wakacyjny, megawypasiony numer Waszego ulubionego magazynu. Jol!



trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
fizyka, chemia, plastyka
trzy postacie - bohaterowie:
w dzieciństwie to był Tomek Wilmowski z serii „Przygody Tomka"; Wokulski z „Lalki"; no i oczywiście mój ojciec
trzy antypatie - leszcze:
rano nie lubię tak naprawdę wszystkich ludzi; moja wychowawczyni ze szkoły średniej - pani Szyszko oraz międzynarodowe koncerny olejowe za to, że powstrzymują rozwój świata
trzy napoje:
woda, herbata, piwo
trzy potrawy:
wszelkie formy kurczaka (przygotowywany po polsku, chińsku, wietnamsku, indyjsku, meksykańsku, czyli na słodko, na ostro, na normalnie), krwiste steki i karp w galarecie
trzy programy TV:
programy o muzyce, snowboardzie i desce
trzy płyty:
Gangstarr „Moment of Thruth", Snoop Dogg (i klasyczne, i nowe), G-Unit Soldier!!!!!!!
trzy filmy:
Pulp Fiction, Gwiezdne Wojny (zwłaszcza „Imperium Kontratakuje") oraz Miś Barei
trzy książki:
Trylogia Tolkiena, „Diuna" Franka Herberta i „Zbrodnia i Kara" Dostojewskiego
trzy kolory:
zielony, czerwony i biały, ale najbardziej na pewno zielony
trzy cyfry:
5,7,9 - nie wiem dlaczego
trzy imiona:
Piotr, Stanisław, Mateusz - bez komentarza
trzy napisy na murach:
„Jolka kocha Olka", „Polska dla Polaków, ziemia dla ziemniaków" i „Balcerowicz musi odejść"
trzy dziewczyny:
moja mama, moja dziewczyna Joanna i kiedyś podobała mi się Mariah Carey, dopóki nie skapowałem się, że jest strasznie niska...
trzy miejsca:
WWA, NYC, Praga (czeska)
trzy zainteresowania:
muzyka, sport (snowboard, tenis ziemny, deskorolka) i prawo
trzy gadżety:
moje gramofony, zegarek Rolex (kupiony na ulicy od Czarnucha za 20$) oraz torba dj'eska na kółkach, którą bardzo chciałbym mieć
trzy ulubione słowa:
ziooom, gibon i pejs
trzy sukcesy:
ukończenie studiów na UW, Bongos Promocja i Wielkie Jol
trzy porażki:
chyba największą był wybór liceum, a tak to jakieś mniejsze, o których nie pamiętam i nie chcę wspominać
trzy plany na przyszłość:
robić swoje, nie dać się wyprzedzić, rozwijać się
trzy rzeczy ode mnie:
być sobą, nie zwracać uwagi na złą energię, szacunek do siebie nawzajem

idea: zrób to sam
temat: membrana



Siemanko! Oto przed wami nowy numer SLG, a w nim druga część cyklu „Idea: zrób to sam". W zeszłym odcinku zaproponowaliśmy wam w jaki sposób można zbudować skrzynkę do grindowania i slide'owania dla deskorolkowców. Mamy nadzieję, że nikt nie przybił sobie do skrzynki ręki, albo czegoś innego, i już dusicie triki na gotowych boxach. Przyślijcie nam zdjęcia gotowych przeszkód, co? A przy okazji może to być dobry pomysł na fotkę do naszego ekstremalnego konkursu fotograficznego (sprawdź w Bazaarze). Do tego wszystkiego Rednacz postanowił ufundować roczną prenumeratę Ślizgu dla majsterkowicza, który jako pierwszy przyśle nam zdjecie gotowej skrzynki. Dobra, do rzeczy: skrzynka była w zeszłym numerze, a w tym pora na małe udogodnienie dla pretendentów na mistrzów mikrofonu. „Mic check, mic check, one, two", każdy kto próbował nagrać swój głos, wie jakie są problemy z uzyskaniem czystego i dynamicznego brzmienia. Słychać to chociażby na materiałach, które przysyłacie nam na konkurs Nielegalna Akcja SLG. Jest tego naprawdę sporo, niektóre nagrania są bardzo pomysłowe i ciekawe, jednak często cały efekt psują źle nagrane wokale. Nie wymagamy od was, żeby były to materiały nagrane w studio, każdy przysyła nam takie rzeczy jakie może nagrać, ale możemy spróbować wam pomóc robić to lepiej. Tak więc postanowiliśmy przedstawić konstrukcję prostą, ale jakże przydatną każdemu mc i realizatorom nagrań. „MC's beware!" - UWAGA MC's! Przygotujcie się do zrobienia swojej własnej „membrany" na mikrofon, co by się wam lepiej rapy nagrywało, jo!! Dzięki temu wasze słowa będą „oczyszczone" z nadmiaru podmuchów powietrza, głos będzie równiejszy i wyraźniejszy. Do wykonania „membrany" potrzebne będą: kawał drutu (może być na przekład druciany wieszak), pończocha (może być to pończocha dziewczyny, ewentualnie mamy, jednak my polecamy kupić w sklepie nową i przeznaczyc ją tylko do tego celu). Może się przydać jeszcze taśma klejąca do przymocowania gotowej konstrukcji do statywu od mikrofonu. I teraz nastąpi opis wykonania, który jest banalnie prosty: jeżeli używamy wieszaka rozginamy go tak, żeby to był prosty kawał drutu, lub po prostu bierzemy prosty, w miarę gruby drut, długości około metra. Z jednej strony drut ten zaginamy w taki sposób, żeby powstał owal. Zakręcamy końcówkę dookoła i zaklejamy to łączenie taśmą, żeby nie było ostre i nie poszarpało nam pończochy. Pończochę nakładamy na powstały kształt zawiązując ją dość ściśle u dołu tak żeby opinała się dokładnie na owalu z drutu. I to by było na tyle. Z pozostałego końca drutu kształtujemy ramię którym przymocujemy „membranę" do statywu mikrofonu. Teraz nie pozostaje nic innego, jak tylko podłączyć się do sprzętu i nagrywać „Mic check, mic check, one, two, three! Yo!". Mamy nadzieję, że pomoże wam to uzyskać lepsze rezultaty nagrywek, co na pewno odbije się na jakości projektów, które przesyłacie do naszej redakcji. Joooooot!



GLOBALNE KOWALSTWO

Radiomainstreamizacja

nigdy nie byłem fanem Radiostacji, bo wkurzała mnie nadęta pewność siebie większości prowadzących zamieszczane w niej audycje, że są autorytetami w swojej dziedzienie ostatecznymi. to jednak tylko maniera postaci medialnych, jak najbardziej dopuszczalna, która nigdy nie zmieniła mojego zdania, że Radiostacja jest medium potrzebnym. potrzebnym, bo innym, alternatywnym, nie idącym z prądem list przebojów, czy jak tam chcecie to sobie nazwać. do audycji rapowych nigdy nie miałem większych zastrzeżeń, raz były dla mnie bardziej strawialne, raz mniej, w każdym razie gdy skończyły mi się płyty w samochodowym schowku, zawsze mogłem włączyć radio i nie rzygać kolejny raz odtwarzanym Zucherro czy innym Garou, których również uważam za potrzebnych, ale akurat nie mnie.

Radiostacja miała swój image, była jakimś tam - choć brzmi to górnolotnie, a takim nie jest - głosem wolności, świeżości, pewnej kreatywności. czy będzie taka nadal? wiele wskazuje na to, że nie.

można lubić Druha Sławka bądź JMI, że akurat ich dwóch wymienię, można ich nie cierpieć, nie można jednak odmówić im wizji hip-hopu i pomysłu na jego przedstawianie. ja akurat obydwu panów lubię, choć może nie zawsze nasze gusta muzyczne się pokrywają, w każdym jednak razie robili dla uświadamiania sporej grupy odbiorców rapu w Polsce dużo, serwując im wyselekcjonowane kawałki i pokazując różne oblicza muzycznego elementu kultury hip-hop. tych dwóch panów, i zresztą nie tylko ich, nie będzie już w Radiostacji, gdyż wydawcy stacji doszli do wniosku, że nie są fajni oraz że słuchacze, o których walczą, nie tego oczekują. żeby było śmieszniej, wydawcy nie do końca sprecyzowali, czego słuchacze Radiostacji mogą ewentualnie oczekiwać, w każdym razie zwolnienia stały się faktem.

kraj nasz piękny i w bogactwa zamożny walczył o demokrację oraz kapitalizm lata całe, toteż w dobie wolnego rynku właściciel medium może sobie robić, co mu się żywnie podoba, gdyż kapitalizm na to pozwala. czasami jednak ważne są kryteria, którymi posługują się wspomniani wydawcy, bo o misji mediów nie ma już potrzeby pieprzyć bez końca, gdyż misja dotyczy tych - jakby to nie brzmiało - publicznych. choć może i dwa słowa o misji - misja więc w przypadku mediów prywatnych to osiągnięcie jak najwyższej ceny za emitowaną reklamę, co przekłada się na jak największą ilość zainteresowanych medium. kryteria - dotrzeć do nich. efekt? gusta masowe to gusta masowe, szanujmy je, ale nie zawsze są one za fajne, skąd i w telewizjach teleturnieje, których ideę pojmie każdy odróżniający psa od kota (nic poza tym), seriale wypełnione wartościami chrześcijańskimi (do wartości nic nie mam, ale jeżeli stanowią one jedyny smaczek, to robi się nudno) oraz filmy o dupczeniu bądź zabijaniu w najprostszym ujęciu, a reszta tematów po 23.30. dodatkowo tak się porobiło, że media komercyjne niczym się już nie różnią od prywatnych, a jeden kabaret Olgi Lipińskiej miesięcznie czy Plama Rewińskiego i Piaseckiego raz w tygodniu to trochę za mało, by było naprawdę śmiesznie. dupa więc jest blada, wszystkim rządzi Michał Wiśniewski (choć on akurat powoli staje się klasykiem ośmieszania tych, którzy płacą mu pieniądze, co nie do końca jest złe, jeżeli założy się, że to prowokacja, a nie kreacja, na co powoli zaczyna wychodzić) oraz Maryla Rodowicz i Daniel Olbrychski liżący do spółki patyki pokryte zmrożoną postmleczną papką, smacznego.

nie mam nic przeciwko mainstreamowi, za stary już jestem, by bez sensu pisać o komercji, undergrondzie i pochodnych, skoro i tak to wszystko sprowadza się w moim przypadku do „podoba się" bądź „się nie podoba". każdy tak ma, tylko jeden woli nadużywać terminologii, a inny zmarnuje energię na pożyteczniejsze rzeczy, jak choćby spacer z kotem po tarasie (jak ma taras, jak nie, to może na przykład nauczyć kota korzystania z kuwety, na co nigdy nie jest za późno). tylko co zrobić, gdy ordynarny polski mainstream jest już wszędzie, a miejsca takie jak Radiostacja coraz bardziej się ku niemu pochylają? bo choćby nawet Radiostacja bez Sławka, JMI i reszty pogonionych z niej didżejów zachowała swój charakter (na co są takie szanse, jak na odkrycie, co śniło się Freudowi), to i tak nie zmieni to faktu, że media w Polsce w głębokim poważaniu mają tych, którym nie podoba się Klan, Familiada, czy też program redaktor Ewy Drzyzgi.

.:KOWALSKI:.

W KRAINIE GADŻETÓW



Oto nowiuśkie obuwie, prosto od firmy Puma. Jak macie takie na nogach, to wiele rzeczy przychodzi łatwiej: sport czy podryw, wszystko jedno. Mogą się przydać nawet wtedy gdy towarzysz właśnie podrywanej dziewczyny wykaże wobec was zdecydowanie wrogie zamiary. Biega się w nich bowiem lekko i przyjemnie. Są dostępne (buty, a nie dziewczyny do wyrywania) w rozmaitych kolorach i różne model. Ten spodobał się nam szczególnie, bo barwą przypomina zachód słońca nad morzem w sierpniu...



Na wakacjach to normalnie każdy chciałby w jakiś sposób zwrócić na siebie uwagę płci przeciwnej, żeby później wspólnie spędzać czas wolny na rozmaitych grach i zabawach (intelektualnych). W tym celu należy używać nie tylko umysłu, ale również wszelkich wspomagaczy w postaci kosmetyków na przykład. A jeśli już kosmetyki, to dlaczego nie adidas 3 (dla pań biały, dla panów czarny), który swoim zapachem zniewoli każdy upatrzony cel Waszych podbojów towarzyskich...





Nervous to brand stworzony przez Bartka Milczarka. Wzory na koszulkach wyraźnie odróżniają się od reszty dostępnej na naszym rynku. Nie znajdziecie tam popularnych w Polsce motywów sportowych, tylko surowe, old schoolowe klimaty. Mnie najbardziej podoba się logo z kartami. Jak na deskorolkową firmę przystało, nie ogranicza się ona tylko do produkcji ubrań, w jej asortymencie są również łożyska. Są one super szybkie i bardzo wytrzymałe. W przyszłości oferta Nervoua ma się jeszcze poszerzyć o deski, na co niecierpliwie czekamy. A koszulki i łożyska możecie obejrzeć na zdjęciach powyżej.



Angielscy prześmiewcy spod szyldu Monty Pythona nakręcili wspólnie sporo rzeczy: kultowy serial i kilka filmów, które na trwałe wpisały się już do historii kina. I oto zestaw, w którym znajdziecie trzy najważniejsze: „Monty Python i Święty Graal", „Żywot Briana" oraz „Sens życia według Monty Pyhtona". Wszystkie bardzo, bardzo śmieszne, czasami mocno przegięte, ale znać je trzeba koniecznie. Gdybyśmy jeszcze doczekali się pełnego wydania serialu „Latający Cyrk Monty Pythona" to byłoby już naprawdę pięknie...



Deseczka, którą widzicie, nie jest może najnowszym modelem, ale ze względu na jej grafikę postanowiliśmy ją jeszcze teraz zaprezentować. Christian Svitak jest jak wiadomo z pochodzenia Polakiem i od czasu wizyty w naszym kraju często akcentuje swoją polskość, na reklamach obok loga Black Label z reguły widnieje nasze godło, często nosi koszulki z orłem i postanowił też mieć sobie deseczkę z naszym orzełkiem, który choć co prawda nie jest biały, ale i tak cieszy oko.



Letni kapelusz Moro będzie idealnym dodatkiem na słoneczne dni nie tylko w tropikalnej dżungli, ale także dużo bliżej, np. nad zatoką helską. Chroni łepetynę przed nadmiarem słońca, co jest ważne, bo to podobno niedobrze przegrzewać nasz główny procesor. Gdy wieje wiatr można go zawiązać pod szyją i nie spadnie nam z głowy, spokojna wasza głowa. Oprócz tego Moro na tegoroczne lato przygotowało wiele wzorów koszulek i krótkich spodenek

NUDNE WAKACJE?



NOC ŻYWYCH TRUPÓW
reż. George Romero

Niekwestionowany klasyk filmów grozy; ci, którzy horrorem się interesują, znać go muszą, pozostali powinni spróbować.Oczywiście to nie Romero wymyślił zombie: ożywieni nieboszczycy to pomysł znany zapewne od starożytności, popularny w średniowieczu i XX-wiecznej literaturze grozy, że nie wspomnę już o karaibskich kultach voodoo. Ale to Romero pierwszy pokazał żywe trupy publiczności w taki sposób, że na stałe weszły do kanonu horroru, strasząc widzów do dziś. W nakręconym ponad 40 lat temu obrazie trupy powstają z martwych i atakują ludzi w celach czysto konsumpcyjnych. Ożywione zostały przez niezbadaną aktywność kosmicznych promieni, jednak to nie przyczyna jest tutaj istotna, a efekt. Do walki z potworami staje na szybko skonstruowana „armia" amerykańskich redneckòw, dowodzona przez burakowatego szeryfa. Tymczasem w oddalonym od cywilizacji domu garstka przypadkowych podróżnych walczy o przetrwanie. Naprawdę, większość współczesnych horrorów, epatujących krwią i przemocą, nie robi takiego wrażenia jak ten. Tym bardziej, że szybko orientujemy się, że ludzie w tym filmie pokazani, nie są wiele lepsi od zombie. Żywe trupy są bowiem niczym bezduszne automaty, natomiast ludzkie okrucieństwo jest przemyślane, drobiazgowo zaplanowane i bardzo egoistyczne. Dodatkowym hitem, i to na dużą skalę, jest druga płyta tego wydania dvd, zawierająca wszelkiego rodzaju dodatki i to naprawdę atrakcyjne. Od najbardziej oczywistych zwiastunów (a warto się przekonać jakie postępy poczynili amerykańscy realizatorzy trailerów) i filmografii po arcyciekawe dokumenty, dotyczące wpływu sytuacji politycznej świata na rozwój horroru (!). Wszystko świetnie przygotowane i na dodatek opatrzone napisami w języku polskim. Po mocnym seansie czeka Was więc jeszcze sporo oglądania. Polecam gorąco! (jd)



NEKROSKOP
Brian Lumley
wyd. vis-a-vis / Etiuda

Pierwszy tom wieloczęściowego cyklu, niegdyś już w Polsce drukowanego, ale z pewnością wartego przypomnienia. Tym bardziej, że podczas swojej premiery utonął chyba w powodzi szmirowatych horrorów zalewającej wówczas nasz rynek, a teraz ma szansę zaistnieć na nowo. Bohaterów jest tak naprawdę dwóch: tytułowy nekroskop Harry Keogh oraz nekromanta (a jaka jest różnica między tymi pojęciami dowiecie się z książki) Borys Dragosani, pracujący dla radzieckiego (akcja toczy się w latach 70. ubiegłego wieku) wywiadu. Jak to często bywa ciekawszą postacią jest tutaj Zły, czyli Dragosani, zafascynowany legendą o Nosferatu i utrzymujący telepatyczny kontakt z ostatnim potomkiem prastarego rodu wampirów. Nekromanta dąży do zdobycia zakazanej wiedzy, zaś zaniepokojony jego poczynaniami wywiad brytyjski werbuje Keogha, który dzięki wiedzy zdobytej od duchów zmarłych staje się naprawdę potężnym przeciwnikiem. Niech was nie zrazi brzydka okładka i odpychająca scena „przesłuchania" prowadzonego przez Dragosaniego (a znajdziecie ją niemal na samym początku książki). Powieść Lumleya to całkiem porządna rozrywka, choć rzecz jasna przeznaczona dla czytelników, którzy lubią literacką makabrę. Na pewno nie poczują się zawiedzeni. (jd)



ACHAJA
Andrzej Ziemiański
wyd. Fabryka Słów

Pierwsze skojarzenie, jakie miałem po przeczytaniu tej książki, to skurwysyństwo. Z „Achai" aż bije wszelkimi złymi uczuciami. Bohaterowie są z reguły źli, przewrotni, a ci pozytywni chcąc nie chcąc i tak robią złe rzeczy. Właściwie to do końca pierwszej części („Achaja" jest początkiem cyklu) nie wiadomo tak naprawdę, kto reprezentuje jakie wartości, najgorsza postać może się okazać największym strażnikiem ładu, natomiast ten, którego utożsamialiśmy z dobrem, w rzeczywistości może być demonem zła. Poza tym muszę powiedzieć, że jest to bardzo dobrze napisana powieść fantasty, opisująca losy czwórki niezależnych od siebie bohaterów (księżniczki, która trafiła do niewoli, dwójki oszustów chcących zawładnąć światem i maga nękanego zarówno przez pozytywnych jak i negatywnych bogów). Od samego początku wiedziałem, że nie mam przed sobą zwyczajnej heroic fantasty ze smokami i dzielnymi rycerzami. Ziemiański pozbawia złudzeń czytelnika od pierwszych stron powieści, a później jest tego coraz więcej. Świat powieści jest przedstawiony bardzo realistycznie i złowrogo, mało jest w nim kolorów - dominuje posępny cień, w którym toczą się ciemne rozgrywki bohaterów. Ze względu na to, jak i na mnogość wyrazów powszechnie uznanych za obraźliwe nie polecałbym tej lektury młodym czytelnikom, natomiast starszym rekomenduję ten majstersztyk. Wreszcie polskie fantasty doczekało się - po „Wiedźminie" - czegoś oryginalnego. Czyta się to z zapartym tchem. (O)

FLINTSTONE

ŚPIEW ŻÓŁTOODZIOBA

Lubię słuchać undergroundu, interesować się działającymi w podziemiu zespołami z całej Polski. Po pierwsze, dużo tam pereł (rzuconych przed wieprze, rzecz jasna), po wtóre, całkiem pocieszne to widowisko - niektórzy mają rybki, inni oglądają reality show, ja mam to. Najzabawniejsze jest obserwowanie tych samych schematów zachowań. Z jednej strony to irytuje, ale gdy spojrzeć z dystansem rozczula, lub, co więcej, bawi.

Zaczyna się oczywiście od nagrania materiału. Lepszy czy gorszy - zawsze to powód do dumy. Swoją drogą po pierwszym nielegalu szybko przychodzą kolejne, bądź pojawia się kontrakt z jakimś „lejbelem", który łaskawie wyda nagranie, uprzednio zrealizowane i zmasterowane przez wykonawców. Oczywiście nie płacąc nic, ewentualnie jakieś kieszonkowe, dzięki któremu raperzy będą mogli powiedzieć mamusiom, że zarabiają i że trzeba traktować ich „kulturę" poważnie. Ale nie to jest istotą rzeczy.

Nagrywarki są tanie, więc niebawem nielegal taki krąży po regionie, kolejnych osiedlach, zaczynają się nawet koncerty, gdzie wykonawcy czują się dobrze, przywożąc ze sobą zestaw słuchaczy i tak znających już teksty, a więc takich, którym nie przeszkadza, że owych tekstów zazwyczaj nie słychać. Samopoczucie i pewność siebie rosną, koledzy i widzowie kadzą jak należy, gimnazjalne groupies uśmiechają się słodko. Przychodzi więc okres, kiedy należy wysłać nagranie do prasy.

Tu następuje szok. Pismaki (wiadomo, że każdy rapowy pismak próbował się realizować czynnie na którejś z hip-hopowych niw, kto mówi inaczej, kłamie) mają czelność nie dostrzegać genialności dzieła i widzieć w nim jakiejkolwiek wady. To, proszę państwa, oznacza sitwę, no, normalnie Rywin, Agora i Michniki z dyktafonami. „Niepowtarzalni", „wyjątkowi" i oczywiście „zajebiści" zaczynają snuć teorie konspiracji. „Bo on promuje tylko znajomych" (każdy, kto próbował recenzować, wie jak inaczej patrzy się na płyty ludzi, których się zna i ile to samomobilizacji wymaga), „bo się uwziął, a tak w ogóle to pedał i nic mu się nie podoba", „bo nie pozdrowiłem go na moim świeżo wypalonym na Platinum cd nielegalu", „bo ja jestem z innego miasta, które nie lubi takiego i takiego klubu piłkarskiego". Jakkolwiek. Niemniej jednak z drugiej strony taki pismak ma przecież i dobre strony. Może zrobić wywiad, a dzięki temu uda się grać koncerty na takich fajnych, dużych festiwalach, gdzie dają piwo za darmo, nie zaś na szkolnych dyskotekach. No i może groupies będą wreszcie trochę ładniejsze. Cóż, więc następuje taki wywiad, bo pismak ma poczucie winy z powodu tego, że śmiał wytknąć wady w „superprodukcji" i że „podcina skrzydła młodym zespołom". W wywiadzie taki młody zespół mówi same mądrości. Prasa kłamie, wszystkim rządzą koneksje, a tak w ogóle to liczy się prawdziwość, niezależność i walka z Babilonem, i trzeba nie dać się sprzedać, jot. Obowiązkowo parę dissów na weteranów sceny, trzeba być kontrowersyjnym, a żeby dopchać się do koryta, ktoś musi zrobić miejsce. Kolejna dygresja - walka „pokoleń" w hip-hopie jest naturalna, z tym, że to wszystko zatacza koło. Eis pytał „Kto to jest kurwa 600V?", 600V czekał na okazję i po publikacji nagrań T1 w Popcornie rzucił kąśliwą uwagę o „schoolbag mc's", teraz (jak to ktoś przede mną już zauważył) sam jest „schoolbag beatmaker", bo ileś jego podkładów jest w kolorowym szmatławcu. Wróćmy jednak do tematu.

Do czego tu jednak wracać, wszystko właściwie powiedziane, przydałby się jednak w bajeczce morał. Scena bardzo dojrzewa, wielu kłótliwych przyznaje się, że część ich dawnych zachowań to szczeniackie jazdy. Niemniej jednak jest coraz sympatyczniej, coraz normalniej i duża przyjemność poznać tych, co rap ileś czasu tworzą. Nowe twarze są jednak zaperzone, zadufane i uważają się czasem za pępek świata. Przykre jest to, że jeżeli nie przejrzą na oczy, nigdy nie będą lepsi, do końca życia jako lokalni hustlerzy będą grać po wsiach za zwroty. Dziennikarz może mieć manię, doszukiwać się afer i sensacji, patrzeć na ręce. To jego praca i niezbędny element nadzoru. Nieopierzeni raperzy i producenci powinni zaś spojrzeć na siebie z boku. Ja też wiem, że dziś każdy, kto choć trochę umie (z wyjątkiem paru nieszczęśników), wydaje płytę. To o niczym nie świadczy. Zadzierajcie nosa, zadzierajcie. On cały czas rośnie.

.:Flintstone (CS):.



ROZWIĄZANIE KONKURSU ANIMATRIX

Poprawna odpowiedź na pytanie związane ze światem Matrixa brzmi: w rolę Persefony w „Matrix Reaktywacja" wcieliła się Monica Bellucci. Nagrody otrzymują: płyty DVD - Natalia Kiełbowicz (Gdańsk), Bernard Kolasa (Warszawa), Michał Zientara (Kraków); kasety video - Irena Plis (Hajnówka), Krzysztof Olszewski (Czeladź), Łukasz Sokalski (Łowicz). Gadżety Animatrix otrzymują: Jarek Malicki (Skarżysko Kamienna), Michał Chruściel (Siennica), Paweł Wylądek (Bytom), Leszek Janiak (Chorzów), Patrycja Nakielska (Olsztyn). Gratulujemy!!!

LETNI KONKURS FOTOGRAFICZNY

Wakacje trwają, słońce raz świeci, raz nie, ale mamy nadzieję, że bawicie się dobrze - gdziekolwiek spędzacie czas wolny. Przypominamy Wam więc o naszym Letnim Konkursie Fotograficznym - czekamy na zdjęcia wszelkich ekstremalnych akcji - temat zdjęcia jest dowolny, ma być jedynie hardkorowo.

Przypominamy o nagrodach, o które warto walczyć: **dwie profesjonalne amerykańskie deskorolki, ekstremalne bluzy i plecaki**, a oprócz tego **możliwość współpracy z naszym magazynem**, z możliwością podejrzenia pracy naszych fotografów i poznania podstawowych zasad obróbki zdjęć i fotoedycji.

Aparaty w garść i polujcie na ekstremalne sytuacje! Swoje fotograficzne dzieła przysyłajcie na adres redakcji (uwaga NOWY ADRES, choć rzecz jasna te zdjęcia, które dotarły na stary adres też biorą udział w konkursie): **Ślizg, ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa** z dopiskiem KONKURS FOTOGRAFICZNY. Przypominamy, że do zdjęć muszą być dołączone dwa kupony: ten, który widzicie obok i kupon z numeru lipcowego. Czekamy!

ŚLIZG

letni konkurs fotograficzny

sierpień nr 92

imię ....

nazwisko ....

adres ....

....

THE FIRM · flip skateboards · PREMIUM skateboards · Duffs · NOKIA

KOMIKSOWE NOWOŚCI:

Ponieważ przy recenzjach miejsca nieco zabrakło, tym razem komiksowe wieści wyjątkowo w bazarze. W czerwcu (poza recenzowanymi dalej) ukazały się: **Egmont**: Dylan Dog. Partia ze śmiercią, Eden tom 5, Kajko i Kokosz. Wielki turniej, Gundam Wing tom 5, Lanfeust z Troy tom 6. Cesarzowa C'ixi, Tellos #3, Wayne Shelton. Zdrada. **JPF**: Akira 18. Rezonans, Chobits tom 1, Cowboy Bebop tom 1, Slayers tom 1, Oh My Goddess tom 21, X tom 18. **Motopol**: Frank Lincoln tom 2, Władcy chmielu tom 5. **Amber**: Star Wars. Ciemność tom 2. Ponadto pojawił się drugi tom przygód Wilqa (rewelacja!) oraz nowy numer magazynu **KKK**, tym razem poświęcony głównie komiksom erotycznym. - Potwierdziły się pogłoski o upadku wydawnictwa **Fun Media**. To spora strata, zwłaszcza jeśli pomyśli się o ich planach i zapowiedziach. - Także **Podsiedlik**, zgodnie z zapowiedziami, wstrzymał wydawanie komiksu, na otarcie łez publikując czwarte części Arii i Charly'ego. Być może wydawnictwo wznowi publikację albumów od początku przyszłego roku. - Wydawnictwo **Mandragora** zapowiedziało publikację pierwszych siedmiu tomów przygód Usagiego (Egmont, z powodów licencyjnych, rozpoczął edycję od części ósmej). Start we wrześniu. - Jeśli spędzacie wakacje w Warszawie, warto wybrać się do dwóch galerii. W **Zachęcie** wystawiane są prace Magdy Bielesz, inspirowane między innymi mangą (a zwłaszcza Czarodziejkami z Księżyca), ekspozycja czynna do końca sierpnia. Natomiast w **Austriackim Centrum Kultury** (ul. Próżna 8) trwa wystawa prac Petera Steinera, rysownika współpracującego m.in. z The Washington Times (ilustracja obok).



(c)The Washington Times

WuWuWu



www.stonesthrow.com

W numerze możecie poczytać nieco o Madlibie (aka Quasimoto), a jeśli znajdziecie chwilę, to zapraszamy na oficjalną stronę wytwórni Stones Throw, dla której bohater naszego artykułu nagrywa swoje płyty. Poznacie tu większość wykonawców, którzy wydają w ST, dowiecie się trochę o histori wytwórni, o jej planach i największych projektach. Prosty, czytelny design, łatwa nawigacja i sporo ciekawostek - warto zajrzeć od czasu do czasu.



www.blaktwang.net

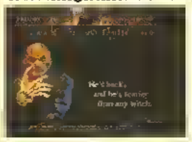
Blak Twang odwiedził niedawno Polskę i być może część z was zapałała nagle nieodpartą chęci dowiedzenia się czegoś więcej o angielskim raperze. Oto jego oficjalna strona internetowa, na pierwszy rzut oka dość efektowna, ale tak naprawdę raczej uboga w wiadomości. Na dodatek część linków nie działa. Szczegółowych informacji o Blak Twangu trzeba raczej szukać na stronach fanowskich, ale i ten adres warto znać, bo już wkrótce ma zadebiutować nowa wersja strony BT. Podobno ma być kozak.



www.alanmoorefansite.com

Skoro już wspomnieliśmy o stronach fanowskich... Ta poświęcona jest jednemu z najwybitniejszych scenarzystów komiksowych w historii, Anglikowi Alanowi Moore'owi. W Polsce jest dość słabo znany, ale ten stan ulegnie zmianie, bo już wkrótce premiery jego komiksów: „Liga Niezwykłych Dżentelmenów" i „Watchmen - Strażnicy". A ze strony - prowadzonej najwyraźniej przez jakichś maniaków - dowiecie się o twórcy dosłownie wszystkiego, autorzy serwisu naprawdę trzymają rękę na pulsie. Być może Moore ma też jakąś stronę oficjalną, ale chyba nie jest mu potrzebna...

www.nightmareonelmstreet.com



Freddy Kruger to jeden z najsłynniejszych potworów we współczesnym filmowym horrorze. Jego morderczej działalności poświęcono już siedem filmów, a w ósmym Kruger stanie oko w oko z mordercą z „Piątku 13", Jasonem Voorheesem (swoją drogą pokazanym wcześniej w dziesięciu filmach). Czy i kiedy zobaczymy film „Freddy vs. Jason" w polskich kinach nie wiem, ale z opisywanej strony dowiecie się przynajmniej wszystkiego o Freddym i filmach o nim. Kultowa seria, kultowa postać, fajna strona.



FALA

MENEDŻERA OD ZARAZ

No bo któż to jest menedżer? Najkrótszym zdaniem można powiedzieć, że jest to reprezentant, w tym wypadku - nazwijmy to tak nieelegancko - artysty. Reprezentant to nie znaczy szef, nie znaczy doradca, nie znaczy zwierzchnik, to znaczy pomocnik. Zadaniem menedżera jest pomaganie artyście czy to w kreowaniu wizerunku, czy to w negocjacjach finansowych, czy też w załatwianiu spraw, gdy artysta sam ich już nie ogarnia. Pomoc jego głównie zresztą koncentruje się na celu, jakim jest sprzedawanie płyt wykonawcy, organizuje mu więc koncerty i przejmuje wszystkie sprawy organizacyjne po to, żeby artysta mógł się zająć tylko i wyłącznie swoją robotą.

Oczywiście menedżera można wykorzystać do bardziej błahych spraw, jeśli „gwieździe" zależy na przylansowaniu się przed innymi, ma spore poczucie humoru, lub naprawdę źle się czuje i musi - tak po ludzku - poprosić kogoś o pomoc w sprawach, w których powinna zrobić to sama. Inną przyczyną tego, że menedżerowie wtykają nos w niekoniecznie ich sprawy, jest po prostu fakt, że zarówno menedżer, jak i artysta nie wiedzą do końca, gdzie ich własne kompetencje zaczynają się i kończą.

Dlaczego o tym piszę? Jako dziennikarka muzyczna często spotykam się z różnymi wykonawcami sceny hip-hopowej i to zarówno polskimi, jak i przyjezdnymi. Zabawne jest to, że łatwiej dogadać się często z anglojęzyczną międzynarodową sławą, niż z raperem, z którym wychowałam się na jednym podwórku. Na pierwszym planie stoi oczywiście kwestia błędnego podejścia do dziennikarzy... Za granicą wywiad traktowany jest jako obowiązek, a nie łaska ze strony artysty. W końcu też nie robi on nikomu łaski, że wypuszcza singiel do rozgłośni, a wywiad w gazecie jest jego papierowym odpowiednikiem.

Największa jednak różnica polega na tym, że rozmawiając często z zagranicznymi gwiazdami, nie miałam okazji spotkać się nigdy z niczyim menedżerem, nikt nigdy nie wtrącał się do moich pytań, ustawek czy wymiany mejli i telefonów. Nikt! Nigdy! Znany raper to zwykły człowiek i mówi co chce, robi co chce i jak ma fanaberię, to zaprasza sobie grouppies do hotelu, a jak ma inną, to rozdaje swój adres mejlowy i prosi o kontakt. Nie zaobserwowałam nigdy żadnego menedżera, który chodziłby za artystą i na bieżąco mówił mu, co ma robić, z kim zagadać i czego robić oraz mówić nie powinien.

Tymczasem polski raczkujący rap biznes wykształcił hybrydę łączącą w sobie cechy organizatora koncertów, mamy i ochroniarza. Taki typ menedżera niemalże ubezwłasnowolnia wykonawcę, podejmując za niego decyzje, prowadząc za niego wszystkie rozmowy, włącznie z umawianiem obu stron na wywiad (żeby, broń Boże, same się nie umówiły i nie zawiązały już przez telefon kontaktu, który znacznie potem ułatwia rozmowę) i udzielając zezwoleń na to, o czym artysta może mówić w wywiadzie, a o czym ma milczeć. Ponadto asystując przy autoryzacji, a w skrajnych przypadkach wymyślając dla artysty pytania i podsyłając je mejlem do dziennikarza. I jak tu zachować luz i naturalność w podejściu do przepytywanego wykonawcy i, przede wszystkim, jak zadać mu intymne pytanie, wiedząc, że nad rozmową unosi się duch inwigilacji dokonywanej przez tzw. menago? Wynika to z pewnością z relatywnej świeżości tego zawodu i domyślam się, że relacje menedżer-artysta wciąż się u nas docierają i krystalizują.

Nie mówię bowiem „nie" - menedżer to osoba bardzo potrzebna. Na naszym rynku hip-hopowym, gdzie nigdy do końca nie wiadomo, co okaże się ok., a co maksymalną „wiochą", nie ma co w pojedynkę podejmować ryzyka. Warto mieć wtedy przy boku kogoś, komu nie obce są lawirowanie i spryt. Szczególnie, że mamy specyficzny zacieśniający się rynek koncertowy.

Śledząc trasy największych sław rodzimego hip-hopu, w mig zgadujemy, czyj menedżer jest najbardziej obrotny, słowem, utalentowany. Polska scena znalazła się w punkcie, gdzie jest bardzo dużo dobrych wykonawców, konkurencja wciąż rośnie, klubów nie przybywa, a menedżerów brakuje. Tych kilku, którzy sprawdzili się w organizowaniu dużych imprez i umiejętności te przenieśli na organizowanie koncertów wykonawców, odniosło sukces na tyle, że obecnie ledwo są w stanie ogarnąć tych kilka aktywnych składów i solistów, którzy zawczasu oddali się pod ich skrzydła.

Innych menedżerów nie ma skąd brać, bo albo się na hip-hopie nie znają, albo są ziomami z podwórka, z którymi współpraca zawsze kończy się spięciem, a którym ponadto brakuje talentu, uporu i powołania. Pilnie zatem potrzebny menedżer lojalny, pracowity, sympatyczny, ale twardy w biznesie, sprytny, gdy trzeba bezwzględny, nakręcony na wysokie obroty, obyty w różnych towarzystwach, rozmowny, charyzmatyczny i odpowiedzialny. W zamian otrzyma stres, niepewność, nieprzespane noce i na początku trochę do interesu dołoży. A jeśli wpadnie na pomysł dawania dobrych rad dziennikarzowi, zostanie jeszcze obsmarowany w felietonie.

.:Fala:.

FILMOWE LATO...



BARBERSHOP

reż. Tim Story

wyst. Ice Cube, Cedric the Entertainer, Eve, Sean Patrick Thomas

Jeden dzień z życia pracowników pewnego zakładu fryzjerskiego w Chicago. Calvin, który odziedziczył ten zakład po swoim zmarłym ojcu, nie chce go prowadzić i uważa, że jest on dla niego ciężarem i zwyczajnym marnowaniem czasu. Bardzo sympatyczny, ciepły i zabawny film, z gwiazdami rapu (oczywiście Ice Cube i Eve) w rolach głównych. W Stanach już pracują nad sequelem, my na razie obejrzymy pierwszą część. W kinach od 1 sierpnia.



PIRACI Z KARAIBÓW: KLĄTWA CZARNEJ PERŁY

reż. Gore Verbinski

wyst. Johnny Depp, Geoffrey Rush, Orlando Bloom, Jonathan Pryce

Grupa niebezpiecznych piratów musi wyruszyć w ryzykowną podróż, by odwrócić skutki starożytnej klątwy. Filmy o piratach już dawno wyszły z mody, ale ten akurat zapowiada się całkiem nieźle - obok Johnny'ego Deppa zobaczymy tu między innymi Orlando Blooma, czyli odtwórcę roli Legolasa we „Władcy Pierścieni" i jeszcze kilka znajomych twarzy. Czysta letnia rozrywka dla wszystkich. W kinach od 1 sierpnia.



TERMINATOR 3: BUNT MASZYN

reż. Jonathan Mostow

wyst. Arnold Schwarzenegger, Nick Stahl, Kristanna Loken, Claire Danes

Bardzo długo wyczekiwana kontynuacja jednego (a właściwie dwóch) z największych przebojów Hollywood. Akcja „T3" dziać się będzie dziesięć lat po wydarzeniach, które miały miejsce w „T2", a 20-letni już Connor stawić będzie musiał czoło niezniszczalnemu, supernowoczesnemu cyborgowi TX. Zwiastuny były naprawdę kozackie, więc na T3 czekam niecierpliwie. Chodzą pogłoski o części czwartej i piątej, Schwarzenegger się broni, ale... W kinach od 8 sierpnia.



ŁZY SŁOŃCA

reż. Antoine Fuqua

wyst. Bruce Willis, Monica Bellucci

W Nigerii po zabójstwie prezydenta i jego rodziny dochodzi do wojny domowej. Pułkownik Walters oraz jego grupa specjalna Navy Seal mają za zadanie uratować amerykańską lekarkę dr Lenę Kendricks. Piękna pani doktor pracuje w jednej z misji w Nigerii. Gdy ekipa dociera do miejsca pobytu lekarki, okazuje się, że Kendricks zgadza się na ewakuację, tylko wtedy gdy wraz z nią zostaną uratowani uchodźcy. Niestety wszyscy dostają się pod krzyżowy ogień rebeliantów i powrót do domu okaże się wręcz niemożliwy. Willis i Bellucci razem? Może być ciekawie, zaś Fuqua zrobił dobre wrażenie jako reżyser „Dnia próby" z Washingtonem. Na ekranach od 22 sierpnia.



FORMUŁA

reż. Ronny Yu

wyst. Samuel L. Jackson, Robert Carlyle, Meat Loaf

Elmo McElroy, geniusz chemiczny, wynalazł narkotyk 51 razy lepszy od innych specyfików. Przebrany za szkockiego golfiarza przyjeżdża do Liverpoolu, aby wprowadzić swój produkt na rynek europejski. Jego przewodnikiem po miejscowym półświatku i nocnych klubach zostaje Felix De Souza, zagorzały przeciwnik wszystkiego, co amerykańskie. Elmo i Felix połączą swe siły, gdy okaże się, że ściga ich płatna zabójczyni – Dakota. Widziałem, polecam, zabawa jest niezła, a Jackson i Carlyle stworzyli niezły duet. W kinach od 22 sierpnia.



LARA CROFT: TOMB RAIDER. KOLEBKA ŻYCIA

reż. Jan de Bont

wyst. Chris Barrie, Angelina Jolie, Gerard Butler, Djimon Hounsou

Koniec wakacji osłodzi wam nieustraszona Lara Croft, która tym razem wybiera się do zatopionej świątyni, gdzie, jak mówi starożytna legenda, znajduje się złowieszcza puszka Pandory zawierająca wszystkie nieszczęścia. Puszka skradziona zostaje przez Chena Lo, szefa potężnego chińskiego syndykatu zbrodni, który zamierza użyć jej, by zrealizować swoje niecne cele. Seria gier komputerowych (w tej chwili licząca już sześć części) mistrzowska, pierwsza odsłona filmu sprzed dwóch lat była taka sobie, ale Angelina Jolie, ech...Na ekranach od 29 sierpnia.



600 V

Jeden hip-hop.

W pewnym momencie doszedłem do spostrzeżenia, które, choć banalnie oczywiste, nie wpadło mi do głowy wcześniej. Miało to miejsce kilka miesięcy temu, więc dosyć późno, jak na historię mojego myślenia o hip-hopie. Otóż, (uwaga, to stwierdzenia może na pierwszy rzut oka wydać się banalne, ale jego konsekwencje takie nie są!) oto ono: jest jeden hip-hop.

Skąd w ogóle pomysł, że mogłoby być inaczej? Niby to oczywista prawda, a jednak wiele osób funkcjonuje w podświadomym przekonaniu, że jest polski hip-hop, francuski hip-hop, west coast, east coast, new school, old school, next school, true school, underground hip-hop, hip-hop komercyjny. Od pewnego czasu myślę inaczej. Owszem, oczywiście, istnieją podziały wynikające z chronologii czy geografii, ale nie można traktować hip-hopu jak hipermarketu ze stoiskami, które nas interesują bądź nie. Hip-hop to całość. Trzeba wiedzieć i znać jego możliwie pełen obraz. Jest wiele osób, które zamykają się w wąskich przedziałach hip-hopu, odrzucając resztę, nawet nie próbując jej poznać. To błąd tym bardziej, że tak naprawdę płyty, które podobają się na lata i których nigdy się nie zapomina, nie wpadają w ucho za pierwszym, ani nawet trzecim przesłuchaniem. To stara prawda, która mówi, że to, co zaczyna podobać się szybko, szybko się też nudzi. Trudno za pierwszym razem dostrzec głębsze zalety i wartości, bo one nie lśnią na wierzchu tak w przypadku muzyki, jak i ludzi na przykład.

W czym tkwi problem? Otóż odniesienia to w hip-hopie bardzo ważne zjawisko. Tak producenci, jak i emce bardzo często odwołują się w kawałkach do powszechnie znanych cytatów tak słownych, jak i muzycznych, brak znajomości których często nie daje szansy pełnego zrozumienia przekazu. Hip-hop to kultura, której elementy nader często się przenikają. Tak często, jak chyba nigdzie indziej. Słuchając na przykład polskich płyt trzeba wiedzieć, do czego odwołują się raperzy czy producenci, żeby móc w pełni ocenić obraz tego, co słyszymy. Skąd moje tak krytyczne podejście do polskiej gałęzi hip-hopu? Właśnie stąd. Polski hip-hop po prostu w 90% brzmi dokładnie tak, jak brzmiał amerykański hip-hop dziesięć lat temu. To smutna prawda, ale ostatnio włączyłem sobie Dare Iz A Dark Side Redmana z 1994. Hmmmm... chciałbym, aby polscy producenci mieli dziś tak świeże brzmienia. To nie jest żart. Ta płyta nie jest niczym wyjątkowym (= odkrywczym jak na 1994) w sensie pomysłu na brzmienie, choć jest ono zawodowe, mimo że większość kawałków produkował sam Redman, czyli emce. Jeśli jednak ktoś dziś zrobiłby tak brzmiącą płytę w Polsce, zostałby okrzyknięty mistrzem.

Posłuchajcie albumów polskich producentów z roku 2003. W 90% przypadków to nie jest XXI wiek, a... pierwsza połowa lat 90. i nie brzmią one nawet tak świeżo, jak dziś brzmi Dare Iz A Dark Side z 1994.

Jak mówiłem, dla mnie jest tylko jeden hip-hop. Nie uznaję przyznawanie sobie ulg typu – jestem z Polski. Sądzę, że trzeba brać to pod uwagę i starać się dawać ludziom współczesny hip-hop, popychając go jednocześnie do przodu. Dlaczego? Bo stojąc w miejscu cofamy się, gdy świat gna do przodu. To już prawdziwy frazes, ale w tym kontekście nie sposób go nie przytoczyć.

Gorących i słonecznych wakacji, a przede wszystkim miękkich kształtów w zasięgu....

Chwilowo nie odpisuję na maile.

.:600:.

PLUSZOWE ZABAWKI...



...w Ślizgu? To dobre do takiejś gazety dla dzieci w wieku przedszkolnym - tak zapewne spora część z Was zareagowałaby na tytułowe hasło. Ale przedwczesna wasza złość, to zabawki specjalne, z pewnością nie są to przytulanki, a jeśli już, to dla bardzo niegrzecznych dziewczynek. Na pierwszy ogień idzie Potwór z filmu „Monty Python i Święty Graal", Oglądamy go już gotowego do ataku, wcześniej bowiem przypomina on zwykłego króliczka, a jak wygląda króliczek każdy wie. Dociekliwym przypominam, że Potwora można uśmiercić za pomocą (trudno dostępnego) Świętego Granatu Ręcznego.



Teraz bardziej wrażliwych czytelników muszę poprosić o wytrwałość, wkraczamy bowiem na zakazane tereny wiedzy, która największych twardzieli może przyprawić o szybsze bicie serca, a nawet siwiznę: oto Wielcy Przedwieczni, istoty potężniejsze od bogów zrodzone w wyobraźni amerykańskiego pisarza H.P. Lovecrafta. Są tacy, którzy wierzą, że autor ich wcale nie wymyślił, a jedynie opisał to, o czym wzmianki można znaleźć w legendarnym Necronomiconie, Księdze Zmarłych. Oto Cthulhu, najpotężniejszy ze wszystkich, uśpiony władca świata, który czeka by powrócić i objąć ziemię w posiadanie. Ten drugi, z uszami, to Nyarlethotep, Pełzający Chaos, Myśliwy Ciemności, prawa ręka Azathotha, Bestii Nuklearnego Chaosu, Wielki Posłaniec. Co więcej można dodać? To najpotężniejsze ze wszystkich istot a ich pluszowe królestwo kryje się w mroku zapomnienia...





A na sam koniec wesoły Godzilla (w oryginale Gojira), który Tokio i wiele innych miast Japonii niszczył równie często, co nieskutecznie. Godzilla jest mutantem, narodzonym w wyniku promieniowania po wybuchu atomowym, w wersji pluszowej nie jest jednak radioaktywny. Nie zapomni go nikt, kto spojrzy w jego szczere, plastikowe oczy.

Tomek z Niemiec

nollie half cab

foto: Rafał Wielgus



toY storY

czyli o najsłynniejszych spotach słów kilka...

Okres wakacji jak wiadomo sprzyja różnego rodzaju wyjazdom, dlatego chcąc pomóc wam w wyborze odpowiedniego miejsca na wycieczkę, przybliżę z grubsza najważniejsze miejscówki deskorolkowe na świecie. Oczywiście nie wszystkich z was będzie stać np. na podróż do USA, ale myślę, że warto znać nawet choćby z nazwy, czy fotografii najsłynniejsze spoty. Niektóre z miejsc, które zaraz opiszę, w tej chwili już nie egzystują - poddane zostały przebudowie lub wzmożono tam patrole policyjne, tak aby uniemożliwić eksploatację miejscówki - przeszły więc one do deskorolkowej historii...

Zacznę od opisania lokalizacji znajdujących się za oceanem, gdyż to tam powstawał cały ruch i tam na początku rodziły się legendarne miejsca. Embarcadero - spot rozsławiony dzięki filmom H - Street i Plan B. Znajdujący się w San Fransisco plac z mnóstwem murków, schodów i ogromnym gapem jest w tej chwili jednym z elementów historii. Władze SF walczyły ze skaterami przez cały okres jazdy tam i w końcu doprowadziły do remontu miejsca, tak aby nie nadawał się do wykorzystywania go przez skaterów. Wokół tego miejsca urosła wielka legenda, lokalni skaterzy w tamtym okresie byli uważani niemalże za bogów i każda osoba jeżdżąca na deskorolce chciała pojeździć na Embarcadero.

Po zniszczeniu EMB lokale z SF przenieśli się na miejscówkę nazwaną Pier 7. Według mnie nie była ona tak zajebista jak poprzednia, ale dzięki kolesiom na niej jeżdżącym (m.in. Mike Carrol, Lavar Mc Bride, Henry Sanchez, Chico Brenes, Mike York) również stała się sławnym miejscem. Jest to duży plac z kilkoma płaskimi murkami, które mogą służyć również za platformy do wheelie.

Prawdziwym spotem z klimatem są bez wątpienia Brooklyn Banks w Nowym Jorku. Położone pod samym mostem brooklyńskim podjazdy pojawiały się na wielu filmach i były standardową wizytówką deskorolkowego NYC. Tam zaczynali m.in. Keith Hufnagel czy Harold Hunter. Teren jest bardzo duży, znajdują się tam jeszcze murki i poręcze. Ostatnio teren ten pojawia się nieco rzadziej, lecz kiedyś robił prawdziwą furorę.

W niedalekiej Filadelfii znajdował się pewien znany park, nazwany parkiem miłości. Mowa oczywiście o Love Park, miejscu znanym nie tylko skaterom, ale także każdemu, kto ogląda teledyski i filmy. Często tam kręcono różne produkcje, a motyw logo miejsca (duże litery LOVE) znane są chyba każdemu - chociażby z klipu Willa Smitha. Piszę o nim w czasie przeszłym, gdyż jak pewnie wielu z was wie, Love Park poddano remontowi i wyrzucono z niego skateboarderów. Była to chyba najlepsza miejscówka streetowa w USA, "wylansował" ją szerszemu gronu Ricky Oyola dzięki zapierającemu dech w piersiach przejazdowi na filmie "Underchievers".

Burnside to mekka wszystkich harpaganów. Położony pod mostem i wybudowany przez skaterów kompleks betonowych quaterów, poolów i temu podobnych profilowanych kątów cieszy się ogromną popularnością nie tylko wśród mieszkańców Portland (gdzie się znajduje). Kolesie tacy jak John Cardiel, Chris Senn czy Ryan Johnson wymieniają Burnside jako swoje ulubione miejsce. Podobny projekt zrobili skaterzy w Filadelfii, również wybudowali tam betonowy skatepark (nazywa się FDR), na którym rządzi Bam Margera.

Proponowałbym się teraz przenieść z kontynentu amerykańskiego na europejski. Tutaj na pewno łatwiej jest zwiedzać skate'owe miejscówki, bo nie potrzebujemy tak dużej forsy na bilet. Zacznę od miasta, które jest co prawda położone od nas bardzo daleko, ale jest w tej chwili najsłynniejszym centrum spotów - Barcelonie. Znaleźć tam można tereny każdego typu, cokolwiek deskorolkowiec sobie zamarzy w stolicy Katalonii to znajdzie. Punktem centralnym i najlepiej wyposażonym w różnego rodzaju przeszkody jest MAKBA, czyli teren wokół muzeum sztuki nowoczesnej. Zdjęcia z tej miejscówki mogliście oglądać w Ślizgu w relacji z naszego pobytu tam. Dodam, że jest naprawdę po co tam jechać, znajduje się tam niemalże wszystko - od murków zaczynając, na schodach kończąc - super. Druga miejscówka, prawie równie dobra co MAKBA, to dworzec kolejowy Sants. Jest to marmurowy teren ze schodami i ciągiem idealnych ławek. Do miasta tego w każdym miesiącu roku ściągają tłumy skaterów z całego świata zachęconych idealną architekturą i dlatego wszędzie widać kolesi z deskami. Wymieniłem tylko dwie najważniejsze miejscówki, ale uwierzcie mi, że jest ich tam tysiące.

Paryż ma do zaoferowania spot zwany Bercy. Jeżeli pamiętacie kick flip Reynoldsa z pięciu ogromnych stopni, to wiedzcie, że działo się to właśnie w tym miejscu. Oprócz tego znajduje się tam mnóstwo zajebistych mureczków, więc jest to idealny teren dla ludzi lubiących techniczną jazdę. Też we Francji, ale za to w Marsylii, jest skatepark, który gości co roku największych harpaganów i rozgrywane są zawody Bowl Riders. Miejscówka ta jest po prostu ułożonymi w różnych kombinacjach poolami. Nie muszę dodawać, że jest to bardzo niebezpieczny teren i przeznaczony tylko dla odważnych i obdarzonych prawdziwą, hard core'ową zajawką.

Z Francji przenosimy się do Anglii: w Londynie znajduje się znana ze starych filmów Powella miejscówka - South Banks. W tej chwili nie jest ona może takim rarytasem, ale ze względu na pamięć o starych czasach postanowiłem ją włączyć do tego spisu. To, co tam znajdziecie, to banki i schody, a całość jest zadaszona.

Na koniec pozwoliłem sobie zostawić Pragę ze Stalinem na czele. O spocie tym, który znajduje się stosunkowo niedaleko od Polski, pisać można długo. Znajdziecie tam wszystko, co skater może chcieć, na dodatek lokale ciągle dorabiają coś nowego (w tym roku postawili poręcz przy dwunastu schodach), tak że miejsce to nie może się znudzić. Polecam Stalina także z tego względu, że nam najłatwiej tam dotrzeć, gdyż podróż i życie w Pradze nie jest takie drogie.

Wymienione przeze mnie miejsca nie są na pewno wszystkimi godnymi polecenia. Jest dużo innych, równie dobrych. Wybierając spoty do opisu kierowałem się też ich popularnością na świecie i dlatego nie wymieniłem np. Kijowa (gdzie też warto się wybrać !), choć myślę, że miasto to szybko stanie się równie znane co Barcelona. Namawiam wszystkich do odwiedzenia choć jednej z tych miejscówek w tym roku - naprawdę warto.

.:T0i 0i:.



Bootleg „Bootleg 3000"

Jeżeli komuś podobał się film Jimmy Baker, na pewno nie zawiedzie się następna produkcją jego twórcy Jaya Stricklanda pt. „Bootleg 3000". W nowym filmie mamy bardzo podobny montaż, te same zwolnienia i dziwne intra do przejazdów. Skateboarding, bo przecież on tu jest najważniejszy, prezentuje się bardzo dobrze. W filmie występują prawie sami newcomerzy, ale jeżdżą oni tak że głowa mała. Tak naprawdę znane nazwisko jest tu jedno - Elissa Steamer. Dziewczyna cały czas robi postępy, w jej przejeździe oglądamy dużo nowych trików, sekwencje robi na trudnych miejscówkach, słowem - kawał dobrej deskorolki i to nie tylko „jak na dziewczynę". Jednak prawdziwymi rewelacjami filmu są dwaj kolesie, którzy mają swoje przejazdy na końcu video. Pierwszy z nich to szalony technik, Scott Kane, którego triki na poręczy zapamiętacie na długo, oraz Pete Eldridge z Filadelfii, posiadający wielkie umiejętności i niezły styl. Film jest naprawdę dobry, jednak nieco denerwuje mnie jego formuła i montaż, podobnie jest z muzyką - mógłby bardziej podkreślać jazdę, ale i tak mogę go wam śmiało polecić.

.:t0i 0i:.



czarny skate boarding



Nie trzeba być rasistą żeby stwierdzić, że istnieje coś takiego jak czarny skateboarding. Murzyni w bardzo charakterystyczny dla siebie sposób uprawiają tę formę aktywności. Nie chodzi mi, broń Boże, o jakieś inne triki czy przeszkody, lecz o pewien sposób poruszania się, wykonywania numerów, słowem o coś charakterystycznego dla ich rasy, coś co tylko skater może zauważyć. W pewnym głupim (według mnie), polskim filmie pt. „Chłopaki nie płaczą" jeden z bohaterów tak opisuje czarnych: „spójrz na te kocie ruchy..." i abstrahując od kontekstu, miał on trochę racji. Jakoś tak się złożyło, że skaterzy o ciemnym kolorze skóry, mają ruchy bardziej miękkie i jeżdżą na desce jakby od niechcenia, ich przejazdy na filmach najczęściej wyglądają jak teledyski hip-hopowe - oprócz jazdy ważny jest styl, ubranie itd.

Jednak tak popularny obecnie skateboarding wykonywany przez Murzynów jeszcze nie tak dawno w ogóle nie istniał. Nie wiem czemu, ale na początku czarni nie uczestniczyli w rozwoju deskorolki, dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych pojawili się pierwsi znani, czarni profesjonaliści. A było to tak...

Kiedy skateboarding kształtował się na samym początku, kojarzony był głównie z punk rockiem, w ruch ten zaangażowani byli głównie biali. Ludność afroamerykańska miała swoją muzykę i chyba dlatego tak późno ci drudzy zwrócili uwagę na deskorolkę. Kiedy sport ten powoli przestawał być czymś subkulturowym i zaczynał bardziej łączyć różne style muzyczne, siłą rzeczy zainteresowali się nim i czarni. Pierwszym naprawdę znanym reprezentantem tej rasy był Ray Barbee, którego przejazdy można było oglądać na starych filmach Powella. Jego jazda była jakby zapowiedzią tego, co miało się dziać później.

Barbee, który nie jest typowym ziomalem z ciemnej ulicy, zapoczątkował drogę jaką podążali jego następcy. Jeżeli oglądaliście te filmy, to na pewno pamiętacie jak wyglądał wtedy skateboarding. Skaterzy robili najczęściej ollie z grabami ze schodów i tym podobne. Natomiast sekwencje Raya Barbee były zupełnie inne, elegancka jazda, dużo trików na ziemi (najczęściej no comply'e). Było to coś nowego, świeżego, nagle w deskorolce, w której do tej pory liczyła się tylko skuteczność, zaczęła ogrywać rolę estetyka.

Równolegle z Rayem, tyle że w innej firmie (H - Street) jeździło dwóch innych afroamerykanów. Pierwszy z nich to Ron Allen, a drugi to Sal Barbier. Allen, oprócz deskorolki, angażował się w wiele innych rzeczy. Interesował się grafiką, miał zespół grający muzykę reggae i przy tym był zajebistym deskorolkowcem. Najbardziej zasłynął jako wykonawca bardzo charakterystycznego dla siebie ollie one foot, w czasie którego chował nogę pod deskę. Sal Barbier natomiast podobnie jak Ray Barbee stał się bardzo znanym skaterem do dziś. Jego początki to był pierwszy przejazd na filmie „Hokus Pokus", gdzie dusił handraile i schody. Miał on później jeden z najpopularniejszych modeli buta skate'owego wszechczasów - Sal 23, a w tej chwili prowadzi firmę Aesthetic. Z tamtych czasów bardzo ważną postacią był też John Reeves, kojarzony głównie z jazdy z Kien Lieu „Dongerem". Tworzyli oni zgrany i hardcore'owy duet.

W firmie World Industries jeździł pod koniec lat osiemdziesiątych ciemnoskóry skater o nazwisku Ron Chatman. Prezentował on bardzo radosny i pogodny skateboarding, widać było, że jazda sprawia mu ogromną frajdę. Jego wizerunek był nieco inny niż reszty współbraci - mówił, że inspiruje go bardziej muzyka gitarowa.

Prawdziwy przełom w czarnym skateboardingu nastąpił po ukazaniu się filmu „New World Order" firmy World Industries". Kareem Campbell i Shiloh Greathouse - dwaj czarni występujący w tej produkcji, zrewolucjonizowali ówczesną deskorolkę. Byli to typowi kolesie z getta (Kareem pochodzi z Nowego Jorku, a Shiloh z L.A.) i tak też wyglądali. Do swoich przejazdów wzięli sobie ostre rapowe kawałki i wytworzyli nowy styl w skateboardingu.

Prawie na równi z jazdą stało się posiadanie stylu, istotne stały się wszelkie dodatki do ubioru i gadżety. Wzorując się na raperach zaczęli nosić ogromne spodnie i baseballowe bluzy. Zaczął być modny hip-hop i styl uliczny. Jeśli chodzi o jazdę to bardzo dużo osób zaczęło naśladować Kareema - na maksa wyluzowany styl i flipy na ogromnych wysokościach. Apogeum popularności Campbella i Gratehousa to lata 94-97. Wtedy powstały następne dwa filmy World Industries. Najpierw był naprawdę przełomowy „Twenty Shot Sequence", w którym dominowała muzyka rapowa i ogólnie lansowano wizerunek skatera - zioma, a później wyszedł film „Trilogy", w którym popularność czarnego skateboardingu osiągnęła apogeum. Przez ten czas pojawiła się masa nowych, czarnych twarzy. Po pierwsze pojawił się legendarny i nieżyjący już Keenan Milton - „człowiek switch", cała ekipa Menace, w której nawet ci, co mieli biały kolor skóry i tak wyglądali i zachowywali się jak czarni, Lavar i Marcus McBride. Charakterystyczne było to w jeździe Murzynów że upodobali sobie jazdę na drugą nogę. Teraz, już nie robi to takiego wrażenia, gdyż każdy tak jeździ, ale kilka lat wcześniej było to ich znakiem rozpoznawczym. Kareem Campell stał się sztandarowym przykładem czarnego skatera, jego wkład w rozwój skateboardingu jest niepodważalny - zachęcił do jazdy tysiące młodych ziomków, którzy zobaczyli, że nie warto jest schodzić na drogę przestępstwa, tylko można coś osiągnąć poprzez skateboarding.

W tej chwili najpopularniejszym afroamerykańskim skaterem jest bez wątpienia Stevie Williams. Żywcem wyjęty z teledysku hip-hopowego koleś z Filadelfii kontynuuje drogę obraną przez Kareema - jego ogromny pop znają wszyscy - warto czekać na film D.C., który ma się ukazać lada chwila, żeby zobaczyć co tam on pokaże.

Czarny skateboarding to ostatnio nie tylko Ameryka. Liczba ciemnoskórych riderów z Brazylii jest bardzo duża - wystarczy wymienić tylko Rodrigo TX, Fabrizio Santosa czy Alexa Carolino. Europa ma też swojego wielkiego jiggę - Bastiena Salabanzi. Miejmy nadzieję że i oni doczekają się swoich następców, bo skateboarding uprawiany przez czarnych jest naprawdę czymś zajebistym do oglądania.

.:blingbling:.

Na zdjęciach od lewej: Kareem Campbell, Ray Barbee, Stevie Williams, Sal Barbier, Bastien Salabanzi, Fabrizio Santos, Kareem Campbell, Ray Barbee, Rodrigo TX, Shiloh, Greathouse, Stevie Williams

fotoprezentacja

Michał Majewski \ backside tailslide \ KC \ foto Rafał Wielgus





Michał Majewski
bs. tailslide
foto: Rafał Wielgus



Beniamin Kojło
nose grind

infinitycup

O spontanicznej akcji chłopaków z warszawskiego osiedla Gocław pisaliśmy w zeszłym roku. Wtedy to w kilka dni powstał skatepark dosłownie za darmo, naprędce udało się zorganizować zajebisty jam bez jakiegokolwiek pozwolenia od władz. Wszystko było na pełnym nielegalu, w rezultacie impreza doczekała się wizyty stróżów prawa, ale o dziwo skończyło się tylko na przyciszeniu muzyki.

Jak kazała nowa, świecka tradycja warszawska w tym roku również musiały się odbyć mini zawody na gocławskim boisku. Nauczeni poprzednimi doświadczeniami chłopaki próbowali się wystrzec błędów popełnionych w zeszłym roku. Skatepark powstawał na długo przed imprezą i dzięki temu można go było dopracować jak tylko się chciało. Wszelkie sprawy dotyczące pozwolenia również były zapięte na ostatni guzik - całą inicjatywę wsparła administracja, której bardzo spodobały się zeszłoroczne wydarzenia i postanowiła wspomóc Infinity Cup w tym roku. W odróżnieniu od ubiegłego lata nie mogliśmy obejrzeć teraz koncertów (przypomnę, że na pierwszych gocławskich zawodach koncertowali Hemp Gru, Radio G i Ławek, Molesta i THS). Tor nie był już zbitkiem nierównych sklejek, tylko solidną konstrukcją na budowę, którego wyłożyli pieniądze zacni sponsorzy. Na potrzeby wydarzenia stanął duży funbox z murkami i rurką oraz dwa strome banki. Wszystko było robione przez skaterów, nie mogło być mowy o jakichś niedoróbkach, ci co budowali wiedzieli że robią to dla siebie... Uwierzcie mi że przeszkody choć nie były takie jak na zagranicznych zawodach to i tak robiły wrażenie.

O tym, że w Polsce brakuje imprez deskorolkowych wie każdy zainteresowany. Nie wiem, więc czemu kiedy w końcu ktoś decyduje się na organizację czegoś takiego, dziwnym trafem okazuje się, że w tym samym terminie dzieje się coś podobnego w innym mieście. Zamiast dogadać się i przełożyć jedną z imprez na potem, odbywają się one równocześnie. Tak było i tym razem, równolegle z Infinity Cup w podkrakowskim Zabierzowie miał miejsce Kondor Cup. O wiele lepiej dla obu imprez by było, gdyby jedna z nich odbyła się później (i relację by się zrobiło z dwóch kontestów, a nie z jednego...). Odbiło się to oczywiście na frekwencji startujących na Gocławiu (w Zabierzowie pewnie tak samo), na plac boju stawili się skaterzy z Warszawy i okolic oraz reprezentanci Opola, sponsorowani przez Skate City (m.in. Przemek Cymbalski i Marcin Tworkowski).

Ponieważ, jak wiadomo w Warszawie nie ma skateparku z prawdziwego zdarzenia, przez cały okres, kiedy tor był udostępniony jeżdżącym, gościły na nim tłumy zapaleńców, każdy chciał choć przez kilka dni pojeździć i nie być narażonym na usłyszenia hasła "to nie jest miejsce na deskorolkę - wypierdalać". Wydarzenia te pokazały jak wielki tkwi w Warszawie (a pewnie i w całej Polsce) niewykorzystany potencjał skateboardingu. Wystarczyłoby zbudować jeden lub dwa skateparki, albo dobrą streetową miejscówkę i od razu mielibyśmy poziom jazdy porównywalny do czeskiego, a tak tkwimy ciągle w deskorolkowym zaścianku...

Wracając do zawodów Infinity Cup to miały one podobny charakter jak w zeszłym roku. Dwanaście miesięcy temu były one z założenia przeznaczone dla osób nie sponsorowanych. Miały pomóc mniej znanym skaterom w dalszym rozwoju, bardziej doświadczeni mogli jedynie startować w best triku. Jak pamiętacie kontest wygrał reprezentant Gocławia Szymon Wojtysiak. W tym roku, jak mówili organizatorzy (którymi byli m.in. panowie Jaskólscy ze sklepu Camutlage, pan Piotr zwany Alrą i pan Majewski zwany Majewskim z firmy Storm), startować mógł kto chciał, niezależnie od poziomu zaawansowania. Jednak złożyło się tak, że większość starszych kolesi albo nie dotarła na plac boju, albo nie zdecydowała się startować. Gutek leczył kontuzję, a Tomek Kotrych został członkiem szacownego jury. Dopisało za to młodsze pokolenie deskorolkowców warszawskich warszawskich Beniaminem



Mariusz Kłosiewicz
fs. boardslide
foto: Rafał Wielgus



Przemek Robaczewski
smith grind

i Michałem Majewskim na czele. Starszych reprezentowali m.in. Przemek Robaczewski i Marcin Majewski.

Z założenia impreza miała trwać dwa dni. W sobotę miały się odbyć właściwe zawody, najpierw eliminacje, później półfinały i następnie finały. Niedziela miała być dniem, w którym planowano rozegrać best trik oraz cały czas miał trwać jam.

Sobota przywitała wszystkich nienajlepszą pogodą. Nad skateparkiem piętrzyły się ciemne chmury i wszyscy z niepokojem patrzyli na niebo, którego widok nie wróżył niczego dobrego. Organizatorzy chcąc nie chcąc musieli imprezę zacząć. Do zawodów zgłosiło się kilkudziesięciu śmiałków i Infinity Cup się rozpoczął.

Każdy ze startujących w eliminacjach miał do dyspozycji dwa przejazdy trwające minutę.

Zdecydowanie najlepiej swój czas wykorzystał Przemas Robaczewski. Zaprezentował on czyściutką, przemyślaną sekwencję trików. Przemek, mimo że nie jest najmłodszym skaterem i dodatkowo ma rodzinę na utrzymaniu, udowadnia po raz któryś z rzędu, że żyje skateboardingiem i nie powiedział jeszcze swojego ostatniego słowa. Prawdziwą rewelacją kwalifikacji był Paweł Kopczyński, który podczas swojego przejazdu pokazał super miękki feeble grind przez całą rurkę. Szczerze mówią kopara opadła mi strasznie nisko, gdy to ujrzałem. Paweł zasłużył w pełni na swoje drugie miejsce w eliminacjach, dokładając do tego jeszcze kilka trików na murku.

Runda pierwsza została rozegrana bez zbytnich przeszkód, zdarzyły się malutkie wpadki organizacyjne, ale nie zepsuło to nijak imprezy. Do dalszych zmagań awansowali "główni faworyci" m.in. Przemas, Michał i Marcin Majewscy, Przemek Cymbalski. Sztuka ta nie udała się niestety ku wielkiemu smutkowi miejscowych ziomków zeszłorocznemu zwycięzcy Szymkowi Wojtysiakowi.

Prawdziwe kłopoty przyniosła ze sobą runda finałowa. Kiedy pierwszy finalista Beniaminek rozpoczynał swój przejazd, z nieba nagle spadła ulewa. Każdy krył się gdzie mógł - w samochodzie, pod sklepowym namiotem, pod bankiem - byleby nie zmoknąć. Organizatorom nieco zrzedły miny. Tylko pan Afra jak zwykle nie tracił humoru, gdyż nic nie jest w stanie wyprowadzić go z równowagi. Dziwnym zrządzeniem losu deszcz tak szybko jak się pojawił, tak też szybko zniknął. Po jakiejś godzinie teren przeschnął na tyle, żeby spróbować jeszcze raz... Znowu rozpoczął pechowy (choć nie do końca - ale o tym dalej) Beniamin. Kilka trików i... znowu ulewa, jednak tym razem dwa razy silniejsza. I jak poprzednio wszyscy kryli się pod czym tylko się dało. Cudem jakimś sytuacja się powtórzyła, również jeśli chodzi o koniec deszczu - nagle jakby ręką odjął opadów nie było.

Na szczęście później można było rozegrać do końca finały, mimo że zaczynał znowu Beniamin... Deszczu to on nie przyciągnął po raz trzeci, ale za to zdziwił wszystkich czym innym - swoimi trikami. Jest to chłopak, który potrafi się na maksa skoncentrować przed przejazdem i finał wyszedł mu prawie bezbłędnie. Warto dodać, że w czasie swojego występu pokazał kickflip nose slide. Drugi był Michał Majewski, który zrobił m.in. fs. croocked grind na płaskiej rurce. Trzeci był, rewelacyjny w eliminacjach Paweł Kopczyński, który w finale zaprezentował również trik przez całą rurkę, tylko że był to croocked nagrodzony gromkimi brawami. Przemek Cymbalski niestety nie jechał w finale, gdyż wrócił do Opola przestraszony opadami deszczu - a szkoda...

Cóż, impreza się skończyła już w sobotę. Niestety w niedzielę nie rozegrano best triku, nie wiem czemu. Może chłopaki nie dogadali się z administracją - pozostał pewien niedosyt. Podsumowując uważam, że tegorocznemu Infinity Cup zabrakło trochę spontaniczności imprezy sprzed dwunastu miesięcy, choć przyznać trzeba, że całość organizacji stała na wiele lepszym poziomie. Miejmy nadzieję, że w przyszłym roku doczekamy się kolejnej edycji tych zawodów. Oby tak dalej!

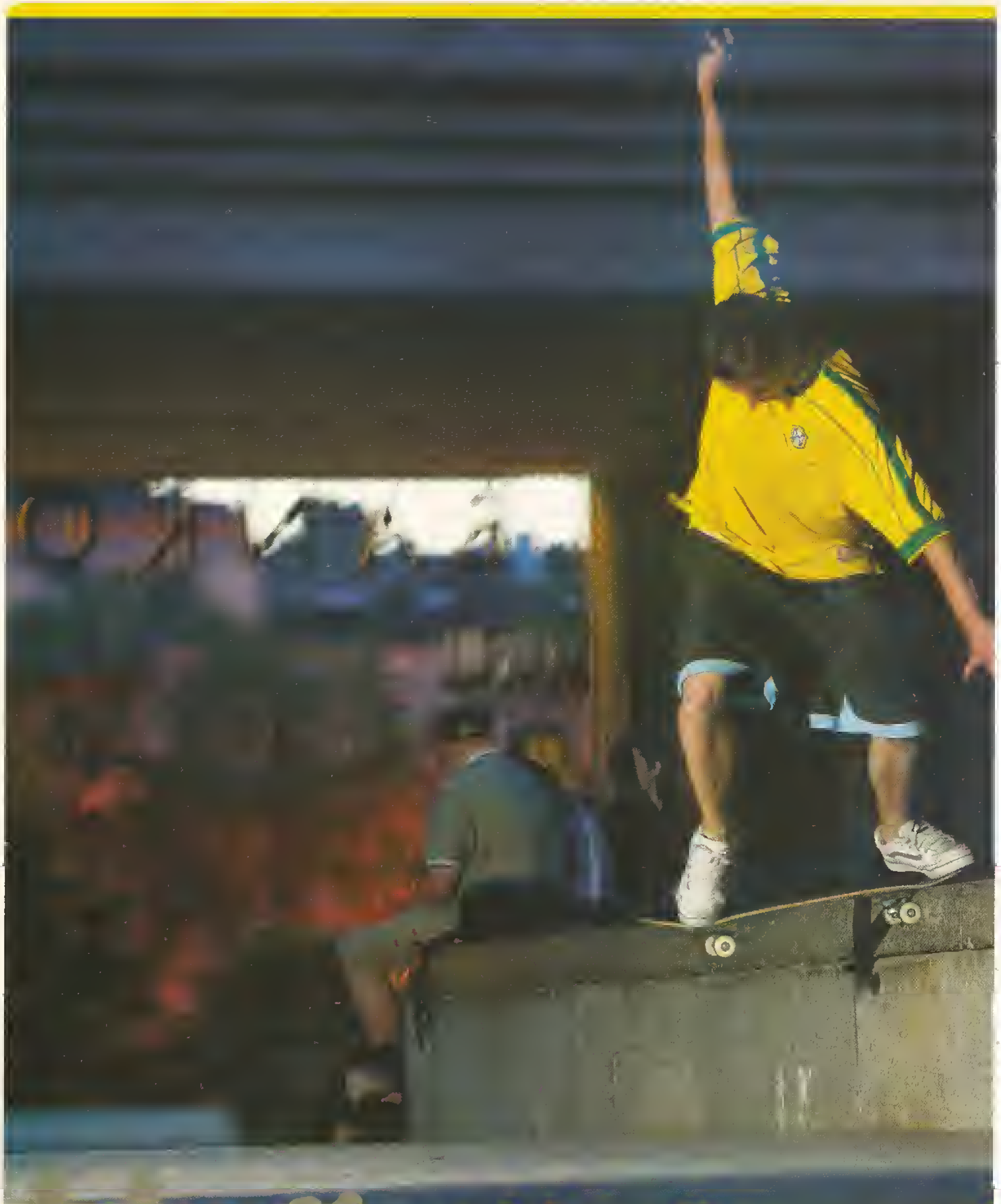
.:TOi Oi:.



Sebastian Stanisławski
bs. 5-0
foto: Rafał Wielgus




airwalk
Duffs
globe
BAKER
SKATEBOARDS
HOOK-UPS
THE FIRM
flip
birdhouse
POWELL
Angelboy
mini-LOGO
PREMIUM
skateboards
TSG
ADAM ALFARO/STALEFISH
STAND UP
STAND OUT
DYSTRYBUCJA: ALTEX
ul. Batorego 88 62-080 Batorowo k/Poznania
tel: +48 61 816 34 00 fax: +48 61 816 34 08
e-mail: piotr.airwalk@wp.pl



kingpin tour



Dirk Vogel
bs. half cab fs. noseslide
foto: Rafał Wielgus



Ten wszysIko mówiący tytuł to dokladna charakterystyka wydarzeń związanych z wizytą w naszym kraju grupki skaterów z różnych pańslw Europy. Całą wyprawę zorganizowal magazyn Kingpin, europejskie pismo zajmujące się Jematem deskorolki. Pomyslodawcą touru był jeden z głównych redaktorów tego tytulu, skateboarder z Niemiec Dirk Vogel.

Do wspólnej podróży zaprosił ponadto swojego rodaka Sebiego Vellratha, Austriaka Andiego Lugera i Belga Geoffreya van Hove, grupę uzupełniało dwóch fotografów - Alex Basile z Niemiec i AlberJo z Hiszpanii.

Dirk, który ma dziewczynę Polkę, wraz z chłopakami chcial zrobić relację z naszego pięknego kraju. Przybyli Ju na podbój naszych wspaniałych spotów i nie mniej wielkich imprez.

Nic tak nie cieszy typowego polskiego, gościnnego skatera, jak wizyta zagranicznych gości ze świata skateboardingu. Jest to okazja do wymiany doświadczeń, poznania nowych Jrików, a przede wszystkim do miłego spędzania czasu.

Przyznać muszę, że ta wycieczka miala największego pecha ze wszystkich, które do tej pory do nas przybyły. Spójrzcie na tytuł: to prawda, z większości miejscówek byliśmy bezpardonowo wyrzucani. Na żadnej nie zagrzaliśmy miejsca dłużej niż 15 - 20 minut, a na znacznej liczbie spotów nie pojeździliśmy dłużej niż kilka sekund - cóż, takie szczęście. Pod Capitolem mieszkańcy bloku urządzili prawdziwą kanonadę ziemniakami (na szczęście żaden pocisk nie dotarl do celu). Wyjątkami byly Witos i bródnowskie baseny: tylko tam odbyły się prawdziwe, długie sesje. Oba spoty przypadly gościom bardzo do gustu, czego dali wyraz robiąc tam kilka zajebistych numerów, np. Sebi sieknąl z siódemki pod Witosem sw. varial heeltlip, a Andi nollie big spin.

Myślę, że bardziej by się im u nas podobało, gdyby nie ten fatalny pech, który nas prześladowal przez cały czas. Do paru miejscówek podchodziliśmy kilka razy - bez skutku. Widać tak musialo być, chlopaki odwiedzili jeszcze Katowice - tam mieli chyba więcej szczęścia.

Wyrzucani zewsząd...



Andi [illegible]ger
big spin na banku
foto: Rafał Wielgus

O tym jak się bawili w Polsce najlepiej niech powiedzą sami, więc przeczytajcie poniższe, krótkie wywiadziki:

DIRK VOGEL, POMYSŁODAWCA TOURU.

Co sądzisz o Polsce?

Zajebiście, że Polska wreszcie wstąpiła do Unii Europejskiej. Patrząc na historię Polski myślę, że jest to duża szansa dla tego kraju. Zbyt długo cierpiała z powodu różnych inwazji i wojen. To niesamowite jak szybko miasta potrafiły się odbudować po takich zniszczeniach, a ludzie dojść do siebie po skutkach drugiej wojny światowej. Jestem pełen podziwu, dowodzi to jak wiele potrzeba było do tego siły ducha i woli. Później z kolei przyszły problemy ekonomiczne po upadku komunizmu, szkoda, że Polska była odsunięta od życia europejskiego przez tak długi czas (przez cały okres trwania komunizmu), mam nadzieję, że integracja europejska zmieni tę sytuację i skaterzy z Polski będą mieli szansę na zaistnienie na światowej arenie.

Co myślałeś o Polsce przed tym tourem?

Byłem już parę razy w waszym kraju, moja dziewczyna mieszka w Warszawie, więc przyjeżdżam tu co jakiś czas. Byłem także w Zakopanem, Krakowie, Wrocławiu i teraz miałem okazję zobaczyć Katowice. Mogę powiedzieć co czułem, gdy po raz pierwszy przyjechałem do Polski, parę lat temu. Było to we Wrocławiu. Szczerze mówiąc to nie wiedziałem, co mnie spotka, ale Wrocław od razu mi się spodobał - po przyjeździe do domu od razu chciałem wracać i zobaczyć więcej. Ten pobyt był moim pierwszym wyjazdem deskorolkowym i wcześniej wiedziałem bardzo mało na ten temat - znałem jedynie Stikoramę.

Co sądzisz o polskich skaterach?

Byłem w szoku! Gutek, Tomek, Michał, Beniamin i Sebastian prezentują naprawdę wysoki poziom. Wielu kolesi ma bardzo wysoki pop i robi trudne, techniczne triki na wysokich murkach. W Katowicach Bartek (Morawiec) zrobił sw. bs. tailslide na mega wysokim murze, a Tomek zadziwił mnie fakie pivot pod Grobem. To było coś! Widać, że dużo ludzi wychodzi codziennie na deskę, niezależnie od stanu technicznego sprzętu. Widziałem wiele obiecujących młodych talentów...

Co myślisz o naszych miejscówkach?

Dużo gładkiej nawierzchni i marmuru. Najbardziej spodobał mi się basen na Bródnie. Wilos także jest super, fajnie jest mieć miejscówkę, na której można się spotykać z kolegami codziennie...

Co zdziwiło cię najbardziej w Polsce?

Dziwne było to, że policja mało się przejmowała skaterami. Nawet wtedy pod Capitolem, kiedy przyjechali, kazali poustawiać jedynie pachołki i sobie poszli. Ale za to ochroniarze byli zawsze bardzo przejęci swoją pracą i wywalali nas prawie zewsząd - to też była dla mnie niespodzianka.

Ostatnie słowo...

Chciałbym bardzo podziękować skaterom z Warszawy i Katowic za wspaniałe przyjęcie nas i pokazanie wszystkich spotów. Mam wrażenie, że zawarliśmy nowe znajomości, które obie strony będą podtrzymywać. Spotkałem paru chłopaków z Warszawy na zawodach w Pradze i bardzo z tego powodu się ucieszyłem. Mam nadzieję że wkrótce przyjedziecie do Niemiec...

ALEX BASILE - FOTOGRAF

Co sądzisz o Polsce?

Kiedyś byłem w Zakopanem i Warszawie, więc widziałem kawałek waszego kraju. Wiem też, że Polska w przeszłości toczyła wiele wojen z Niemcami i Rosją. Ostatni wiek nie był dla was łatwy, ciągłe wojny i odbudowa kraju. Poska jest dla mnie normalnym, europejskim krajem, którego broń Boże nie należy się wstydzić. Widziałem w niej zarówno dobre i złe strony życia - jak wszędzie. Kiedy jestem w domu w Niemczech zawsze wydaje mi się, że jestem w samym środku wielkiego kontynentu, mając sąsiadów po prawej, jak i po lewej stronie - nie zdając sobie sprawy czy ktoś jest oficjalnym członkiem UE - nie ma to żadnego znaczenia. Polska jest interesującym krajem z mnóstwem kultury i historii zupełnie jak w innych krajach. Bardzo mi się podobał klimat Warszawy!

Jakie miałeś zdanie o Polsce przed przyjazdem?

Mama mnie przestrzegała żebym nie jechał własnym samochodem, a koledzy mi mówili, że Polska jest zajebistym miejscem do malowania pociągów. Nie - żart!!! Przez ostatnie dwa lata sporo podróżowałem i wiem, że w każdym kraju jest dużo pozytywnej energii. Wszędzie można spotkać jakieś młodzieżowe subkultury - ludzie interesują się graffiti, deskorolką, hip-hopem, housem, sztuką... - ogólnie chodzi mi o jakiś ruch. Wszyscy członkowie tych subkultur kontaktują się między sobą coraz bardziej... Dla mnie zajebistym było móc zobaczyć jak to wygląda w Polsce.

Co myślisz na temat naszych skaterów?

Skateboarding w Polsce podobał mi się, macie fajną scenę i ludziom nie zależy żeby pokazać się w nowych ciuszkach, tylko jeżdżą na deskorolkach!

Co sądzisz o naszych miejscówkach?

Były ok. Spędziłem chyba jednak za dużo czasu w Barcelonie i stałem się zbyt wymagający...

Co zdziwiło cię najbardziej w Polsce?

Klimat miejsca. Bardzo mi się tu spodobało. Wszyscy byli dla mnie mili. Wyczuwałem tu prawdziwą energię w powietrzu. Nie umiem wytłumaczyć tego co czułem. Na pewno tu wrócę, chciałbym to zrobić późną jesienią. Kiedy robi się zimno musi tu być pięknie...

.:TOJ OI:



Geoffrey van Hove
Switch 360 flip
foto: Rafał Wielgus

Trzy dni, które wstrząsnęły Toruniem... ...Mentor Skate Session.



widok na skatepark

Od pewnego czasu w rozmowach deskorolkowców najczęściej pojawiającym się miastem był Toruń. Tak się złożyło, że od mniej więcej kwietnia - maja, gdy tylko spotkało się dwóch skaterów, musiało w końcu paść pytanie - "Jedziesz do Torunia?". Tutaj padała odpowiedź, że "tak" i wszystko było jasne. Nic dziwnego, że zawody, które miały się odbyć w pod koniec czerwca tego roku, wzbudzały jakie emocje. Ubiegłoroczne, pierwsze z cyklu Mentor Skate Session, były przecież największą imprezą tego typu w Polsce. Po dwunastu latach (od czasu pierwszych Mistrzostw Polski w Pałacu Kultury w Warszawie) doczekaliśmy się wreszcie kontestu z prawdziwego zdarzenia. Firma ta zapragnęła zrobić Coś przez duże C.

Jak wyglądał zeszłoroczny MSS na pewno pamiętacie: Mentor powiedział dość małym, osiedlowym imprezkom i postanowił zorganizować coś większego. Wiele osób się zawiodło, spodziewali się ujrzeć skaterów światowego formatu, a byli świadkiem zmagań rodzimych deskorolkowców, jednego Niemca i kilku Anglików. Ludzie ci niestety nie zdawali sobie sprawy, że żeby zobaczyć najlepszych na placu boju, najpierw impreza musi nabrać prestiżu. Zawodnicy muszą wiedzieć gdzie jadą, co ich tam czeka i wcale nie najważniejsza jest pula nagród. W natłoku zawodów, jaki mamy w Europie w sezonie wiosenno - letnim, skaterzy zza oceanu przebierają strasznie w planach wyjazdowych.

Dlatego było to jakby "być albo nie być" dla toruńskiej imprezy. Albo wyjdzie w tym roku, albo będzie to ostatnia odsłona MSS. Cały światek deskorolki polskiej jak mówiłem już od dawna ostrzył sobie pazury na tą chwilę. Dla jednych była to możliwość pojeżdżenia w skateparku z prawdziwego zdarzenia, dla innych możliwość konfrontacji z lepszymi od siebie, a dla innych okazja do miłe spędzone czasu na widowni i oglądanie najlepszego kontestu w Polsce.

Tor już od pierwszego widoku robił wrażenie. Różnił się nieco od tego sprzed roku - parę przeszkód zmieniono i dodano kilka nowych elementów. Po pierwsze: tuningowi poddano ubiegłoroczny corner. Z dwóch prostopadle leżących do siebie quater pipów utworzono teraz większą przeszkodę z dużą przerwa między quaterami. Po drugie: na największym funboxie dołożono poręcz i największe wyzwanie toru - duży murek (tzw. hubba ledge). Pierwotnie murek ten miał się kończyć załamaniem, jednak konstruktorzy skateparku (bowl riders z Torunia) postanowili usunąć to utrudnienie i w rezultacie mieliśmy do czynienia z klasycznym Hubba. Po trzecie dodano stół piknikowy, duży śmietnik z wybiciem oraz z głównej piramidy wyjęto środek, tak, że powstał danger gap między podjazdami. Zmiany te wpłynęły bardzo korzystnie na rozwój wypadków, deskorolkowcy mieli dużo więcej możliwości i praktycznie każdy mógł znaleźć coś dla siebie.

Po rzucie oka na skatepark i sprawdzeniu zmian dalej można było zwrócić uwagę na resztę. A ta bardzo przypominała to, co widzi się na europejskich i światowych zawodach: oklejone, kolorowe przeszkody, masę porozwieszanych bannerów i przede wszystkim zgraję amatorów skateboardingu. A przyznać trzeba, że było ich trochę



Do zawodów zgłosiło się ponad sto dwadzieścia osób. Dodać należy, że niestety nie wszyscy zapisali się z myślą o starcie. Wielu kolesi płaciło startowe tylko po to, aby móc pojeździć na tym "czarodziejskim" torze i wcale nie miała zamiaru brać udziału w zmaganiach. Spowodowało to śmieszne sytuacje, gdy na pięciu wyczytanych zawodników w eliminacjach jeździł tylko jeden. Ale cóż nie ma co narzekać, w sytuacji, gdy jest to jedyna możliwość pojeżdżenia w czymś takim, naprawdę nie ma co się dziwić. Można by mieć coś przeciwko, gdyby w każdym mieście stał równie dobry skatepark - a tak ludzie mają możliwość na przeżycie tego tylko przez dwa dni w roku.

Kiedy już przyjrzeliśmy się skateparkowi, jako całości warto było spojrzeć na samych jeżdżących. Do Torunia przyjechali wszyscy najlepsi, zabrakło może tylko kilka pojedynczych nazwisk. Mało osób odmówiło sobie tej przyjemności, nie zabrakło też gości z zagranicy. Nie stawili się może tak tłumnie jakbyśmy sobie tego życzyli, ale i tak było na co patrzeć. Reprezentacje Czech, Anglii, Szwecji i skromniutka, jednoosobowa niemiecka, dawały z siebie wszystko. Szczególnie Enrico Petralia i Oskar Ogiecki (ten drugi jest z pochodzenia Polakiem) mocno dawali znać o sobie. Jeździli prawie bez wytchnienia przez cały czas, wszędzie ich było pełno. Oskar, którego gościliśmy w zeszłym roku na MSS, przez ten czas poczynił ogromny postęp. W skateparku czuł się jak ryba w wodzie, wszystkie triki robił super stylowo i na pełnym luzie.

Pora na przybliżenie wam wydarzeń po kolei.

Piątek, dzień treningów.

To był okres na obeznanie się z torem. Skaterzy raczej się rozgrzewali, niż próbowali swoich najlepszych trików. Wyjątkami oczywiście byli ci bardziej doświadczeni, którzy w skateparkach jeżdżą na co dzień. Wspomniani wcześniej Enrico i Oskar nie przez cały czas niszczyli drewniane przeszkody, rzadko się zdarzyło żeby Enrico (wyglądający zresztą jak członek jakiegoś boysbandu) po jakiejś próbie nie odjechał czysto. Wykonywał każdy trik z niemalże zegarmistrzowską precyzją, a to, co zrobił nakręcało go dalej - zupełnie jakby palił mu się "specjal" jak w grze "Tony Hawk pro skater". Anglicy, podobnie jak w zeszłym roku przysłali ekipę jakby do innego skateparku. Dominujące w hali Tor Tor płaskie kąty nie przypadły chyba do gustu wyspiarskim dżentelmenom. Jeździli oni tylko na dwóch przeszkodach, gdzie mieli swoje upragnione profilowane podgięcia, nie mogli oni zaprezentować pełni swoich możliwości - a szkoda. Ich "lider" Lee Blackwell jak zwykle dał się rozpoznać dzięki czarnemu image i przeogromnym lotom.

Od samego początku dobrze sobie radził też Gutek, kilka triczków na rurce dowiodły że nie potrzebuje on aklimatyzacji.

Pod sam wieczór dotarła do Torunia ekspedycja z Czech. Team firmy Vehicle tylko obejrzał park, bo było już zbyt późno na jazdę.

Tak jak napisałem wcześniej był to dzień poznania przeszkód, większość jeździła bardzo zachowawczo. Wszyscy czekali na eliminacje.

Sobota, dzień kwalifikacji.

Początek weekendu przyniósł ze sobą pierwsze szranki. Nikt się oczywiście nie nastawiał na jakieś wielkie



Bałażej Lewandowski
smith grind
foto: Rafał Wielgus



Lee Blackwell
benihana przez gap
foto Rafał Wielgus

mercurskatesession



mentor
@airwalk
globe
btl
Duffs



Jacek Jakubowki
mega kick flip przez śmietnik
foto: Rafał Wielgus

mentorskatesession.2



Mariusz Stróżak
smith grind
foto: Rafał Wielgus

wydarzenia, bo to tylko runda wstępna, ale i tak widzowie czekali na jakieś popisy. Czy się nie zawiedli? Trudno powiedzieć, bo atmosferę zdecydowanie zepsuł fakt, że nie wszyscy z tych co się zapisali wystartowali. Dlatego mieliśmy długie przerwy między przejazdami, kiedy wywoływano dezerterów, ci nie chcieli wychodzić i powstał z tego niezły rozgardiasz.

Ci zaś, co zdecydowali się wystąpić, prezentowali bardzo różny poziom, od zajebistych sekwencji gości z zagranicy do nic nie umiejących, ledwo trzymających się na desce dzieciaków. Cóż takie są prawa eliminacji i nikt na to nie może nic poradzić. Służą one odsianiu tych gorszych, tak, aby w czasie finału publika miała jak najlepsza zabawę.

Zgodnie z regulaminem pierwsza dziesiątka zeszłorocznego Mentor Skate Session awansowała do półfinału bez kwalifikacji - m.in. Gutek, Lee Blackwell, Tomek Kotrych, Błażej Lewandowski, Jacek Jakubowski...

W sobotę na torze rządzili Szwedzi i Czesi. Nasi południowi sąsiedzi pokazali się w Toruniu z jak najlepszej strony. Widać, że nie obca jest im jazda po drewnianych przeszkodach. Mieli przemyślane sekwencje, nie było w nich przypadkowości, a triki kleili po prostu genialnie. Ales Bubla, Tomas Vintr i Paweł Suchopar zaprezentowali czeską, streetową jazdę - na maxa.

Pod koniec dnia Anglicy urządzili sobie niezłą zabawę, kładąc śmietnik na półce quater pipu , na którym robili naprawdę szalone rzeczy. Blackwell i spółka nie lękali się robić np. air to 50/50, air to tail czy nose pick. Był to kawał solidnej i pełnej poświęcenia deskorolki. Kiedy przypomnę sobie ile razy czarny Lee upadał ze śmietnika to aż mnie ciarki przechodzą (ale było to i tak nic w porównaniu z tym co wymyślił sobie na best trik!!).

Niedziela, dzień finałów.

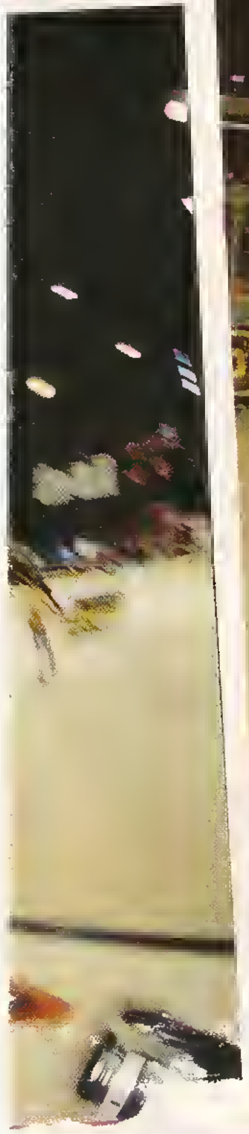
Być może dla wielu dzionek ten kojarzyć się będzie z ostatnią odsłoną MSS, ale dla mnie był to dzień Przemka Cymbalskiego. Chłopaczyna ten poprzedniego dnia jeździł co prawda dużo, ale nie szło mu jakoś za specjalnie, natomiast w niedzielę miał on chyba dzień życia. Upodobał on sobie murek hubba i przez kilka godzin nie opuszczał jego okolic ani na sekundę. Zrobił tam rzec[zy], po których kopara opadła mi do samej ziemi, nie widz[iałem] wielu prosów, którzy zrobiliby tyle trików jednego dnia na takiej przeszkodzie. Zaczął frontside na fakie nose grind, zrobionym chyba za pierwszym razem, później szybciutko nadszedł kick flip 50/50. Po tym triku nie mogło być czegoś innego niż flip na 5-0. Po takim początku Przemek rzucił się na naprawdę głęboką wodę - po kilkunastu minutach prób odjechał po... zrobieniu kickflipa na croocked grind. Tak!!!! Zrobił to na najbardziej skurwiałym murku w skateparku! Zajarany tym faktem (choć ani przez chwilę nie dał tego po sobie poznać) dołożył do tego: bs smith (!!!!!!), nose grind, tail slide i fs.smith. Nie widziałem czy zrobił kick flip na nose slide, ale sądząc po tym, co zrobił do tej pory pewnie też mu wyszło. Warto dodać, że razem z Przemkiem murek atakował Eryk Gaj (bluntslide i bs. Tailslide) i Czech Tomas Vintr (nollie noseslide i nollie croock's).

Finały MSS stały na bardzo wysokim poziomie. Nie było już mowy o zrobieniu paru grindzików i zgar-



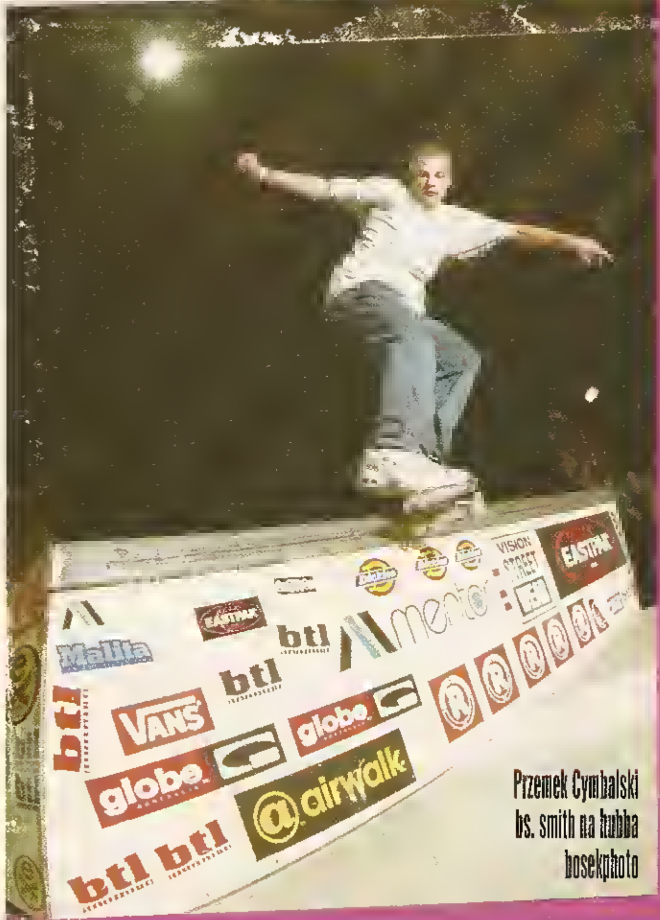
Oskar Oglecki
backside flip przez gap
foto: Rafał Wielgus





Ales Bubla
backside flip tym razem przez śmietnik
foto: wzrrrrrr

mentorskatesession#2



Przemek Cymbalski
bs. smith na hubba
bosekphoto

nięciu puli, trzeba było się wykazać ciekawymi kombinacjami z flipami. O poziomie zawodów świadczyć może fakt, że do finału nie awansował Szymon Wojtysiak z Warszawy, mimo że w półfinale zrobił m.in. croocked z przejściem na bs. lipslide. W finale Polakom nie poszło najlepiej, nasi skaterzy nie czują się najlepiej na zawodach, kiedy są obserwowani przez tłum widzów. Treningi pokazały że tacy ludzie jak Przemek, Eryk, Gutek nie są gorsi od reszty Europejczyków, tylko brak im albo odporności psychicznej albo po prostu zajawki na startowanie w zawodach.

Przejazdem finału było dla mnie to, co pokazał Czech Ales Bubla. Chłopaczyna nie dość, że zrobił w super stylu takie triki jak: flip bs. lipslide, flip bs 5-0 to jeszcze po ostatnim triku - backside kickflipie przez śmietnik... puścił pawia prosto na skateparkowa murawę. Szacunek i za trik i za ilość wypitego alkoholu. Dla mnie (i nie tylko dla mnie) był to numer jeden. Wygrał dzięki bezbłędnemu przejazdowi Enrico Petralia, swoją sekwencję kontynuował nawet po skończonym czasie, ilość grindów, flipów i różnego rodzaju plantów robiła wrażenie, ale i tak według mnie lepszy był Ales!

Później rozegrano best trik, którego jedynym aktorem był Lee Blackwell. Jednak nieważne jest jakim trikiem wygrał (była to benihana przez gap między quaterami), tylko to co sobie wymyślił. Otóż zapragnął on sobie wyskoczyć z quatera przez półkę i barierkę. Nie wyszło mu to ani razu, jednak w najwyższym punkcie leciał z pięć metrów ponad ziemią i siłą rzeczy z takiej wysokości spadał, wypadki przy tym miał straszne. Cała publika skandowała głośno "Blackwell, Blackwell" dopingując czarnego harpagana, jednak ten po kilku próbach się poddał. Było to jednak ponad jego siły, ale mimo to za próby należy się ogromny respekt.

Cóż, kolejne zawody Mentor Skate Session mamy za sobą. Ci, którzy pojechali do Torunia w tym czasie na pewno nie zmarnowali czasu, impreza była po prostu kozacka. Zajebisty skatepark, wysoki poziom trików, goście z zagranicy (których przyszłości będzie jeszcze więcej!) i wspaniała atmosfera (dzięki żywo reagującej publiczności) sprawiły, że była to jak do tej pory moja najlepsza impreza w tym roku. Już szykujcie się na MSS odsłonę trzecią.

.:t0i 0i:.

Wyniki:

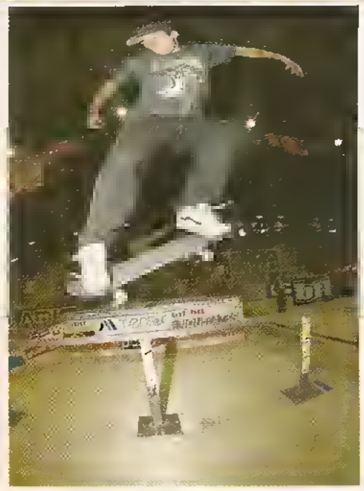
1. Enrico Petralia (S)
2. Tomas Vintr (CZ)
3. Alex Bubla (CZ)
4. Oskar Oglecki (S)
5. Barry Dring (UK)
6. Tadeusz Szymański (PL)



Marcin Majewski
fs. boardslide
foto Rafał Wielgus









Carl Willson
nose pick
bosekphoto



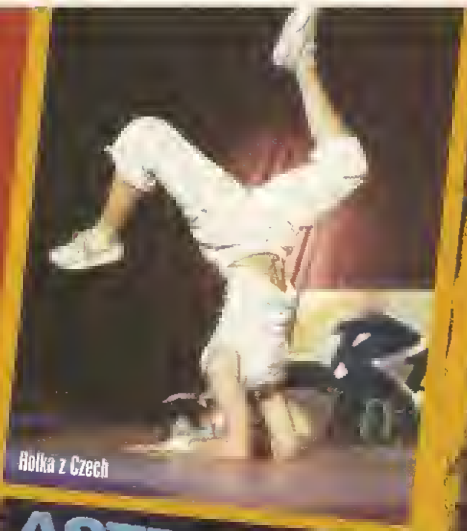






Gutek Szymański
bs. nose blunt slide
bosekphoto

mentorskatesession#2



Rolka z Czech



Decó - Stylowa



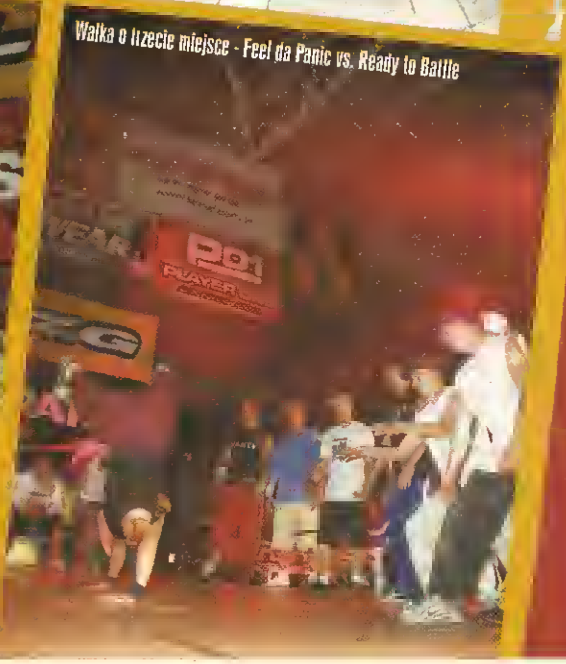
Feel da Panic- freeze



Tak giął się nieznajomy złomek w jednym z kółek między ludźmi



Zbiorowa fotka uczestników walki o pierwsze miejsce: all together now! Stylowa Spółka Spotem und Quassit X-Boys



Walka o trzecie miejsce - Feel da Panic vs. Ready to Battle

BOTY 2003

BATTLE OF THE YEAR 2003 EASTERN EUROPE

21.06.2003 - edycja BOTY dla wschodniej Europy odbyła się po raz trzeci. Założenie tej imprezy jest proste: dzięki udziałowi w Battle of the Year Eastern Europe ekipy breakdancerów z państw naszego regionu wyłonione w trakcie krajowych eliminacji mogą zakwalifikować się do udziału w finałach w Niemczech. W tym roku do Szczecina przyjechało 16 grup. Były to: z Polski - Broken Glass II, Crazy Squad, NASA, Ready to Battle, Stylowa Spółka i zwycięzca polskich eliminacji, Azizi. Z zagranicy pojawili się zeszłoroczni triumfatorzy, Quassit X-Boys ze Słowacji, a oprócz tego Feel da Panic z Chorwacji, ekipa Streetlife Supreme z Węgier, Break Zone Crew z Serbii i Czarnogóry, NGS, Beat Up Clan i Disko Satelite, wszystkie trzy z Czech, Breakfans i Stred ze Słowacji oraz ekipa Megablast.

Prowadzeniem imprezy zajął się szalony ziom O.S.T.R., który swoimi freestylami zapowiadał kolejne występy. Trzeba przyznać Ostremu, że jest dobry w te swoje wolne klocki - możecie o nim zresztą przeczytać co nieco gdzieś w tym numerze SLG. Muzyką zajął się Kostek, koleżka zasłużony i znany ze swojej postawy wspierającej b.boing. Tu głosy były podzielone, jedni mówią, że Kostek jest git, grał dobrze i dobra muzę, a jedni, że niepotrzebnie tyle mieszał i zupełnie nie trafiał kawałkami w klimat występów. Drugą sprawą dotyczącą muzyki było to, że stanowisko dj'a stało za blisko sceny i wszelkie gwałtowne ewolucje bibojów mogły spowodować przeskakiwanie bitów w odtwarzaczu cd, co odbiło się na przykład na występie Azizi, którzy z powodu problemów z poprawnym odpaleniem muzyki zaczynali swój występ ze trzy czy cztery razy. Prawdopodobnie przez to właśnie niespecjalnie im się powiodło, wybiło z rytmu i nie zakwalifikowali się do finałów. Żeby tylko jeszcze do końca wymienić osoby, które udzielały się obok wspomnianych już Ostera i Kostka, to podam jeszcze skład jury: byli to Vartan i Herman z niemieckiej ekipy Flying Steps, a także Ramon - słowacki biboj. Całość dopełniał dyżurny sędzia - Stogo z Polski. Nie wszystkim podobał się skład jurorski i to, że była ich czwórka. Już w trakcie imprezy słyszałem różne „teorie spiskowe" na temat doboru oceniających, jednak nie będę tu powtarzał zasłyszanych plotek i podejrzanych podejrzeń, bo to nieładnie i nie chcę się do tego mieszać.

Faktem jednak jest, że wiele osób, łącznie ze mną, obstawiała trochę inny skład finałowej czwórki. Na pewno widziałem w finale ekipę z Węgier, która była naprawdę dobra. Streetlife Supreme są godną kontynuacją węgierskiego b.boingu znanego na przykład z występów grupy Suicidal Lifestyle (patrz International BOTY 2000), która to grupa była naprawdę niesamowita. Węgrzy ze Streetlife dawali głównie powery i to mocne powery plus trochę akrobatyki, co nie jest co prawda tym, czego oczekuję od breakdancingu, bo oczekuję tańca, zabawy i stylu, ale oni robili to naprawdę dobrze, najlepiej ze wszystkich ekip, które występowały na imprezie. Do finału dostali się za to Ready to Battle, grupa przez jednych lubiana, przez innych nie, w sumie nie ma to znaczenia, bo RtB jest grupą trzymającą poziom, a ich występ był nienajgorszy. Ale przecież Węgrzy byli mistrzami, więc czemu tak? Może dlatego, że RtB „zmasakrowali" sędziów numerem pod tytułem „twister w plastikowym krzesełku"? Ja to gdzieś już widziałem i to jakieś dwa lata temu, i nie podobało mi się to zbytnio, bo jak to powiedział jeden z moich znajomych: „Breakdance to nie cyrk, trzeba tańczyć, a nie robić sztuczki".

W każdym razie mimo iż Ready to Battle tańczyć trochę potrafią, ale za dużo tych sztuczek próbują pokazywać - w zeszłym roku na BOTY o mało co nie spalili całej hali, kręcąc się na bańkach z zapalonymi butami. No, ale sędziów widocznie przekonali i zostali wystawieni do walki o trzecie miejsce kontra Feel da Panic z Chorwacji. Feel da Panic pokazali, że są mocną ekipą, bez zbytniej oryginalności co prawda, ale co zrobić, prezentowali się całkiem nieźle. Kręcili wysokie salta, co podobało się publiczności i sędziom, kręcili twistery, dziewiątki, wyginali freezy, ogólnie dawali sobie radę. Te dwie ekipy spotkały się w finałach: RtB vs. FdP. Trzeba powiedzieć, że walka nie była specjalnie pasjonująca, Ready to Battle byli chyba zdenerwowani i widać było to w ich tańcu, nie wyglądało to swobodnie i ładnie. Chorwaci kontrolowali walkę cały czas i nie było momentu, w którym Polacy by ich czymś zagięli. A, przepraszam, Stanley z RtB „zjadł" grubaska z Feel da Panic, który robił elektro. W ogóle to Stanley i jego czapka starali się bardzo, co było bardzo pozytywne, bo Stanley, mimo że robi rzeczy klasyczne i dobrze już znane, to robi to dobrze i z widoczną charyzmą. Pod koniec jednak wyraźnie już było widać nerwy ReadytoBattlesów, próbowali jeszcze raz „odgrzać" numer z krzesełkiem, ale nic to nie dało, trzecie miejsce przypadło Chorwatom.Gratulacje dla obu ekip za waleczną postawę.



Walka o pierwsze miejsce - Kangur ze Stylowej kontra Quassit

Jak już jesteśmy przy finałach, to oczywiście wspomnę również o uczestnikach bitwy o pierwsze miejsce. Stylowa Spółka Społem przeciwko zeszłorocznym tryumfatorom BOTY EE - Quassit X Boys. Co do Stylowej, to wiedziałem, że są nieźli i mają swój sposób na breaka, ale nie spodziewałem się, że aż tak dobrze przygotują się do tegorocznej BOTY. Pokaz SSS podczas kwalifikacji był przemyślany, konsekwentny. zabawny i, jak nazwa ekipy wskazuje, stylowy. Mistrzowsko dobrane teksty z płyty, wszystko odpowiednio zaakcentowane i wręcz aktorsko zagrane, gęba cieszyła mi się cały czas podczas ich występu. Było w sumie krótko (przepisowe sześć minut), ale treściwie. Stylowa nie bez powodu dostała nagrodę Best Show BOTY EE'03. No i przeciwko nim Quassit ze Słowacji. Ekipa dobra we wszystkim - zabawi jakimś stylem, zamrozi dobry freeze, skoczy salto, wykręci powera, jednym słowem wszystko, ale też w sumie nic. Brakowało im czegoś tego wieczoru, może tej energii i zabawy jaka biła od SSS--manów? To nie żart i nie poezja, taka jest prawda, nad Stylową unosiła się tak jakby „łuna" stylu i swobody. Na pewno niektórzy nie zauważyli tego i był to dla nich tylko old schoolowy występ grupy fanów old schoolu. Słyszałem te komentarze: „Co oni takiego pokazali? Bańkę? Dwa freezy? Żaden nawet twistera nie zakręcił..." - nie o to chyba chodzi. Pokazali taniec, a nie gimnastykę, pokazali swoje uprocki, swoje style, swoją zajawkę, pokazali Stylową







WYNIKI BATTLE OF THE YEAR EASTERN EUROPE 2003

1. Quassit X-Boys
2. Stylowa Spółka Społem
3. Feel da Panic
4. Ready to Battle

Nagroda Best Show: Stylowa Spółka Społem

Chyba najlepszy z Chorwatów - Feel da Pa



Ready to Battle i ich „twistery w plastikowym krzesełku"

Spółkę i o to chodzi, a nie o 19 twisterów czy pojedynki na skakanie na jednym ręku. No, ale chyba Stylowa swoim „światłem" oślepiła nawet sędziów i ci przyznali pierwszą nagrodę Słowakom, którzy, powtórzę jeszcze raz, byli nieźli, ale bez rewelacji.

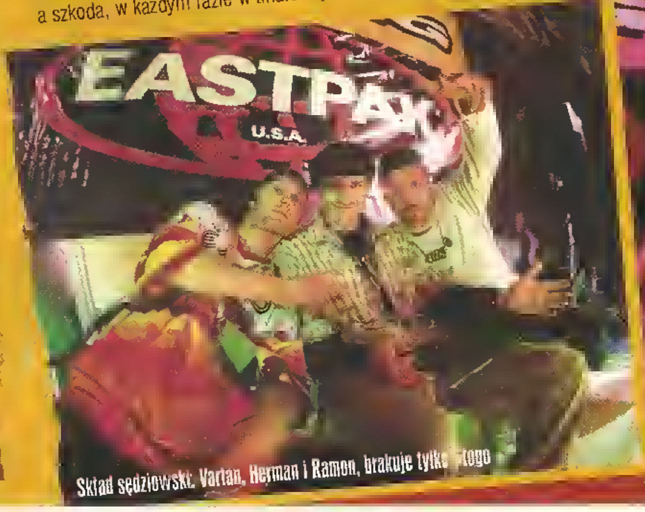
Jeszcze jedna rzecz zwróciła moją uwagę - to, że obydwie ekipy, walczące przecież o pierwsze miejsce, potrafiły się razem świetnie bawić, momentami wyglądało to wręcz jakby byli jedną grupą.

To tyle spostrzeżeń dotyczących finału. Co do prezentacji innych ekip w kwalifikacjach, można powiedzieć, że występy niewspomnianych do tej pory ekip z zagranicy przeszły bez większego echa, no, może za wyjątkiem jednej z czeskich grup, zdaje się Disko Satellite, która bardzo odważnie wystąpiła we trójkę, dwóch chłopaków i jedna hołka. Pobawili się trochę na scenie, podziękowali i zniknęli. Co do polskich składów, to wspomniałem już o nieszczęsnych przygodach z odtwarzaczem Azizi, Crazy Squad z Włocławka nie błysnęli niczym, a NASA, mimo przygotowanego show z duchami i dużych ambicji, nie zrobili chyba wszystkiego co chcieli. Zostaje jeszcze Broken Glass II z szalonym Bartkiem znanym z Nontoperów na czele. Pozdrawiam Bartka, ich występ niestety przegapiłem, a szkoda, w każdym razie w finale się nie znaleźli.

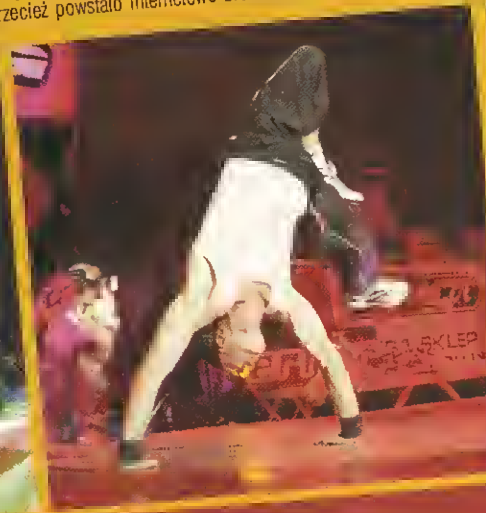
Podsumowanie? Teraz łatwo byłoby napisać, że w sumie w tym roku w Szczecinie nic specjalnie ciekawego się nie działo, ale to byłaby nieprawda. Przecież działo się dużo! Spotkali się b.boje z całej Polski, z sąsiednich krajów, swoje występy przygotowywali długo i włożyli w to sporo pracy, warto to było zobaczyć, czy mi się źle wydaje? Niektórzy turyści jechali do Polski ponad dwa dni i byli bardzo zajarani tym, co zobaczyli. Jeżeli chodzi o nastroje wśród kibiców, to było nieźle, ludzie żywo reagowali zarówno na występy b.boi, jak i na koncerty. Do hali SOS-u przyszło masę ludzi, więcej niż rok temu. Co chwilę między tłumem tworzyły się kółeczka z chętnymi do poskakania sobie, a w sąsiadującej ze sceną salce trwał równoległe z występami breakowy jam session. Nic się nie działo? Jeżeli komuś mało było breakdancingu, to przed imprezą tradycyjnie już odbył się jam graffitti na szczecińskiej Pleciudze, sprawdźcie zdjęcia ze ścian w Handmade, pośrodku SLG. Jeżeli chodzi o atrakcje muzyczne, to w trakcie samej Batelki występowały prawdziwe gwiazdy polskiego i nie tylko rapu: swój show dał Tede, wspierany przez Wujka Samo Zło. Wystąpowali też WWO, a jako gwóźdź programu Soundkail z Francji.

Znajdą się oczywiście tacy, którym się nie podobało na BOTY EE'03, krytykujący wszystko i wszystkich, ale ci to akurat znajdą się zawsze, bo tak jest najłatwiej. Na długo przed imprezą przecież powstało internetowo-breakowe lobby nawołujące wszem i wobec do bojkotu organizatorów i samej BOTY. O co im chodzi? Aż głupio to pisać, ale czyżby to było jak w tym przysłowiu? Jak nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o hajs? Ludzie! Ktoś, kto zawodowo zajmuje się organizowaniem imprez, musi na nich przecież zarabiać, to logiczne! A myślenie, że ktoś chce wykorzystać breakdancing do zarobienia się i wybudowania za to willi z basenem jest paranoiczne! Pretensje o to, że komercyjna impreza? A czego się spodziewacie? Przecież to eliminacje do międzynarodowej, wielkiej imprezy z dużym budżetem. To jak to ma wyglądać? „To nie z matią układy ziom, tylko szołbiznes..." Pretensje, że nie było nagród? Ratunku! Bez komentarza... Chyba, że chodzi o zwykłą zawiść, że ktoś robi coś dobrego, to my mu przeszkadzajmy. A może lepiej by tak pomóc, co? „Konstruktywna krytyka zawsze się przyda" - jak nawija Vienio z Molesty i mam nadzieję organizatorzy wezmą sobie do serca wszystkie uwagi, które ich doszły i poprawią w następnych latach wszystkie niedociągnięcia w organizacji, których to niedociągnięć, nie ukrywam tego i sami organizatorzy też nie ukrywają, było sporo. W każdym razie ja uważam, że w tym roku było nieźle, za rok też będę chciał pojechać na Battle of the Year Eastern Europe. Pozdrowienia dla wszystkich...

.:txt und foto wzrrrrrrrr:.



Skład sędziowski: Vartan, Herman i Ramon, brakuje tylk[illegible]togo





Spec od elektro z Feel da Panic



HiP HOP
MAZURY FESTIWAL
01-02.08.2003
Giżycko
TWIERDZA BOYEM
01.08. - start 19:00
konkurs hip-hop i free style
występ gwiazd:
WWO, TeDe, Peja/Slums Attack,
Born to Roll, Wierni
Prowadzenie: Wujek Samo Zło
02.08. - start 19:00
występ laureatów
występ gwiazd:
Gutek+AbraDab, Molesta,
KASTA/Don Guralesko
Prowadzenie: Wujek Samo Zło
organizatorzy:
GCK
VIVA
Królewskie
gazeta OLSZTYŃSKA
ŚLIZG
radiostacja
HIP-HOP.pl
WWW.HIP-HOP.PL
RH
RydelHouse
Bilety: na pojedyńcze dni w cenie - 20zł, w dniu imprezy 25zł,
Karnet 2-dniowy 35zł. Sprzedaż: Empiki w całym kraju, Giżycko, Olsztyn,
Mikołajki, Mrągowo, Olecko, Węgorzewo,
w biurach turystycznych, sklepach muzycznych i Domach Kultury
Zamówienia: 0-87 428 43 26 ; 0 501 737 727



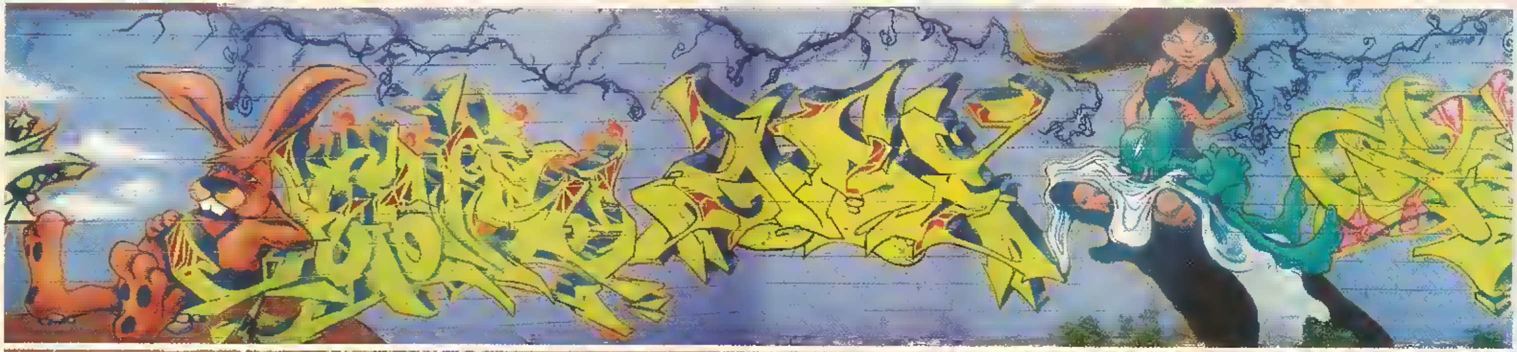
ade graffiti propaganda handmade graffiti propaga
handmade graffiti propaganda


LOONEY★





USA Charaktery







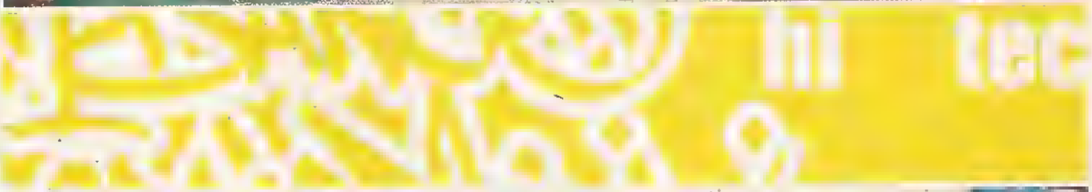

NOTORIOUS
ONES










hi tec



szczecin 2003 boty















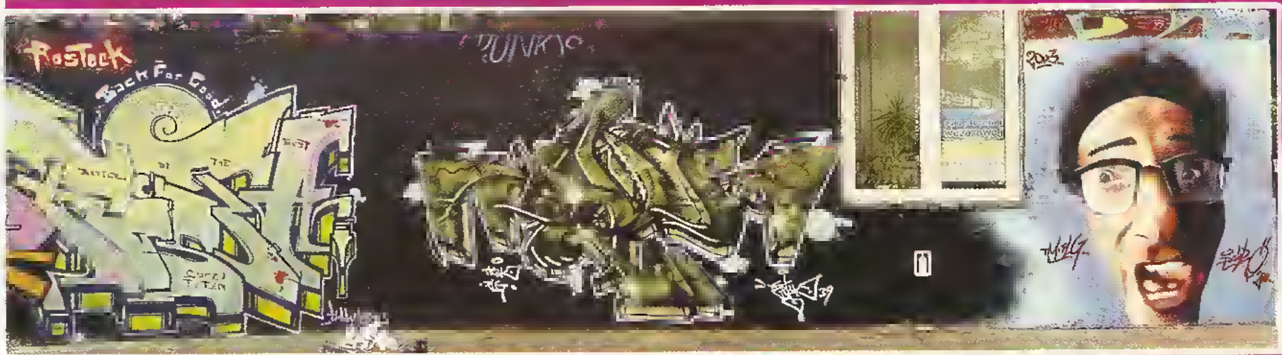


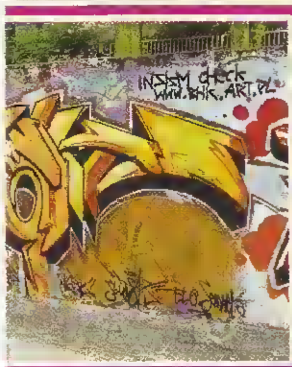










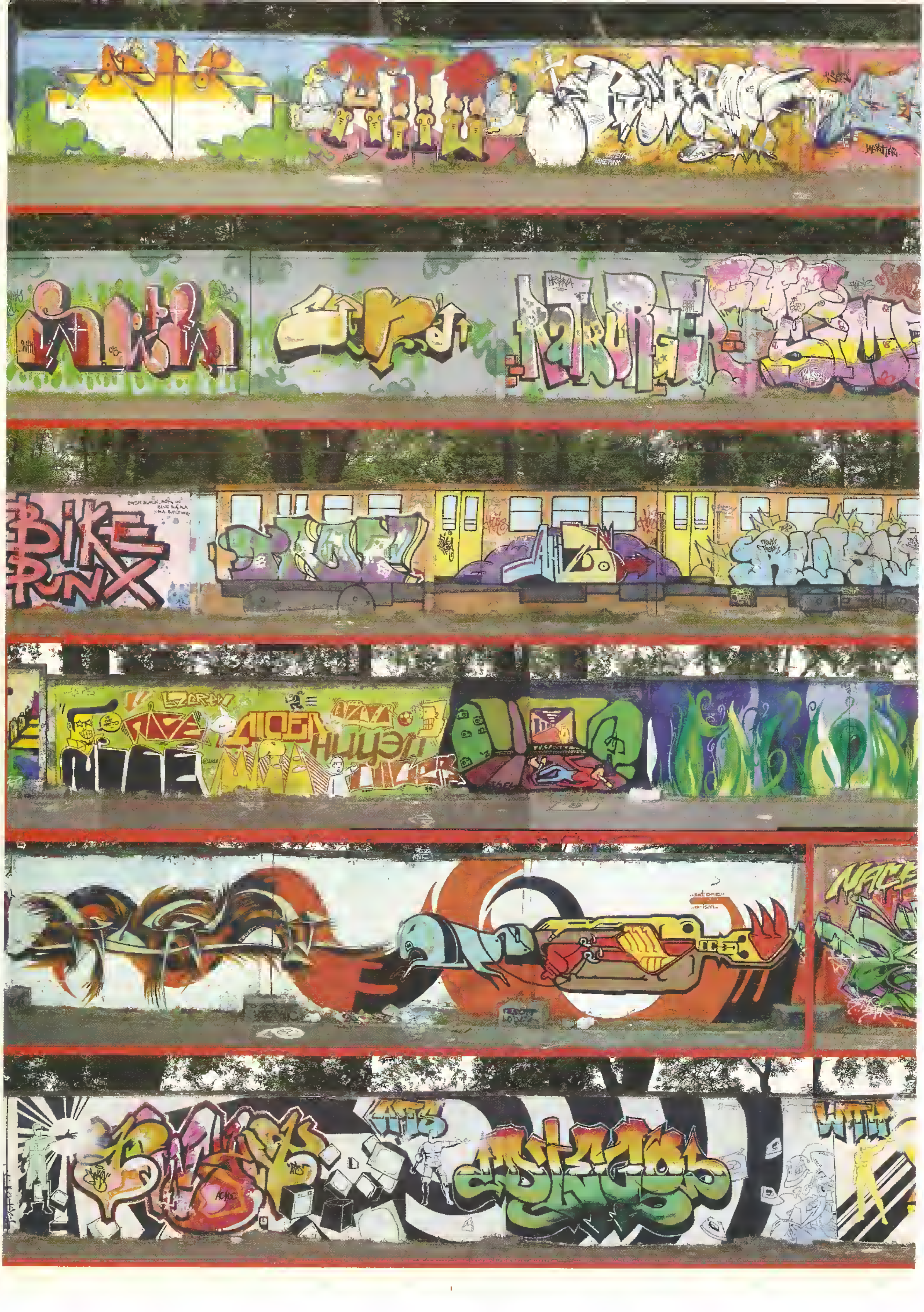








hot 2003 graffiti


BIKE PUNX



bd jam wyscigi2003



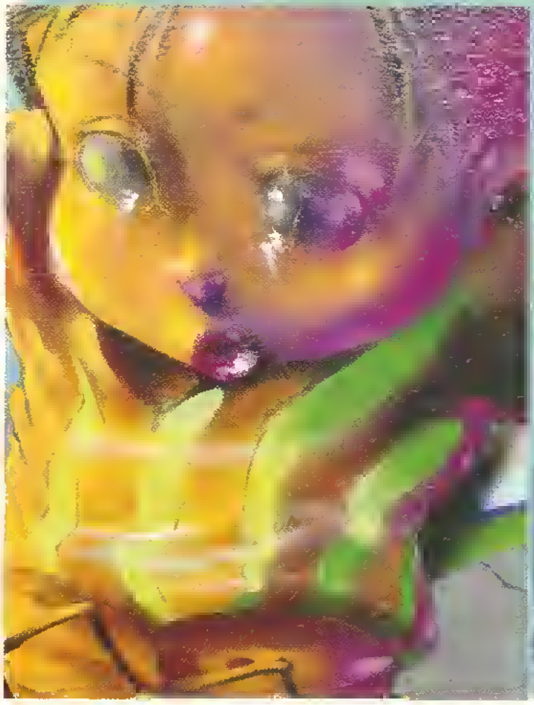
UER SZEJN



ZIEK2 CEJN



SAMER/BHK CEJN ZBIR









LIMPZ

CHINA/BHK

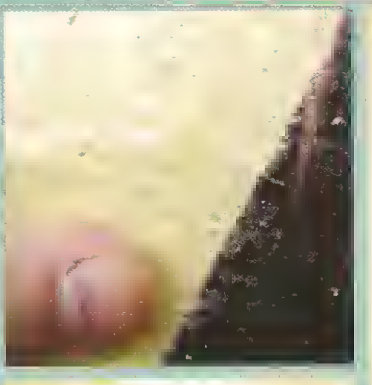




CEJN



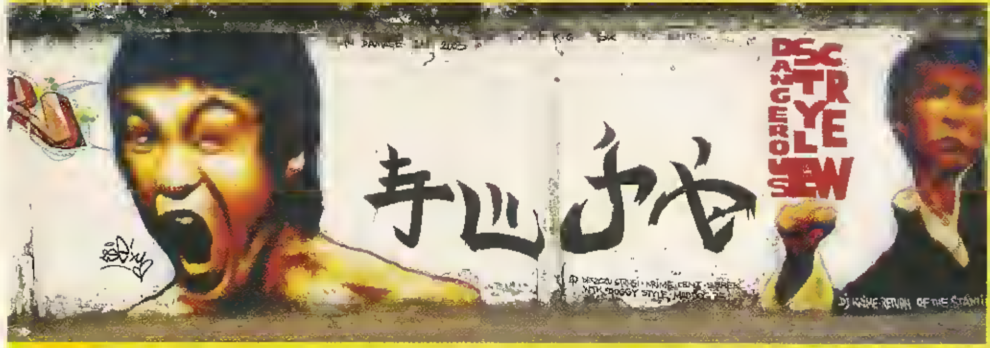








WERSJA VHS BDJAM













oooooo i jak zwykle za mało miejsca żeby wszystko pokazać, zatem dalsza część prac z bd jamu zobaczycie w następnym numerze handmade ale, jeżeli już nie możecie wytrzymać zapraszam na naszą stronę: WWW.FLIXY.PRV.PL
tam znajdziecie wszystkie produkcje.peace.
handmade groups

redakcja handmade magazynu graffiti:
forin1
jarosz
nas
skotak
jesli jakieś fotki to na adresy:
handmade_zin@wp.pl
flixysynu@wp.pl
jesli jakieś linki to na adres:
tb1@poczta.onet.pl

handmade rodzinę tworzą:
www.flixy.prv.pl
www.grafflinki.prv.pl
www.handmade.prv.pl (w budowie)



portret roszja pozytywny

Ten oto portret stworzony został na biegu, podobnie jak wywiad, na którym się oparł. Takie są czasy, taki też jest Wrocław, w którym całe to zamieszanie miało miejsce. Miasto to pełne jest spontanicznych akcji, z minuty na minutę nie wiadomo, co się jeszcze może zdarzyć. Oprócz pięknych widoków i architektury, charakteryzują je niesamowicie ekspresyjni i przyjaźni ludzie, których jedną z głównych potrzeb jest melanż i muzyka. W tych oto sprzyjających warunkach wychował się Roszja, połowa składu Sfond Sqnksa.

Historia wrocławskiego hip-hopu ma niesamowite początki, związane zapewne z pozytywną aurą, jaka otacza to miejsce. Wiele dzisiejszych składów, a także tych, które już dzisiaj nie istnieją, miało swoje początki w społeczno-oświatowej inicjatywie Marka Gruzińskiego (Blend Records). On to w roku 1997, kiedy hip-hopowy boom opanował na dobre nasz kraj, wpadł na pomysł skrzyknięcia i skonsolidowania wrocławskiej sceny. Zaprosił raperów i producentów na swego rodzaju zjazd hip-hopowy, na którym twórcy z różnych stron miasta i z różnych klimatów mieli okazję poznać się, wymienić doświadczeniami i przekazać sobie nawzajem swoją wizję.

Roszja był wówczas członkiem składu Ogród Alicji wraz z Sinym i Ezopem. „Graliśmy wtedy punkrocka! Napierdalaliśmy na instrumentach i żeśmy rżnęli gitary we wszystko. Brakowało nam tylko trąbek, klawiszy i takich rzeczy, więc przesiedliśmy się na samplery, żeby było wygodnie. Tak oto poprzez sampler z punka przeszedłem do hip-hopu." Gdy zaczął szukać, okazało się, że wśród płyt wujka-melomana, z którym Roszja jako dziecko chadzał na dyskoteki do „Piwnicy Świdnickiej", znajdują się takie perełki, jak pierwszy singiel Sugarhill Gang z 1979 roku. „Gdy odkryłem te płyty, pomyślałem: Jezu, to jest przeznaczenie, to nie może być przypadek. Doszło to do mnie kiedyś, gdy... nażarłem się grzybów, ha ha."

Po „hip-hopowym kongresie" na Placu Solnym, zaczęły się dla Roszji inne czasy. „Z Sinym rozeszliśmy się bardzo naturalnie, ja poszukiwałem w inną stronę, a on w inną..." Słuchając nagrań Sfondu Sqnksa, trudno oprzeć się wrażeniu, że Roszja fascynuje się językiem. Jest świeżo upieczonym absolwentem przedziwnego wydziału „filozofii języka" na Uniwersytecie Wrocławskim. Jego główne zainteresowania koncentrują się zatem wokół dynamiki i rytmiki wyrażonej w tekście. Słychać także zapał do poszukiwania rzadkich słów z obrzeży slangu i do tworzenia nowych wyrażeń.

Roszja postrzega robienie hip-hopu jako hobby i podchodzi do tego na dużym luzie oraz z odpowiednim dystansem. „Różnie z tą muzyką bywa, raz mam ochotę na coś ambitnego, a innym razem wysrać się tylko, ha ha. To zostało mi z dzieciństwa, takie przedłużenie zajawki na układanie klocków. Jak byłem dzieckiem, uwielbiałem układać klocki. Zamykałem się na długie godziny i układałem sobie miasto, statki, samoloty. Teraz mam to samo ze słowami i muzyką." Zatem gdy Roszja ma ochotę coś nagrać, to robi to bez względu na wszystko. Jest to dla niego forma ekspresji. „Nie sądzę, żeby moje teksty mogły przynieść coś dobrego innym, to zabawa słowem, a ludzie szukają przesłania. Dla mnie to jest taki kabaret, teatr."

Drugi członek Sfondu Sqnksa – Lulek, zanim poznał Roszję, był członkiem didżejskiego duetu wraz z obecnym dj-em Kasty – Kut-O. Gdy tych dwóch zajawkowiczów turntablizmu się rozstało, Lulek połączył siły z Roszją. Pierwszym efektem ich współpracy była demówka Dusza Podziemia. Pytany o początki Sfondu Sqnksa, mówi: „Nie mogę powiedzieć, że Sfond to tylko ja i Lulek. W trakcie powstawania materiału, różne osoby dogrywały się na instrumentach i one też należą do zespołu. Nie nazywam ich muzykami sesyjnymi, bo nie byli wynajmowani, to są nasi koledzy... Zresztą graliśmy też na żywo z nimi parę koncertów."

W listopadzie 2002 wyszedł pierwszy oficjalnie wydany album Sfondu Sqnksa, Obawa Przed Potem. Decyzję o podpisaniu kontraktu przyspieszyła nadzieja na podniesienie standardu warunków pracy, gdyż nie mieli wówczas (i wciąż nie mają) własnego studia, a większość rzeczy nagrywanych jest w warunkach domowych. Materiał na tę płytę powstawał w ciągu 5 lat, podczas których Roszja zgromadził dużo osobistych doświadczeń i przemyśleń, co sprawia, że teksty przesycone są wątkami autobiograficznymi. „Materiał ten jest dosyć trudny, powstawał, gdy miałem dosyć mocne rozmaite życiowe akcje i do tego jeszcze końcówka studiów – takie intensywne nagromadzenie informacji w głowie..." Sfond rzadko koncertuje, a nigdy jeszcze – w co trudno jest uwierzyć – nie występował poza Wrocławiem. Roszja skromnie kwituje to słowami: „No... nie mamy takiej mocy medialnej..."

Choć znany w całym kraju, Sfond Sqnksa jest zjawiskiem - jak twierdzi Roszja - lokalnym. Wydał płytę, bo uznał, że nadszedł na to najwyższy czas, ale, jak dodaje, zrobił to dla siebie i dla znajomych. „Chciałem mieć po prostu w domu swoją płytę zapakowaną w folię. Tyle lat się robi tę muzykę i nic nie wydać? Trzeba było! Ostatnio podpisaliśmy z Blendem kontrakt na wydanie sesji freestylowej o gównie (swoją drogą „gówno" to motyw przewodni wielu rozmów toczonych we Wrocku - przyp. red.), jaką nagraliśmy jakieś 3 lata temu. Pierwsza piętnastominutowa sesja tak się spodobała znajomym, że dograliśmy kolejne parę minut. Potem to gdzieś gniło jakiś czas, aż wszyscy zaczęli mówić: 'puść gówno, gówno' i tak postanowiliśmy to wydać. Będzie jakoś we wrześniu."

Roszja nie przestaje nagrywać. Nie wie do końca, kiedy podejmie decyzję o wydaniu następnego pełnego albumu, ale marzy o nagraniu płyty przemyślanej od początku do końca, ze spójnym tematem i logicznym ułożeniem sekwencji kawałków. „Czasami siadam i myślę sobie: ale zajebisty pomysł na kawałek, piszę cztery wersy i pomysł się kończy. Mi się nie spieszy, czasem niektóre rzeczy muszą bardzo długo dojrzewać." Oprócz rapowania Roszja wyżywa się także na klawiszach i śpiewa pod prysznicem. „Nawet nie fałszuję, jak słyszę melodię, to z nią płynę, nie mam dużej skali głosu, ale wystarczy, żeby sobie podśpiewać."

Kawałki Sfondu powstają w różnych okolicznościach i wymykają się wszelkim schematom. Czasem to producent zaraża Roszję swoją wizją, czasem odwrotnie. „Ja mam swoją zajawkę muzyczną, on swoją, czasami po prostu spotykamy się w jednym punkcie." Motywem przewodnim i główną inspiracją dla Lulka przy pracy nad muzyką Sfondu jest funk. Roszja twierdzi, że wśród jego płyt hip-hopu nie ma dużo, jest za to cały przekrój przez historię najróżniejszych gatunków muzycznych. „Rock, jazz, funk – staram się słuchać źródłowej muzyki, standardów, takich kwaśniaków, słucham nawet Sośnickiej."

Podsumowując swoją przygodę z muzyką i określając swoje miejsce na polskiej scenie, Roszja mówi: „Jeśli mam w robieniu muzyki jakiś cel, to rozluzować obecną sytuację w hip-hopie, bo to jest jakaś dziwna napinka. Ja bym chciał, żeby było śmiesznie, czasem nawet bez sensu, wrzucone gdzieniegdzie takie śmieszne słowa funkowe. Jeśli przez to umiejscawia się mnie gdzieś na marginesie polskiej sceny, cóż mogę powiedzieć... Bywa". Tymczasem Roszja robi dalej swoje „gówno" i zdaje się nie przywiązywać szczególnej uwagi do lansu, ja natomiast z niecierpliwością czekam na wrześniową „gównianą" płytę.

.:Fala:.



Sean Paul

Gadający DJ

Jak jest? Każdy to widzi. Mamy środek lata, wakacje trwają, jeśli jeszcze nie ruszyliście się z domu, to na pewno planujecie, choćby na jeden weekend, na chwilę, wyrwać się z miasta ze znajomymi i trochę poszaleć. Nie mówcie, że nie - nawet redakcja Ślizgu była kiedyś młoda... Przed takim wypadem przynajmniej część z Was zastanawia się, jakie płyty zabrać ze sobą. Pomogę wam, gotowi?

Gimme The Water

Gdyby w 1996 roku ktoś próbował przeforsować w polskiej gazecie artykuł o tym artyście, zostałby odprawiony z kwitkiem. „Daj spokój, kto to jest?", „Kto będzie chciał o nim czytać?", „To jakaś potrawa?". W naszej nadwiślańskiej ostoi wszechrodzin ogólnopolskichwszyscy jeszcze żyli śmiercią Typa z Chustą, gdy za Wielką Wodą, na terytorium Jamajki, Sean Paul wdrażał nowy plan podboju świata. Poprzedni niestety zawiódł. Opierał się na dywersji od strony morza. Syn Portugalczyka i Chinki, zwany przez kolegów „Copper-Color Chiney Bwoy" długo ćwiczył wodne polo i pływanie w Narodowej Reprezentacji Jamajki, by dotrzeć na szczyt poprzez udział w Carifta Games - karaibskich otwartych mistrzostwach lekkoatletycznych w latach 1989 i 1991. Na pewno było to wielkie przeżycie i duża przygoda dla piętnastoletniego wówczas chłopaka, jednak cel nie został osiągnięty. Dlatego właśnie kompletnie zrewolucjonizował swoją taktykę. Postanowił być jak Banshee z X-menów - wykorzystać siłę swego głosu.

Pięć lat starał się okiełznać wokal, aż w końcu przystąpił do ataku. Wspomógł go Jeremy Harding, producent, którego nazwisko pojawiło się na kilkudziesięciu albumach i składankach typu „Biggest Ragga Dancehall Anthems" czy „Reggae Gold". I tak powstała mieszanka wybuchowa, której imię to „Baby Girl"- pierwszy singiel sygnowany przez Seana Paula- DJ`a (trzeba wam wiedzieć, przynajmniej niektórym z was, że na Jamajce wszystko wygląda inaczej... DJ gada, a płyty puszcza Selekta) wydany w 2 Hard Records Label. To właśnie hit, którego refren oparty został na motywie z piosenki „99 Red Baloons", otworzył przed artystą drzwi do popularności nie tylko w ojczyźnie reggae.

Gimme The Girls

Dancehall to generalnie miejsce, gdzie ludzie przychodzili się bawić, jednak, jak często bywa w muzyce, gatunek przejął nazwę terytorium. Tak jak hip-hop dziś dzieli się na wiele rodzajów, tak i reggae zawiera w sobie wiele różnych podtypów. Dancehall jest tym najbardziej imprezowym, dynamicznym i w tej chwili najbardziej odbiegającym od tematyki Jah - Syjon - Hajle Sellasje. Sean Paul od początku wiedział, że jeśli muzyka, to właśnie taka. Jeszcze jako nastolatek dostał od swojej matki (swoją drogą popularnej na wyspie malarki) odpowiednią broń do zdobycia świata: „Kiedy miałem 13 lat, matka kupiła mi ten maleńki keyboard za 30 dolców. Pamiętam, jak myślałem, że to wszystko, czego potrzebuję do dancehallowych rytmów". Odkąd jednak zadebiutował na rynku, nie musiał zajmować się muzyką - trafił pod skrzydła najpopularniejszych producentów jamajskich. Początkowo wspomagała go grupa artystów z zespołu Third World, czy ludzie pokroju Ruperta Benta, jednak, jak twierdzi sam DJ, nie odpowiadali mu. „Jestem bardzo wdzięczny tym muzykom za pokazanie mi, jaki jest biznes. Ale ja tak naprawdę nie czułem drogi, którą podążają. Jak dla mnie dancehall był najwłaściwszą ścieżką, jaką chcę podążać, by wyrazić siebie". Jak powiedział, tak zrobił.

Co jakiś czas puszczał w obieg nowe utwory, które przynosiły mu coraz większą chwałę, od „Excite Me" czy występu w piosence „Hot Gal Today" tuza muzyki DH - Mr Vegasa, po „Deport Them", który to utwór stał się dla wielu hymnem, został okrzyknięta jamajskim numerem 1 w Tony Kelly`s Bookshelf Riddim i emitowały ją radia w NY oraz Miami. Większość z tych utworów znalazła się na debiutanckim lp Stage One. Poza małymi wyjątkami, jak zawsze potwierdzającymi tylko regułę, teksty Seana oscylują wokół dwóch tematów - dziewczyn i imprez. Jak to tak - pomyślicie - i to ma być ciekawe, porywające? Oczywiście, że tak. Nawet najwięksi zwolennicy spoken words czy conscious lyrics, mają taką chwilę w życiu, że potrzebują poskakać. A nasz chłopak ma receptę na ruszenie waszych czterech liter. Owszem, o dziewczynach śpiewał już każdy, ale jest w głosie Seana coś, co sprawia, że gdy opowiada jak ona go rzuciła, one go lubią, wszystkie są piękne i każda ma tańczyć, nie przełączam hitu, tylko daję się porwać rytmom. Może to brzmienie, dość zabawny akcent, mieszanka Jamajki, Chin i Portugalii, a może po prostu posługuje się przekazem podprogowym, by podbić świat...

Gimme The Light

Jak by tego nie dokonał, odniósł wielki sukces. Wydając u schyłku 2002 roku płytę Dutty Rock, zjednał sobie potężną armię miłośników na całym świecie. Jeszcze przed premierą lp cuty z jego wokalem znalazły się w utworze DMX`a z Mr. Vegasem „Here Comes The Boom", pochodzącym ze ścieżki dźwiękowej filmu Belly (autorstwa Hype`a Williamsa). Obecnie ma na koncie współpracę z Busta Rhymesem, Jayem-Z, Neptunes, Clipse czy Tony Touchem. Mało? Został pierwszym artystą reggae, którego dwa single były obecne w tym samym czasie na antenie jednej z najważniejszych amerykańskich radiostacji. Był też pierwszym artystą reggae, którego dwa single były na słynnej liście Billboardu w kategorii singli R&B. Tenże Billboard okrzyknął go trzecim artystą reggae roku, debiut Stage One został czwartym albumem reggae roku, a pierwszy singiel promujący nową płytę, czyli „Gimme The Light", od jakiegoś czasu nie opuszcza pierwszej dwudziestki na wielu listach przebojów. Nadal mało? Ten charyzmatyczny „rudebwoy" był pierwszym reggae`owcem występującym na Hot 97`s Summer Jam, gdzie poznał osobiście takich artystów, jak Snoop, Big Daddy Kane czy Funkmaster Flex. Jeszcze? Na pewno każdy z was zna warszawski Stadion X-lecia, to „miejsce złą sławą owiane". Wystarczy się tam pokręcić przez chwilę, by wiedzieć, czego teraz szukają dzieciaki, jaki artysta teraz jest „na topie". Co możecie tam teraz usłyszeć? „Coś do komputerka? Muziczka? Neli? Pięćdziesiąt cent? Szon Pal?".

Ten DJ ma niewątpliwie talent i jest kimś więcej, niż tylko wykreowaną przez majorsów marionetką do zbijania wielkiej kasy. Atlantic, pod którego skrzydłami działa teraz, dostrzegł jego potencjał i stał się jedynie jednym z narzędzi służących do ostatecznego zawojowania wszechświata. Jest teraz, jak rymuje w jednej z jego piosenek Rahzel, „Number One", „Champion" czy „Dancehall King". Jego toasting do riddimów to najlepszy sposób na ruszenie imprezowiczów, zwłaszcza teraz, kiedy jest ciepło słonecznie i leniwie.

.:Wiedźma Cessya (Czyste Słowa):.


RBK przedstawia:
THE WESTIN
WARSAW
COOLIO
PEZET
KASTA
TEWU
MOR W.A.
FENOMEN
CNE I WSZ
GRAMMATIK
30 VIII 2003 START 19:00
HALA EXPO XXI
UL. PRĄDZYŃSKIEGO 12/14
WARSZAWA
EXPO XXI
Bilety:
59 PLN - przedsprzedaż w bileteriach EMPiK
69 PLN - w dniu koncertu
WWW.NEWBRONX.NET
SUPER express
INTERIA.PL
ŚLIZG
CITY
MAGAZINE
HIP-HOP.pl
empik news

Lil' Dap [group home]



Związany z nowojorską ulicą 24/7

Lil'Dap to połowa nowojorskiego duetu Group Home, którego prawdziwym fanom rapu nie trzeba przedstawiać. Po wydaniu w 1995 roku płyty Livin' Proof, która już zdążyła przejść do klasyki, wydali w 1999 album A Tear For The Ghetto, o którym nie było już tak głośno, po czym na dobrych kilka lat nie było do końca wiadomo, co się z nimi dzieje. Nutcracker trafił do więzienia, a Lil'Dap koncertował po świecie, m.in. w Polsce, w marcu 2001. 21 lipca tego roku zawitał do naszego kraju ponownie. Lil'Dap nie robi z siebie gwiazdy, atmosfera podczas spotkania z nim była bardzo luźna i koleżeńska, a wywiad zamienił się w rozmowę przy piwie i w oparach dymu.

Jak minęła podróż?
Była w porządku, choć jedzenie w samolocie było jak zwykle niezjadliwe, a stewardesy koszmarnie brzydkie. Plusem takich długich podróży jest to, że można przesłuchać dużo płyt, na które nie miało się wcześniej czasu. No i jeszcze był mały incydent - rozwaliłem sobie rękę, bo typ którego uderzyłem, wiesz, w stylu Mike'a Tysona, miał twardą głowę [śmiech].

To jest Twoja druga wizyta w Polsce, a jak wspominasz pierwszą?
Kurwa, było zajebiście, dlatego wróciłem! Nutcracker właśnie wyszedł z więzienia, więc następnym razem przyjedziemy tu we dwóch i dopiero zagramy zajebiste koncerty. Rozgrzejemy pierdoloną publikę do białości!

A możesz powiedzieć, za co i jak długo siedział?
Trzy lata za pobicie policjanta. Wtedy był już na warunkowym, a u nas zamykają za takie rzeczy. Ale teraz jak już wyszedł, to pełną parą pracujemy nad nowym albumem Group Home, parę kawałków już mamy nagrane i zgromadziliśmy sporo bitów. Ja skończyłem już moją solówkę I Adapt, więc teraz skupiam się już tylko na trzeciej płycie Group Home. Będziemy teraz wypuszczać kolejne single, do radia i dla dj'i, aby popuszczali to gówno w klubach, aby ludzie zaczęli to rozpoznawać, przypomnieli sobie o nas, zajarali się nowymi kawałkami. Żeby każdy następny singiel zaostrzał ich apetyt coraz bardziej i jak już nie będą mogli się doczekać, to wtedy przypierdolimy naszą płytą w rynek.

Dlaczego musieliśmy czekać aż cztery lata na Waszą kolejną płytę?
Bo robienie dobrych płyt jest praco- i czasochłonne, a nie chcemy wypuszczać gówna. Nie mogę sobie pozwolić, aby ludzie się zawiedli na nas. Wypracowaliśmy sobie pewną renomę i nie możemy zejść poniżej tego poziomu. Za to musimy go cały czas podnosić.

A jakich producentów i gości usłyszymy na Waszej nowej płycie?
Na razie jest dogadany Alchemist, Guru, Jeru the Damaja. No i ja oraz Nutcracker zrobimy parę bitów. Nie będziemy mieli dużo featuringów, bo ludzie zwykle mówią, że jeżeli artysta ma dużo gości na płycie, to znaczy, że sam sobie nie poradził, a my chcemy udowodnić po tych paru latach od naszej ostatniej płyty, że Group Home potrafi jeszcze przypierdolić dobry kawał rapu!

Co z Twoją solówką?
Pojawi się w tym roku, przed płytą Group Home, aby jeszcze bardziej zaostrzyć apetyt ludzi na naszą produkcję! Potem z Nutcrackerem i innymi ludźmi z nowojorskiego podziemia weźmiemy się za kolejne produkcje. Premier zrobi nam parę kozackich podkładów, a ja kombinuję zajebistych nieznanych jeszcze światu ludzi, niektórych z nich możecie zobaczyć na nowym teledysku Gangstarra.

Wielu artystów hip-hopowych wraca obecnie do brzmień z lat 80. i 90., podczas gdy druga ich część idzie w kierunku elektronicznych brzmień. Co o tym sądzisz i w jaką stronę Ty będziesz zmierzał?
Ja cały czas jestem blisko ulicy, jestem z nią związany 24/7. Ludzie mnie szanują w Nowym Jorku, nie tylko za to, jakie płyty nagrywam, ale za to, kim jestem, za to, że jestem prawdziwy w tym co robię. Mogę zapierdalać metrem po wszystkich dzielnicach, mam szacunek wśród ludzi, patrzą mi się w oczy i widzą, że jestem jednym z nich, że żyję w takim samym gównie, jak oni. Skoro więc żyję tak w takich samych warunkach jak przy pierwszej płycie, obracam się w tym samych klimatach, to jak mogę nagrywać inaczej, niż w stylu brudnej nowojorskiej ulicy? Zacznę kombinować w elektronice, jak osiągnę moją płytą dziesięciokrotną platynę, albo kiedy wyłożysz 100.000 kawałków [śmiech]. Jak nie, to nie interesują mnie te tematy.

Słyszałem, że jakiś czas temu nagrałeś kawałek z Warszafskim Deszczem - czy to prawda? Gdzie i kiedy będziemy mogli go usłyszeć?
Nie mam pojęcia. Nie mieliśmy okazji dokończyć tego interesu, ponieważ warunki na to nie pozwalały, mieliśmy kiepską sytuacje finansową. Mam nadzieję, że będzie jeszcze okazja, aby się z nimi znowu spotkać i to dokończyć.

A jak Ci się z nimi współpracowało?
Zajebiście i jeżeli będą możliwości, to chętnie nagram jeszcze coś z polskimi składami hip-hopowymi. Odezwijcie się do mnie, zrobię to za półdarmo, bo tak jak wy jestem biednym czarnuchem i wiem, że wszystkim jest teraz z pieniędzmi ciężko.

Co sądzisz o obecnej sytuacji na scenie hip-hopowej w Nowym Jorku?
Scena hip-hopowa w Nowym Jorku jest silna, bo tam się to wszystko zaczęło i tam to wszystko nadal trwa i się rozwija. Tam zawsze będzie współzawodnictwo, walka o pierwszeństwo, bo na tym to polega. To utrzymuje tę muzykę przy życiu, ciągle pojawiają się nowe talenty, otwierają się nowe drzwi. A ja wpierdolę każdemu, kto będzie zamykał drogę młodym raperom. My też kiedyś zaczynaliśmy, trzeba dać im szansę na rozwój, aby kiedyś tak jak my mogli pomóc kolejnym żółtodziobom. Każdego dnia pojawiają się nowe talenty, widać je w klubach, słychać w radiu i tak długo jak tak będzie, ja będę zadowolony. Aby tylko te pieniądze wykorzystywać na pomoc rodzinie, znajomym w potrzebie, to powinien być jeden z głównych powodów brania się za hip-hop, obok tego, aby udowodnić innym swoją wartość poprzez swoje umiejętności. Teraz jest dużo raperów, którzy robią to tylko dla forsy, dawno już zapewnili sobie i swojej rodzinie dostatnie życie, a robią to tylko dla profitów, bo nie starają się nawet być lepsi. Wśród nich nie ma rywalizacji, jakiegoś postępu, oni nastawiają się tylko na zyski.

Grasz wiele koncertów w różnych częściach świata, poznajesz różne style, obserwujesz hip-hop w różnych językach i w różnych kulturach. Gdzie Ci się najbardziej podobało?
No, podróżuję dużo po świecie i bardzo się z tego cieszę, bo poznaję właśnie hip-hop. Wiem, że dotarły w te miejsca wcześniej moje płyty, a teraz docieram ja. Oczywiście zawsze najlepiej gra się u siebie, czyli w Nowym Jorku, ale wszędzie indziej też jest zajebiście jak jest dobra publika. Grałem już w bardzo wielu miejscach na przestrzeni lat i wszędzie było mistrzowsko, nawet na Akropolu [śmiech]!

Co sądzisz o wojnie w Iraku, w której walczą Wasi, jak i nasi żołnierze?
Mam to w dupie w gruncie rzeczy... Czarnuchy mają w getcie wojnę na co dzień i nikt nam, kurwa, nie próbuje pomóc! Tam ludzie giną codziennie! Normalnie, kurwa, tuzin na godzinę - padają jak muchy! Ja mam wojnę za oknem, nie muszę włączać telewizora, aby oglądać wojnę, wystarczy, że wyjrzę za okno. Przyzwyczaiłem się już do tego, mimo że nie powinno tak być. Ale co zrobić?

To jesteś za, czy przeciw?
Jestem przeciwny wielu rzeczom, ale co ja, kurwa, mogę zrobić?! Nie mam nic do powiedzenia, nie mam piętnastu bilionów dolarów, żeby ponapierdalać bombami w Irak [śmiech], czy gdziekolwiek! Moje zdanie się nie liczy... Mogę gadać do oporu, a to i tak nic nie zmieni. Więc po prostu godzimy się z tym i podporządkowujemy się - tak jak wszyscy. Nie rapuję o tym w każdym razie.

Ostatnie słowo dla ludzi w Polsce, dla Twoich fanów i czytelników naszego magazynu?
Pilnujcie się, bądźcie sobą i miejcie oczy i uszy otwarte! Wszędzie wokół tyle się dzieje: wojna, bieda, tylko silni przetrwają. Trzeba się umieć utrzymać nad powierzchnią wody! Kochajcie hip-hop, to i on będzie kochał was!

.:Rozmawiali Tomek Kocoń i Pawelec:.
.:Foto Kula (LoopMagazyn):.

W co dzisiaj grają?



Radiostacja powstała blisko pięć lat temu, jako spadkobierczyni nadającej od 1957 roku Rozgłośni Harcerskiej. Bardzo szybko zdobyła sobie sławę stacji z charakterem, grającej muzykę dla ludzi o nieco większych muzycznych ambicjach, niż Budka Suflera czy Varius Manx. Była to sława całkiem zasłużona, bo tak jak niegdyś RH, tak wówczas Radiostacja starała się wskazywać swoim słuchaczom to, czego warto słuchać, nie oglądając się na obowiązujące mody i efemeryczne pseudo-gwiazdki w rodzaju Kai Paschalskiej.

Zakres programowy stacji określa w pewien sposób przyznana jej koncesja na nadawanie, zgodnie z jej treścią prezentowane utwory powinny „należeć do awangardy polskiej i światowej muzyki młodzieżowej (np. hip-hop, rap, metal, muzyka etniczna, muzyka elektroniczna)". Proporcje puszczanej przez dj'ów muzyki często się zmieniały, ale z reguły ludzie szukający inteligentnych dźwięków mogli je w Radiostacji znaleźć. Także fani rapu cenią z pewnością stację jako poważne źródło, dzięki któremu mogą obcować ze swoją ulubioną muzyką, zarówno w wydaniu nieco bardziej komercyjnym, jak i undergroundowym. Rozmaite oblicza rapu mogliśmy poznawać dzięki autorskim audycjom z cyklu „Hip-hop Wieczór", prowadzonym przez Druha Sławka, Fisza, Maria, DJ'a Deszczu Strugi i Tytusa. Mogliśmy, bowiem od 1 lipca Radiostacja zakończyła współpracę ze wszystkimi prowadzącymi, zaś cały cykl (i wszystkie audycje od niedzieli do czwartku) przejęła Monika Dąbrowska, współpracująca z rozgłośnią od 1999 roku, a ostatnio prowadząca rapowy program „Poziomuj".

Według szefostwa Radiostacji owe posunięcia mają dostosować rozgłośnię do zmian i warunków panujących na rynku radiowym. No cóż, prawa rynku są bezwzględne, a i właściciel radia (większość udziałów posiada holding Eurozet) ma prawo postępować zgodnie z tym, co dyktują mu względy komercyjne. Warto się jednak zastanowić, jakie mogły być przyczyny i jakie mogą być konsekwencje zmian w Radiostacji.

Reakcje internautów na decyzję zarządu rozgłośni były co najmniej gwałtowne. „Jedyna stacja, w której można było posłuchać hip-hopu. Żenada, żenada i jeszcze raz żenada. Niech Eurozet założy sobie kolejną stację - papkę, a nie niszczy dotychczasowy klimat Radiostacji. Jeżeli hip-hop zniknie z Radiostacji, przestaję jej całkiem słuchać i będę zachęcał do tego innych. A może zamiast hip-hopu będą puszczać disco-polo? (amos)". „Ja już to dawno przeczuwałem i to jest po prostu kolejny krok do stania się następną Eską. W tym wymiarze jaki teraz jest, nie będzie mi szkoda kiedy ktoś ich uciszy już do końca (Łukasz)". Choć nie brakowało i innych głosów: „Nareszcie, bo już srać się chciało od tego hip-hopu. Może zaczną grać jakąś przyzwoitszą muzę (imion nazwiskowy)".

Ale sytuacja wygląda trochę inaczej, stacja bowiem nie ma zamiaru rezygnować z grania rapu. „Zmiany personalne w Radiostacji nie oznaczają zmiany profilu muzycznego radia" - twierdzi Kamil Dąbrowa, szef anteny rozgłośni. A jednak można się obawiać, że te zmiany przyniosą nieuchronne zubożenie oferty programowej radia. Czym innym są bowiem autorskie audycje pięciu różnych osób, które same dobierały muzykę, a czym innym jest cykl prowadzony przez jedną prezenterkę (zaś doborem muzyki ma się zająć szef muzyczny stacji Adam „Adamus" Jaworski). Niewątpliwie jednak również osoba dj'ki budzi skrajne uczucia - od uwielbienia po szczerą niechęć (jeden z internautów nazwał Dąbrowską „niezatapialną", choć to słowo funkcjonowało raczej w świecie polityki). Cóż, kontrowersyjny prowadzący może być atutem, ale czy słuchacze nie poczują przesytu? „Nie boimy się tego, że audycje prowadzone przez Monikę mogłyby nudzić słuchaczy" - Kamil Dąbrowa nie ma żadnych wątpliwości, czy nowa ramówka się sprawdzi.

Dziwić może jednak fakt, że zarząd zdecydował się na usunięcie z eteru ludzi, którzy w świecie hip-hopu znaczą naprawdę sporo. Tym bardziej, że Radiostacja i wcześniej Rozgłośnia Harcerska nie tylko korzystały z usług autorytetów, ale same je również kreowały. Wystarczy wspomnieć, że na falach radia pracowali (a niektórzy nawet debiutowali) m.in. Piotr Kaczkowski, Wojciech Mann czy Jerzy Owsiak. „Od jakiegoś czasu Radiostacja zadziwiająco chętnie pozbywa się ludzi z charakterem" - mówi jeden z byłych dj'ów stacji, pragnący zachować anonimowość. Faktem jest, że sukcesywnie znikali z fal Radiostacji ludzie, którzy starali się na wszelki (czasem mocno kontrowersyjny) sposób urozmaicić bądź ramówkę stacji, bądź prowadzone przez siebie audycje. Z rozgłośnią pożegnali się m.in. Makak, Paweł Sito czy Max Cegielski, postaci, które budziły nierzadko skrajne emocje, ale którym nie sposób odmówić medialnej osobowości. Podobno już dwa lata temu posady hip-hopowych dj'ów Radiostacji wisiały na włosku, wtedy jednak miało uratować ich wstawiennictwo ówczesnego dyrektora programowego, Piotra Metza. A co ciekawe, jeszcze do niedawna stacja szczyciła się obecnością znanych nazwisk na antenie. Do tej pory w serwisie internetowym rozgłośni cotygodniowy program Druha Sławka anonsowano jako najstarszy program hip-hopowy w polskim radiu.

Czy zatem w poszukiwaniu prezenterskich osobowości trzeba zwrócić się do telewizji? Obecni na antenie VIVY CNE i WSZ czy O.S.T.R., szykujący się do poprowadzenia polskiej edycji „YO! MTV Raps", mogą świadczyć o tym, że to dobra droga. Zwłaszcza, że teraz idealem staje się radio, które o każdej porze dnia i nocy nadaje taki sam, pozbawiony wyrazu, program.

Czy wobec tego Radiostację czeka los kolejnej komercyjnej rozgłośni, nadającej muzykę dobrą zarówno do prowadzenia samochodu, jak i prasowania koszul? Druh Sławek nie ma żadnych wątpliwości: „Zrobili badania, wyszło im, że przybywa kretynów, w sensie ludzi, którzy słuchają wszystkiego, co im się poda na tacy i nic ich więcej nie interesuje". Według Sławka to typowo polski przykład obniżania poprzeczki, dostosowania się do najmniej wymagających odbiorców. Dodaje jeszcze, że podobnie rzecz się ma z ilością sprzedanych egzemplarzy nagrań, potrzebnych do zdobycia Złotej Płyty. Im bardziej spada sprzedaż płyt w Polsce, tym bardziej ten poziom się obniża (w tej chwili jest to 35.000 egzemplarzy). Całkiem niedawno zresztą na antenie Radiostacji pojawił się Michał „Keine Grenzen" Wiśniewski - jako gość programów poprzedzających referendum unijne. Zaproszenie lidera Ich Troje tłumaczono częściowo chęcią prowokacji, taki kontrowersyjny chwyt marketingowy działa jednak w różne strony i może niechcący zrazić część słuchaczy, ale również przyciągnąć sporą liczbę rodaków, którzy Wiśniewskiego i nagrywaną przez niego muzykę uwielbiają.

Jednak problem postępującej komercjalizacji dotyczy nie tylko Radiostacji i innych rozgłośni prywatnych, wśród „winnych" Sławek wymienia także radio publiczne - zwłaszcza Trójkę. „Nikt w Polsce nie chce robić nic dla ludzi myślących, poszukujących. Każdy chce robić wszystko dla gawiedzi, dla mas. Wszystkie stacje radiowe grają tylko to, co dostaną z firm płytowych. Żadna nie ma ambicji, żeby zagrać coś innego, nie ma stacji, która gusta kreuje, za to wszystkie nadążają za modą. Nie ma u nas jakiejś odskoczni, jaką choćby w Stanach jest college radio. W każdym college'u jest rozgłośnia, która z reguły puszcza muzykę undergroundową, to tak naprawdę jest ich kręgosłup kulturowy". U nas takiej alternatywy nie ma. Jeśli sprawdzą się najgorsze obawy słuchaczy, to luki po dawnej Radiostacji nie wypełnią ani stacje internetowe bądź pirackie (wiadomo: kwestie prawne i techniczne zawsze będą stały na przeszkodzie), ani tym bardziej stacje komercyjne, te bowiem - i jest to całkiem zrozumiałe - nie ustaną w wyścigu o jak największą słuchalność. Głównie wśród ludzi, którzy radio traktują jako tło do codziennych obowiązków.

„Radiostacja zawsze była stacją kontrowersyjną i taką pozostanie" - dumnie głosi hasło w materiałach prasowych stacji. Oby tylko nadmiar kontrowersji tej zasłużonej rozgłośni nie zaszkodził.

.:Kuba Demiańczuk:.

** Wypowiedzi internautów pochodzą ze strony www.wirtualnemedia.pl*


eis.
eiseiseiseiseiseiseiseiseiseiseiseiseiseiseiseiseiseiseiseis

No dobra, to ja zacznę w ten sposób - gdzie jest Eis?
Przez jakiś czas nie udzielałem się na scenie, co było głównie związane z tym, że pracowałem nad moją płytą. Musiałem też wyprostować parę spraw osobistych. A teraz wydałem płytę i w ten sposób chyba wyraźnie pokazuję, gdzie jestem. Ta płyta zresztą jednoznacznie pokazuje, w jakim kierunku będę się udawał również w przyszłości.

Biorąc pod uwagę Twój poprzedni projekt, Elemer, to kierunek wygląda na zdecydowanie inny. Ciężko było Elemer traktować poważnie, tymczasem Twoja solówka pokazuje, że potrafisz konkretnie zdefiniować poruszane tematy, a przy tym są to tematy poważne.
Jeżeli traktujesz płytę Elemera jako moją solówkę, to faktycznie tak to może wyglądać. Ja ją traktuję inaczej - jako projekt zrobiony wspólnie z Deną. Prawda jest taka, że nigdy nie dogadywaliśmy się zbyt dobrze muzycznie i przyszedł moment, w którym zrobiliśmy taką płytę bardziej dla jaj. Wiesz, może ona w ogóle nie powinna wyjść? To nie jest tak, że ja się od tego materiału odcinam, jest zresztą grono osób, które jara się nim do tej pory, wręcz uważając, że ta nowa płyta zawiodła ich oczekiwania. Natomiast ja w pełni mogę odpowiadać tylko za moją solówkę, płytę, w którą włożyłem siebie.

Ale muszę Cię zapytać, skąd pomysły na niektóre teksty Elemera. Już nie rozbudowujmy pytania i nie analizujmy ich zbyt dokładnie, ale spora ich część była mocno od czapy. Za dużo używek?
Był to okres, kiedy byłem mocno w szponach melanżu - nie będę ukrywał... Wpadałem do studia, coś tam pisałem, coś nagraliśmy. Byłem zajarany jakimiś amerykańskimi jazdami, ale dość płytko przełożyłem cały temat na polski. Myślę, że z tego to właśnie wynika. Jeżeli jednak chodzi o tamten okres mojego życia, to uważam go za całkiem miły. A płyty nie słuchałem od roku, bo mam lekką awersję do swojego rapowania na niej, dlatego nawet trudno mi się teraz na ten temat wypowiadać.

Na nowej płycie słychać to wyraźnie - zupełnie zmieniłeś swoje rapowe stilo, wchodząc momentami w dość karkołomne liryczne układy. Skąd inspiracja na akurat takie rozegranie tej kwestii? Słyszałem już opinie, że pojawił się polski chłopak z... Bad Boy Recs....
Nie ukrywam tego, że nie słucham ani francuskiego, ani innego europejskiego rapu. Słucham głównie amerykańskiego hip-hopu. Jeżeli chodzi o inspiracje podczas tworzenia płyty Elemera, to dziś nazwałbym to płytką fascynacją Jayem-Z. Teraz słucham wielu różnych płyt, więc pewnie coś mi tam w głowie z tego zostaje. Natomiast nie mam jednego rapera, którym bym się jarał najbardziej, który byłby dla mnie jakimś wzorem. Sądzę zresztą, że to byłoby bez sensu. Staram się szukać czegoś w sobie, wydaje mi się, że jestem trochę bliżej, niż dalej, i właśnie w tę stronę chcę iść. Pewnie będę przewijał za jakiś czas jeszcze trochę inaczej, ale to jest właśnie ten kierunek. Na pewno chcę urozmaicać swoje rapowanie, nie stawiać w kółko tych samych akcentów. Na pewno nie chciałem robić płyty, na której wszystko byłoby w jednym klimacie. Spójrz na dobre amerykańskie płyty - masz tam wszystko: kawałek uliczny, imprezowy, jakiś numer nagrany dla zabawy, inny bardziej wczuty, a mimo wszystko całości się zajebiście słucha.

Zrobiłeś oową płytę, poszedłeś w nowym kierunku, ale momentami słychać, że jednak chcesz się trochę porozliczać z przeszłością. Słychać w niektórych Twoich tekstach, że chyba mocno wkurwiły Cię niektóre recenzje poświęcone Elemerowi...
Jest jeden kawałek, „Czasem", w którym rzeczywiście napierdalam na wszystkich... Ale płyta jest według mnie zapisem emocji z jakiegoś okresu, a ten album to właśnie zapis moich emocji z ostatniego roku. Faktem jest, że do tej pory dużo pochlebnych recenzji nie miałem... Śmieję się z tego, bo wiem, że teraz już nie jest w stanie mnie to ruszyć. Kiedyś może był taki okres, że miałem wczuwkę na ten temat, ale to już minęło.

Dużo mówisz o tym, jak widzisz świat, jak mogą widzieć Cię ludzie etc., i wychodzi z tego, że nie przepadasz za tymi, którzy oceniają innych na podstawie zasobności portfela. I chyba nie przepadasz też za takimi koleżankami, co słychać choćby w kawałku „Kapitalizm".
„Kapitalizm" nie jest kawałkiem z wyrzutem do panienek, bo panienki są, jakie są. To jest z jednej strony kawałek ogólnie o pannach, które lecą na pieniądze, a z drugiej strony ma pewną dawkę autoironii, śpiewam w refrenie, że „nie mam tej forsy, ja tylko kłamię", co jest nawiązaniem do starej stylistyki... Ja prezentuję lekko materialistyczne podejście do życia, czego się nie wstydzę, choć nie jestem nastawiony na to, żeby żyć z hip-hopu. Moja muzyka jest ogólnie o tym, jak widzę świat, Polskę oraz o tym, co sobą reprezentuję. Ciężko mi powiedzieć o tym coś więcej, może to, że nie trzeba na tej płycie czytać nic między wierszami, bo to, co miało być powiedziane, zostało powiedziane wprost.

Gdybyś miał komuś, kto nie słuchał Twojej płyty, opisać Polskę w paru prostych zdaniach, to co byś powiedział?
Jestem przeciwny skrótom, a opowiedzieć rzeczywistość polską w paru zdaniach, to... Nie wiem, na co postawić by akcent. W Polsce generalnie ludzie narzekają. Ja nie mogę narzekać, bo miałem przynajmniej coś na start, choćby to, że mogę mieszkać w normalnych warunkach i się uczyć. Wydaje mi się, że w tym kraju każdy jednak może osiągnąć, co chce - takie jest przesłanie mojej płyty. W w miarę cywilizowanym kapitalizmie nie ogranicza nas nic poza tym, co sobie sami powiemy.

A co Ciebie ogranicza?
Mnie nic nie ogranicza. Mam dużo planów w życiu, a muzyka jest jedną z tych rzeczy, moją największą pasją. Ale nie jestem nastawiony tylko na robienie hip-hopu, choć wiem, że mam jeszcze kilka płyt do nagrania. Nie wiem, ile osób będzie się jarać tym, co robię. W tej chwili słyszę bardzo pozytywne opinie od różnych osób, ale mam do tego dystans - wiem, że odnieść sukces robiąc muzykę jest naprawdę trudno. Ale co by nie było i tak będę chciał nagrać te płyty, które we mnie siedzą, bo teraz jest na to czas.

Skąd wzięła się Twoja fascynacja rapem?
Po prostu zacząłem sobie słuchać rapu, a w pewnym momencie zajarałem się tym bardziej. Potem zaczęliśmy sobie z kolegami coś tam próbować robić i tak to poszło. Nie było ze mną tak, że jakoś od dziecka wyjątkowo ciągnęło mnie do muzyki. Muzykalny w ogóle nie jestem - na nutkach się nie znam, śpiewać nie umiem i jeszcze trochę seplenię. Ale to jest właśnie zajebiste w hip-hopie, że ktoś taki jak ja może swoją pracą dojść do tego, że wydaje płyty, które są na sympatycznym poziomie i których się dobrze słucha.

Łatwe było to przejście od słuchania do robienia? Czy może miałeś momenty, że większość zapisanych kartek wyrzucałeś do kosza?
Rapowałem sporo, ale takim pierwszym kawałkiem, który do końca mi się spodobał, to był ten nagrany z Noonem - „Teraz albo nigdy". To było jakiś rok temu, właśnie w tym kawałku czułem, że się przełamałem, że powstało coś wartego posłuchania i od tamtego momentu wziąłem się poważnie za tę płytę. Wcześniej robiliśmy coś z Deną, ale to nie miało ogarnięcia na poziomie, na jakim mi zależało.

Płytę zacząłeś nagrywać rok temu, ale chyba wcześniej widziałem gdzieś zapowiedź Twojej solówki, która miała nazywać się Napad Na Bauns...
To były jakieś szalone jazdy. Mieliśmy przez moment jakieś mocne opcje na jaranie się Południem, ale... Umówmy się - bauns zdechł, to była dość płytka inspiracja. Poza tym trudno, żebyśmy nagle zaczęli robić muzykę z Memphis. To nie byłoby naturalne. Tam jest taka kultura. Wiesz, zawsze warto zobaczyć, co się robi za Oceanem, bo oni to jednak dobrze robią, tylko trzeba pamiętać, że potem trzeba to zrobić po polsku.

A tamten tytuł nie miał nic wspólnego z kontitktem Gibony - Obrońcy? Ty przecież byłeś jednym z Obrońców.
Nie, nic z tych rzeczy. Z nazwą to była gra słów - napad na bank, napad na bauns. Nawet nie zabrałem się za to na poważnie.

Grasz polski rap, znasz scenę. Gdy rozglądasz się wokół, to jaki gatunek najlepiej oddaje to wszystko, co powinno być utożsamiane z polskim rapem? Bo, umówmy się, gatunków w polskim rapie nie brakuje.
Dla mnie nie liczą się gatunki, tylko ludzie, osobowości - to jest esencja hip-hopu. Jest parę osób w Polsce, o których można to powiedzieć - Vienio, Tede, Pezet, Peja, Fu - wszystkich nie wymienię, ale to są właśnie tacy raperzy, których widzisz, słyszysz i od razu wiesz, że to właśnie oni. Prawdziwa twarz sceny to właśnie tacy ludzie. Nie wyobrażam sobie polskiej sceny bez Molesty czy TDFa - nie to, żebym jarał się wszystkim, co on robi, ale jest obecny od zawsze i w każdym roku miał jakąś zwrotkę, którą się jarałem. Podobnie jest z Fu, choć on preferuje zupełnie inną stylistykę. Może to zabrzmi głupio, bo każdy tak o sobie mówi, ale ja też nagrałem płytę zupełnie inną, niż to wszystko, co wokół słychać. Nie słyszałem jeszcze w Polsce takiej stylistyki i mam nadzieję, że ktoś kiedyś powie coś podobnego o mnie. Poza tym uważam jeszcze, że coś takiego, jak styl polski tak naprawdę nie istnieje. Był kiedyś styl francuski, jakieś takie smocze jazdy, ale w Polsce na szczęście czegoś takiego nie ma, każdy stara się robić swoje.

Słuchasz więcej rapu polskiego, czy amerykańskiego?
Polski przesłuchuję, bo jakbym za dużo słuchał, to bym się mógł kimś za bardzo zainspirować. Z całych płyt, to mało mi się podobało - żeby w Polsce zrobić kilkudziesięciominutowy materiał, który miałby się cały podobać, trzeba byłoby przeskoczyć kilka spraw, również technicznych. Słucham głównie amerykańskiego hip-hopu, różnego, ale stamtąd.

Eis, wytłumacz mi jedną rzecz, akurat na Ciebie padło. Już któryś z kolei rozmówca z kręgu polskiego rapu mówi mi, że nie wsłuchuje się w polskie produkcje, bo obawia się, że potem przykseruje. O co z tym chodzi? Myślisz, że amerykańscy raperzy - skoro o nich mówimy najwięcej - nie słuchają w ogóle amerykańskich produkcji, bo...
Wiesz co? Może w sumie masz rację... Ja najwięcej słucham polskich singli, tych, które lecą w telewizjach muzycznych, a potem rzeczywiście tak jest, że mam w głowie jakieś zapamiętane zwrotki. I czasami lubię sobie, tak dla jaj, porapować, poudawać czyjś flow. Ale w sumie to... tak, to pierdolenie. I faktycznie nie wyobrażam sobie, że zacząłbym kogoś kserować. Z drugiej strony, jak czegoś słuchasz w kółko, to przychodzą zajawki. Z tym, że ja nie słucham też dużo polskiego rapu z tego powodu, że nie jest on jeszcze na zadowalającym mnie poziomie. Mogę posłuchać, ale trochę. Ja w ogóle słucham dużo muzyki, zwłaszcza od czasu, jak poznałem się z Korzeniem i wjechałem trochę w jamajskie klimaty. Zresztą uważam, że nie można słuchać tylko rapu, jak się samemu robi rap, bo inspiracja tkwi też w innych gatunkach. A już najgorzej jest, jak ludzie robiący polski rap słuchają tylko polskiego rapu - przecież w takim przypadku nie możesz zrobić nic lepszego, a to po prostu ogranicza. Na muzykę trzeba się otworzyć, nie można się ograniczać.

Masz jakieś oczekiwania związane ze swoją nową płytą?
Uważam, że jest dobra i że znajdzie się spore grono ludzi, którzy będą jej słuchać. Mam nadzieję, że będę mógł grać koncerty, bo po prostu bardzo to lubię.

Słuchałeś jej już po wydaniu? Już pewnie masz pomysły, co mógłbyś zrobić lepiej.
Tak jest chyba zawsze. Jak miksowałem tę płytę z Noonem, to miałem „dzień świstaka". Jechałem tam rano, siedziałem w studio po osiem godzin, do domu, następnego dnia znów to samo. Na pewno w tamtym momencie nie miałem czegoś takiego, jak dystans do niej. Potem nie słuchałem jej dwa tygodnie, posłuchałem i... może faktycznie parę rzeczy bym zmienił, dwa kawałki opuścił, dograł ze dwa nowe, ale jakbym tak kombinował, to pewnie wydanie by się sporo opóźniło. Teraz po prostu trzeba zacząć robić nową płytę. Na pewno jest na niej wszystko, co miałem do powiedzenia na pierwszej płycie.

Są tacy polscy emcees, z którymi chciałbyś nagrać kawałek?
Są. Na pewno ktoś z tych osób, które wcześniej wymieniłem. Mało brakowało, a nagrałbym kawałek z Vieniem, ale on akurat miał jakieś swoje zobowiązania i nie wyszło. Na pewno nie chcę się ograniczać do gości, hm, z kręgu post-obrońców, a na mojej płycie byli akurat Pezet, Małolat i Mes. I mam nadzieję, że ta płyta mi w tym pomoże.

A Elemer to już jest temat skończony?
Tak. Dena odciął się chyba od muzyki, nikt go nie widział od roku. Po prostu nasza współpraca się wypaliła.

No dobra, skoro już wiemy, gdzie jest Eis, to na koniec powiedz mi - gdzie Eis będzie?
Chcę ponagrywać dużo kawałków featuringowych, zaczynam nagrywać nową płytę, którą chce zrobić kolejny duży krok do przodu. Będę siedział dużo w studiu.

.:Rozmawiał Kowal:.

Ostr

plany, plany, plany...



Czasy nie są najlepsze i każdy z nas na swój sposób musi to odczuwać. Kiedyś wystarczylo być tylko zdolnym, lub tylko pracowitym, dziś, aby marzyć o sukcesie, trzeba obie te rzeczy połączyć. Doskonale wiedzial o tym Adam Ostrowski. Od malego szlifował swoją lirykę, zmagając się z codziennością charakternej łódzkiej dzielnicy - Bałut, uwrażliwiając swoje ucho w miarę postępów w muzycznej edukacji. Chłopak z szarego, fabrycznego miasta, oddający dużą część swojego czasu nauce gry na skrzypcach, przebojem wbijający się do czołówki rap sceny - brzmi to absurdalnie, niemal filmowo, o wiele abstrakcyjniej od 8. Mili, ale cóż... Właśnie takie scenariusze pisze życie.

O łódzkiej scenie mówiło się zawsze jak o wielkiej zgranej rodzinie, przynajmniej w czasach, kiedy szczególnie popularny był tam Obóz T.A. (który swoją drogą planuje powrót i plytę w październiku). Obozowicze nigdy nie mieli specjalnego szczęścia. Red, który dołączył do zespołu zafascynowany jego występem w Krakowie, głośno mówił, że wydany przez Cameya i niemal niepromowany malerial to niesłusznie niedoceniona plyla. Z całą pewnością byla inna, z całą pewnością bardzo nierówna, z całą pewnością przepadla z kretesem - nie ma jednak tego zlego, co by na dobre nie wyszło, bo być może właśnie dzięki temu w O.S.T.R.'ym uwidocznił się indywidualista. Typ, którego styl stawał się coraz pewniejszy, a lokalna sława wolnostylowca zaczęła z wolna wydobywać się poza miasto Łódź. Rosło też wkurwienie, wynikające z obserwacji tego, co dzieje się z rodzimą sceną rap, a co gorsza - z Polską. Mlody mc jednak nie zamierzał biadolić i rozkladać rąk, raczej punktowal ostrym jak brzytwa, podniesionym, znakomilym pod względem dykcji glosem i - co najważniejsze - w calym swoim zciśnieniowaniu nie slracił poczucia humoru.

Wyzieralo ono już z numerów solowych, które dało się słyszeć przed oficjalnym debiutem - „Ostrowski, slają dęba nawet na żelu włoski/ Wow, Ostry - jesteś boski" taki to fragment zabawnego bragga do dzisiaj zostal mi w pamięci... Szykowało się jednak uderzenie, po którym Wujek Samo Zlo chwalił się, że odkrył OSTR'a już dwa lata wcześniej, kiedy to rzekomo nikt o nim nie slyszał. I trzeba przyznać, że bylo się czym chwalić. Wydanie Masz To Jak W Banku, wraz z drugim Fiszem i Łoną, stanowiło złoty okres działalności Asfalt Records. Po jesieni 2001 rodzimy rap nigdy nie był już taki sam.

Jak scharakteryzować pierwszą plytę łodzianina? Bardzo solidna, choć może nie powalająca produkcja, obfilująca w sample smyczków. Co najważniejsze - własna produkcja. Przede wszystkim zaś flow nie do wyjęcia i coś, na co czekano - zaangażowanie w sprawy bieżące, w tym polityczne. Dziś można by narzekać, że mc problemy jedynie wymienił, nie docierając do ich sedna, ale na owe czasy była to rewolucja, naszpikowana długimi, opętańczymi popisami DJ Twistera, ładująca akumulatory wszystkim, którzy mieli okazje zwątpić, tak charyzmatyczna, iż nie sposób przelożyć tego na parę suchych słów. Fama freestylowa rosła i trzeba przyznać: to właśnie ten wykonawca przekuł nudnawe improwizowane rymy w prawdziwe show, wciągając w nie publiczność, rymując o częściach ubrań, dowcipkując. Prestiżowa wygrana w Szczecinie, gdzie Ostry pobił Obrońców Tytułu w czysto sportowej almosferze, zyskując zarazem ich szacunek i sympatię, pokazala, iż mamy do czynienia z jednostką wybitnie niebezpieczną. W którejś z linijek dostało się nawet WSZ. Z Gib Gibonem stosunki jednak były znakomile, zwłaszcza po wyjeździe do Olsztyna, gdzie reprezentant Bałut jechał pojedynkować się z TDF'em i w którego konsekwencji panowie błyskawicznie się polubili, manifestując to wspólnym, dalekim od bitewnej konwencji freestylem. Jak później się okazało - jedynie początkiem kooperacji.

Kiedy Ostry pojawił się na warszawskich zawodach freestylowych (już w charakterze jurora, „30 minut z życia" prezentujące tak lubiany przez nas frywolny styl ewidentnie polwierdzilo supremację) w trakcie występu, którego zresztą się obawiał (Warszawa jest miastem nieprzyjaznym, zwlaszcza dla lodzian i poznaniaków) przy scenie pojawili się panowie z Ewenementu, podając spragnionemu piwo i wymieniając serdeczności. W miarę narastającej ilości koncertów, ukazywała się bowiem druga natura Ostrego: przyjacielskiego, do przesady, aż nienaturalnie skromnego gościa, z którym każdy bił piątkę i znajdował wspólną plaszczyznę na koncertach, czy w internecie. Wiele składów nie mających specjalnych szans na beaty z pierwszej półki wykorzystało swoją szansę, uzyskując podkłady, czasem nawet gościnne występy. Łodzianin produkowal zaś coraz lepiej, urozmaicając styl, ale i skłaniając się czasem do zbyt łatwych rozwiązań ala Ośka. Umiał jednak zapewnić mocne, syntetyczne brzmienie produkcjom dla Eisa czy TDF'a, na Junoumi z kolei idąc w bardziej tłustą, funkową stronę, zaś dla ziomków z Familii HP przygotowując numery bardziej „nowojorskie".

Nie dość, że był pożądanym raperem, stał się pożądanym producentem i jednym z bardziej płodnych ludzi w Polsce, oczywiście cały czas poniżej pewnego poziomu nie schodząc. Towarzyszyla temu mądra polilyka - O. w konsekwencji nie stal się częścią Obrońców Tytułu, ani Gib Gibonu, żyjąc w zgodzie ze wszystkimi, czy jak uważają złośliwi: mówiąc artystom i publiczności dokładnie to, co chcą uslyszeć. Uznanie wywołuje zawiść - nawet we wlasnym mieście jedna z grup zwyzywała mu matkę, pojawily się kuriozalne dość zarzuty o pisanie wolnych styli, artysta mówil również o telefonicznych pogróżkach, które wyniknęły po pierwszym albumie. Raper odżegnując się od ukladów stworzył coś na kszlalt własnej grupy - zrzeszające Tomilę i Kochana Tabasko.

Kiedy grunt był już należycie przygotowany, a cala hip-hopowa Polska krzyczała „Aleksander zabakaj" i „Lepper, co jest cepie?!", pojawił się drugi album. Urozmaicony, zarówno pod względem muzycznym, jak i warsztatu nawijacza (wachlarz imponujących flow, nienaganna technika), z wiele mówiącymi występami Pezela, TDF'a i Vienia (a więc w dużym uproszczeniu i ogólnieniu: trueschool, bounce i hardcore obok siebie) - zatem imponujący, choć pozostawiający uczucie niedosytu: wszystkie tematy i przemyślenia stronily od finezji i jakby gdzieś już były. Nawet szarganie autorytetów takich jak Wajda, czy sięgając nieco niżej: Malysz, nie przynioslo ognia znanego z debiutu - może z wyjątkiem perfidnego, wymierzonego w sieciowych szczekaczy z hermetycznymi umysłami „Ziom za ziomem", które właściwie w momencie ukazania się było już klasykiem.

Łodzianin bardzo mocno uwierzył w siebie, nabral dystansu, coraz częstsze zarzuty o koniunkturalność spływały po nim. Pojawiał się na presliżowych pozycjach - świecil jasno na tle halogenów w drugim klipie promującym Kodex Magiery i L.A., rymował na zignorowanym przez część słuchaczy, choć ważnym dla polskiego Południa Eksperymencie Psyho i Mixtapie Haema. Lada chwila można będzie uslyszeć go na trzecim Mixtapie guru gramofonów w Wielkopolsce - Decksa. Nie ominął też Al Hub Reda, jednak chemia okazala się słaba, relacja między panami uległa zaś później znacznemu ochłodzeniu, co dodaje pikanterii faklowi, iż O.S.T.R. obejmuje pieczę nad Polską edycją „Yo! MTV Raps" w momencie, kiedy telewizyjny żywot kończy prowadzony przez Reda „MTV Squad".

Nie trzeba być przekonanym do owoców pracy Adama Ostrowskiego, by być pod wrażeniem jego potencjalu. Wzorcowe flow, wzorcowy głos, udane produkcje - jeżeli kiedyś rzeczywiście powstanie hip-hopowy uniwersytet, takie osoby będą tam niezastąpione. Mało kto bowiem dysponując zaledwie dwoma pełnoprawnymi albumami w dyskografii, osiągnął tak wiele. Kiedy ostatni raz widziałem bohatera artykułu, wydawal się wyczerpany - tempo życia staje się szybkie, w chwili pisania artykułu artysla znajduje się w Londynie. Być może jest zmęczony dlatego, że szykuje nam kolejne dwie produkcje: jedną sygnowaną Tabasko, drugą zaś klasyczną, O.S.T.R'ową. Warto czekać i posłuchać, ta kariera może mieć bowiem wiele niekonwencjonalnych zwrotów. Rozdano póki co niewiele kart.

.:Flintstone (CS):.





eminem
szoł przez S

Minęły już czasy, kiedy pojawienie się jakiegoś zachodniego wykonawcy rapu w Polsce było wydarzeniem tak wielkiego kalibru, że wszystkim na dłuższy okres zamykała się buzia, a spowodowana tym wydarzeniem nirwana trwała niemal w nieskończoność. Widzieliśmy już nad Wisłą sporą grupkę znanych emcees, przyjeżdżają do nas także undergroundowcy, można spokojnie zaryzykować stwierdzenie, że nie jest źle. Choć może nie mamy pełnego spektrum wykonawców zza Wielkiej Wody na wyciągnięcie ręki, a dylematy typu "Iść na Nasa czy na De La Soul?" jeszcze się nie pojawiają. Może kiedyś się pojawią. W każdym razie, jak ktoś ma niedosyt, zawsze może ruszyć na najbliższy Zachód, czyli do Niemca, gdzie rap-koncerty nie dość, że odbywają się bardzo często, to jeszcze...

Anger Management Tour to firma o ogólnoświatowym zasięgu, która zajmuje się przygotowywaniem koncertów ściągających dzikie tłumy. Specjalizuje się w rapie i ostrych brzmieniach gitar, czasami łączy te oferty, czasami nie. Tematem przewodnim wydarzenia, które przygotowali w połowie czerwca w Hamburgu, była światowa trasa Eminema i przyjaciół z jego labelu, czyli "The Eminem Show". Zanim jednak na scenie pojawił się Em, działo się naprawdę wiele.

Stadion miejscowego HSV to betonowy kolos. Wejść ma chyba ze trzydzieści, wszystko elegancko opisane, co jest dość istotne, bo na bilecie dokładnie wskazują ci twoje miejsce. No, chyba że masz sektor na płycie boiska, wtedy nie możesz liczyć na to, że położysz gdzieś swoje cztery litery, ale za to wyskaczesz się do woli. Ogólnie organizacja jeszcze przed rozpoczęciem koncertu powalała - mnóstwo punktów z kanapkami, napojami i piwem, kolejka - jak jest - idzie błyskawicznie, a jak masz już zwrotny kubek do napoju czy browarka, to napełnią ci go potem chodzący po sektorach kosmici z pełnymi bańkami na plecach. Każdy, kto stracił pół koncertu rapowego w Polsce, bo zachciało mu się stanąć w kolejce po coś do picia, doceni podobną organizację. Plusów można wymienić jeszcze przynajmniej kilka - spokojna ochrona, zero awantur, choć na stadionie zebrało się ponad 60.000 ludzi!

Olbrzymia scena, wielka, zasłaniająca ją kurtyna. Punkt 18 pyk!, rozsuwa się. Sporych rozmiarów reprodukcja okładki ostatniej płyty Xzibita. Po chwili sam X wjeżdża na scenę na... rowerze. Energetyczny, znakomity show, czterdzieścikilka minut rapowej rzeźni. Świetna współpraca z publicznością. X kończy i zapowiada Cypress Hill.

Żeby nie było wątpliwości - na bilecie widnieje tylko "Eminem + guests", żaden z supportów nie jest zapowiedziany. Nawet Cypress, choć to kapela z kilkunastoletnim stażem, jedna z hip-hopowych ikon. Znakomity koncert, choć B-Real musi posiłkować się hypemanem, a na scenie nie ma z nim Sen Doga. W pewnym momencie całość uwagi skupia się jednak nie na emcee, nie na DJ'u Muggsie, tylko na perkusiście zespołu, Eriku Bobo (był kiedyś w Polsce z Beastie Boys). "Znacie drum'n'bass?" - pyta B-Real. Po twierdzącej odpowiedzi tłumu mówi: "Eric robi to gówno bez komputera...". I faktycznie, kolejne kilkadziesiąt sekund to niesamowita porcja granych na żywo breakbeatów.

Wszyscy zgromadzeni czekają jednak na Eminema. Chwilę muszą poczekać, po kolejnym odsłonięciu kurtyny wiadomo, dlaczego. Cała scena to wesołe miasteczko, a Em zjeżdża do publiczności z wielkiego diabelskiego młyna. Chwilę przedtem na trzech olbrzymich telebimach można było obejrzeć specjalnie przygotowane intro - fragmenty teledysków, animacje, telewizyjne wystąpienia przeciwników rapu i Eminema. Miasteczko żyje swoim życiem, Em biega jak szalony, pojawiają się goście - D-12, Obie Trice oraz 50 Cent wraz z G Unit. Cały show wyreżyserowany jest tak, by każdy z gości miał w nim swój "autorski program". Wrażenie niesamowite, czuć, że każdy element koncertu jest starannie dopracowany, nad całością czuwa reżyser, choć nie brak momentów w pełni spontanicznych.

Można byłoby napisać jeszcze wiele słów. Obejrzyjcie lepiej zdjęcia. I miejmy nadzieję, że kiedyś podobny show, z taką ilością gwiazd i przygotowany z takim rozmachem, obejrzymy również u nas.

.:X:.



sistars
siła sióstr

W Warszawie już od dłuższego czasu słyszało się o Sistars. „Wiesz, to takie dwie siostry z Bednarskiej, które śpiewają r'n'b". Swoją własną publiczność mają od lat, jako że dały w Warszawie wiele koncertów w klubach takich jak Punkt czy Trasa. Jednak dopiero niedawno zainteresowały się nimi osoby ze światka polskiego hip-hopu. To rosnące zainteresowanie zaowocowało nawiązaniem przez siostry współpracy z nową wytwórnią Wielkie Joł. Już we wrześniu odbędzie się premiera debiutanckiego albumu Natalii i Pauliny, występujących pod pseudonimami N'Talia i Lil'Sista. Album, w całości zagrany na żywych instrumentach, będzie nosił nazwę Siła Sióstr. Na niedzielny wywiad siostry przyszły bezpośrednio po ceremonii ślubnej, na której w duecie śpiewały Ave Maria...

Kiedy odkryłyście swoją pasję śpiewania?
Natalia: Poczułyśmy ją bardzo wcześnie, jak byłyśmy jeszcze małe. Nasi rodzice zawsze śpiewali ze sobą. Dziadek był muzykiem na weselach, grał na harmonii, babcie śpiewała w chórach kościelnych. Każdy w rodzinie śpiewał, lub na czymś grał. Cała rodzina miała muzyczne zdolności, no i my siłą rzeczy miałyśmy to we krwi. Od małego śpiewałyśmy razem i jeszcze nie przestałyśmy [śmiech].
Chodziłyście do szkoły muzycznej?
N: Tak, grałyśmy na wiolonczelach w podstawówce muzycznej i potem poszłyśmy do szkoły drugiego stopnia. Ja byłam na dwóch kierunkach, po czym zrezygnowałam. Byłam na rytmice przez 2,5 roku i przez pół roku na piosence. Potem wyjechałam do Stanów i jak wróciłam, to pochodziłam jeszcze przez następne pół roku, po czym przestałam w ogóle, bo nie miałam czasu na śpiewanie poza szkołą.
Czego uczy się na rytmice? Na czym to polega?
N: Główną rolę gra tu fortepian. Trzeba bardzo dużo ćwiczyć na fortepianie, jest też improwizacja... Wszystko to zmierza do tego, żeby uczyć potem dzieci, na przykład wychowania muzycznego. To jest bardzo szeroki wydział i najcięższy chyba, jest na nim najwięcej zajęć.
P: Ja przez rok jeszcze grałam na wiolonczeli, po czym niestety moja nauczycielka okazała się być zazdrosna o śpiewanie i zaczęła mi komplikować życie, musiałam więc zrezygnować.
Jak to - była zazdrosna o śpiewanie?
P: Dostawałam piątki z egzaminów na wiolonczeli, mimo że nie ćwiczyłam wymaganych pięciu godzin dziennie, wszystko było niby w porządku, tylko po prostu jej nie godziło to się ideowo. Czułam, że oczekuje ode mnie wyboru: albo grasz albo śpiewasz.
Gracie jeszcze czasem na wiolonczeli?
N: Nie, już nie, bo to boli [śmiech]. Choć mamy w domu wiolonczelę Bartka, naszego basisty, który też kończył wiolonczelę w Olsztynie. Zrobił nawet dyplom i dograł teraz sporo wiolonczeli na naszą płytę.
Jak poznałyście chłopaków grających w zespole?
N: Poznałyśmy ich w Muzie na jam sessions.
P: Znałyśmy ich też z Bednarskiej.
N: No, ale na Bednarskiej było trudniej się z nimi zapoznać. Co miałyśmy zrobić? Powiedzieć: Cześć, nie jesteśmy takie małe i umiemy śpiewać, chcemy z wami grać, bo wy fajnie gracie? No nie! Trzeba było iść do Muzy i na jamie wyjść na scenę i z nimi zaśpiewać jakąś totalną improwizację [śmiech].
P: To było jakieś trzy lata temu, kiedy odbywały się w Muzie cykliczne jamy. To był wtedy taki ośrodek pierwszych funkowych jamów, schodziło na nie mnóstwo ludzi i zawiązało się wtedy dużo zespołów, które wciąż razem grają.
Kto komponuje muzykę dla Sistars?
N: Powstają bity robione na spokojnie przez Bartka i Marka. Siedzą sobie oni przy komputerze i dogrywają różne instrumenty. Potem przychodzimy my, wymyślamy o czym jest piosenka i siedzimy tak razem we czwórkę i rzeźbimy. Reszta zespołu oczywiście przychodzi dograć swoje instrumenty, ale nie siedzi przy komponowaniu.
Mam płytę live z koncertu w Punkcie, gdzie Paulina sama śpiewała m. in. piosenki Mary J. Blige i Jill Scott...
P: Tak, jak Natalia była w Stanach, to śpiewałam w różnych miejscach.
Rozumiem, że zaczęłyście występy od śpiewania coverów znanych utworów. W którym momencie postanowiłyście zacząć nagrywać swoje rzeczy?
P: Chyba jak poznałyśmy Marka i Bartka.
N: Jak ja wyjechałam...

P: To powstała jedna piosenka w tym czasie... [śmiech]
N: No tak, ale mnie nie było, Bartek mieszkał u nas w domu i zaczęło w piwnicy powstawać powoli studio. Ja byłam w Stanach i zaczęłam pisać piosenki, bo nie wytrzymywałam tam tak bezczynnie, wiedząc, że oni coś tu kombinują. Jak wróciłam, to miałam kilka numerów, oni też mieli już kilka i zaczęliśmy razem komponować nowe.

Jak wam idzie mierzenie się ze słowem pisanym?

P: Początki były ciężkie, ale tak naprawdę nie jest to trudna sprawa. Trzeba tylko kontrolować parę rzeczy - na przykład, żeby nie być za bardzo rozlewisto-poetyckim. Trzeba po prostu usiąść i pisać... o życiu... [śmiech]

Do tej pory niewiele osób dotykało soulu i r'n'b na polskiej scenie. Co wyróżnia Sistars, że nie miałyście oporów tak odważnie uderzyć?

N: Myślę, że wiele osób w Polsce zaczyna już kombinować w stronę tej muzyki. Ja te osoby rozumiem, bardzo dokładnie je obserwuję, ale nie zawsze popieram efekty ich starań. Chciałybyśmy trochę zamieszać w głowach, a przede wszystkim w sercach miłośników r'n'b, żeby zdali sobie sprawę, ile istnieje różnych interpretacji tego stylu. Fakt, że śpiewamy po polsku, powinien trochę pocieszyć tych, którzy nie wiedzieli dotąd, jak dużą melodyjnością odznacza się nasz język. Poza tym mamy szczęście, że są z nami wspaniali muzycy i realizatorzy. Ekipa w studio to również Sistars. Marek Piotrowski i Bartek Królik produkują wokale, szukając takich nowych brzmień, jakich nie „ukręcono" jeszcze w naszym kraju. No i koncerty, gramy je w pełni na żywo, w składzie: U1 na bębnach, Przemek Maciołek na gitarze, Bartek i Maruś. I to nie jest jazz albo funk, co się zdarzało do tej pory w klubach warszawskich, ale r'n'b po polsku z domieszką soulu i hip-hopu.

A czy czujecie się częścią sceny hip-hopowej w Polsce?

N: Ja się częściowo czuję, aczkolwiek nie częścią stricte hip-hopową, bo głównie śpiewamy. Jest w sumie kilka numerów, w których rymujemy, ale to bardziej mimo wszystko działa na zasadzie r'n'b, czyli raczej przyprawy do hip-hopu dla złagodzenia smaku ogólnego. Do tej pory byłyśmy z dala od polskiej sceny hip-hopowej, dopiero uczymy się, co się na niej dzieje.

Nie boicie się krytyki i niezrozumienia ze strony środowiska hip-hopowego?

P: Już nas wyzwali na forum hip-hop.pl [śmiech]. Nie mamy co się krytyką załamywać, ale bierzemy ją pod uwagę.
N: Liczę na to, że będzie dużo krytyki, bo z niej można się wiele nauczyć o sobie. Jak na razie jest też sporo miłych opinii, dużej liczbie osób się podobamy.

Jak sądzicie, czy po Waszej płycie pojawi się konkurencja?

N: Konkurencja rodzi rozwój. Ja wręcz oczekuję, że wraz z wydaniem naszej płyty pojawi się dużo konkurencji i że to wpłynie na nas twórczo. Takie mam osobiste podejście do krytyki: liczę na nią, ale nie poddaję się jej. Obserwuję, dużo słucham i wyciągam wnioski. Na tym to polega.

Kiedyś grałyście w Warszawie bardzo często - same dbałyście o swój „managment"?

P: Tak, ale nie było łatwo. Dzwonienie do wszystkich po kolei, załatwianie akustyków, niełatwa sprawa.

Macie takie bogate doświadczenia koncertowe, to chyba i tremę już okiełznałyście?

N: Ja w ogóle nie miewam takich zjawisk [śmiech]. Oczywiście wyjście na scenę motywuje, ale to jest taki fajny moment, że wcale nie ma żadnego strachu.
P: Najfajniejszy moment, to kiedy publiczność zaczyna śpiewać nasze piosenki. Wszyscy faceci stojący pod sceną krzyczą tekst do „Spadaj" [śmiech].

Jak jest różnica między śpiewaniem w studiu a koncertami?

N: Nasza praca w studiu wygląda tak, że Marek i Bartek są bardziej zrównoważeni, konsekwentnie dążą do celu, a my jesteśmy spontaniczne - okiełznanie nas w studiu zajmuje trochę czasu. To, co nagrywamy, to sama esencja tego, co mogłybyśmy zaśpiewać. Często chłopaki nas hamują, mówiąc: Ok., opanuj się, zaśpiewaj to tak i tak, bez szaleństw. To szaleństwo możemy natomiast wydobyć z siebie na koncertach.

Jesteście krytyczne wobec tego, co nagrywacie w studiu?

P: Generalnie dążymy do tego, żeby całej naszej czwórce w studiu spodobało się na tyle, żeby móc z czystym sumieniem to wypuścić. Jak ktoś nie jest z siebie zadowolony, to lepiej, żeby nie pokazywał tego innym.
N: Wyszłyśmy z założenia, że każdy osobno powinien być zadowolony z tego, co sam robi - to jest podstawa, żeby wszystko było dobrze.
P: Tak... ostatnio dużo debatujemy nad ustaleniem zasad pracy w studio [śmiech].

Jak dzielicie się partiami wokalnymi?

N: Każdy powinien śpiewać, co sam wymyśli, bo zrobi to z najczystszej zajawki. Tak jest u nas, chyba że któryś chłopak wymyśli jakiś motyw. Wtedy ja mówię: dobra, to jest wysoko, to może Paulina, albo jeśli falsetem, to lepiej ja.

Macie takie ustalone specjalizacje?

N: Mamy trochę inne barwy i trzeba je dobrze rozłożyć w utworze. Paulina ma więcej powietrza w głosie, ma więcej szmeru obokdźwiękowego, że tak to nazwę, to jest takie ocieplające...
P: Tak, ja lubuję się w balladach, a Natalia jest bardziej hardkorową wokalistką [śmiech].
N: Ale Paulina może też bardzo dobrze zakrzyczeć, takim ostrym dźwiękiem.

To co Ty w końcu robisz dobrze? [śmiech]

N: No, nie wiem...
P: To jest dziewczyna, która ma dobry środek po prostu! [śmiech]

A która z Was jest lepsza?

N: Oooo, to już trzeba pozostawić krytyce zewnętrznej.
P: My jesteśmy zrośnięte, więc nie ma mowy o porównywaniu.

Nie spodziewałam się odpowiedzi, tylko badam reakcję. Często na pewno jesteście porównywane i - jak wiadomo - w rodzeństwie bywają z tego powodu spięcia. Jak jest u Was, pure love?

P: Tak, pure love!
N: Nie takie jak u Tatu, ale love zdecydowanie...

Nie macie siebie czasem dosyć - 24 godziny na dobę, razem w studiu, razem na koncercie, razem do domu zjeść kolację? Jak to wpływa na twórczość?

N: Dobrze. Choćby 1.000 osób nam mówiło, że jesteśmy beznadziejne, albo nie umiemy czegoś, to my jesteśmy zawsze razem i możemy się wspierać. Na wiele tematów w ogóle nie musimy rozmawiać, bo się rozumiemy bez słów. Dlatego tytułem albumu będzie Siła Sióstr. Jest kilka takich numerów na płycie, na przykład „Ding Dong", gdzie dajemy wyraz temu, jak to jest zajebiście, że mamy siebie we dwie i że się dogadujemy.

A jak się pokłócicie, to nie ma to wpływu na Waszą współpracę?

P: My się w ogóle nie kłócimy!
P: Nie, no kłócimy się, ale o jakieś bzdety i rzadko.
N: Mamy na tyle różne charaktery, że jakoś się dopasowujemy. Jest tyle nielajnych rzeczy dookoła nas, że musimy mieć jakieś odreagowanie w siostrzanej sielance [śmiech].

Natalio, wspomniałaś, że byłaś dłuższy czas w Stanach, co tam robiłaś oprócz pisania piosenek, co już wiemy?

N: Wyjechałam tam na czas matury, bo była taka możliwość. Paulina została, bo była za młoda. Mogłaby jechać teraz...
P: Nigdzie się nie wybieram, za dużo rzeczy się dzieje tutaj!
N: Mieszkałam tam niedaleko Chicago w rodzinie z trójką dzieci, ale nie było to żadne niesamowite przeżycie i mimo że poznałam parę osób, nie był to okres jakiegoś wielkiego rozwoju muzycznego. To nie Nowy Jork [śmiech]. Śpiewałam tam dużo sama, ćwiczyłam, bo cały czas dostawałam wiadomości z Polski, co robi Paulina, jak się studio w domu rozwija. Ach, napawało mnie to tęsknotą za ojczyzną [śmiech]. Sama się wzięłam więc do roboty i tyle.

Co na to Twoja rodzina w USA, że im hałasowałaś od rana od nocy?

N: Byli raczej szczęśliwi, bo... udało mi się przynieść im taki mały zaszczyt. Śpiewałam na międzystanowym konkursie chórów i dostałam nagrodę za solo żeńskie. Jak na amerykańskim filmie, moja rodzina ze łzami w oczach wpadła mi w objęcia ze słowami: „Och, jesteś naszą córeczką, wygrałaś, ach, jak wspaniale!"

Jak znalazłaś się na takim konkursie?

N: W każdym highschool jest chór, który śpiewa i tańczy, i raz na jakiś czas organizowane są dla nich międzystanowe konkursy... Ten konkurs nie był chyba z całego USA, tylko z jakiegoś bliżej mi nieznanego obszaru Stanów [śmiech].

Ale tam chyba dominują panny typu Britney Spears...

N: Też, ale jest dużo bardzo utalentowanych ludzi. Są osobne konkursy solistów i zostałam solistką, bo bałam się, że będę musiała tańczyć i wszystko rozwalę, bo sobie nie radziłam totalnie [śmiech]. Dostałam solo, nauczyłam się śpiewać tak, żeby nie było słychać akcentu i... wygrałam. To była piosenka z musicalu Aida. Nie z opery! [śmiech]

Co wygrałaś?

N: Zaszczyt... [śmiech] Medal i jakieś takie złotko na ścianę.

Na Waszej płycie będą piosenki po angielsku, czy ma to związek z Twoją powyjazdową fascynacją tym językiem, czy jest zapowiedzią podboju kontynentu?

P: Fajnie by było...
N: Napisałam te teksty będąc w Stanach, to dlatego...
P: Fajnie by było nagrać całą anglojęzyczną płytę... i pojechać w trasę po Europie.
N: Trochę łatwiej jest śpiewać po angielsku, ale w polskim ciągle odkrywamy coś fajnego i uważamy, że nie jest to trudny język do śpiewania. Nie spotkałam się z opinią, że polski jest łatwy czy plastyczny, ale moim zdaniem tak jest. Z tych wszystkich „sz" i „cz" można zrobić niezłe efekty specjalne [śmiech].

Jak poznałyście chłopaków z Wielkiego Joł?

P: Miałyśmy koncert w Trasie i był tam Ostasz. Już następnego wieczoru znaleźliśmy się w domu Tedego i rozmawialiśmy o wspólnym nagraniu jednej piosenki, która powstała jeszcze następnego wieczoru. Był to „Zeszyt Rymów". Potem Ostasz zaproponował nam współpracę i tak właśnie się stało.

Czy myślałyście wcześniej, żeby wydać własną płytę?

N: Wiele kontraktów już przepłynęło przed naszymi oczami, ale nie było to nic ciekawego, były raczej „cyrograficzne". Gdzieś tam uderzyła nas i duża wytwórnia, ale nie spodobały nam się warunki. Wielkie Joł jest może małą i nową wytwórnią, ale za to szczerą w przekazie. Poszłyśmy na pierwszy ogień, ale zawsze gdzieś w życiu trzeba zaryzykować.

Jakie macie plany?

P: Grać dużo koncertów.
N: Plany mamy muzyczne, i to rozległe, ale na razie musimy jeszcze skończyć tę płytę jutro i pojutrze [śmiech]. Poza tym jest wiele fajnych czynności, jakie można robić w życiu poza śpiewaniem.

A co Was zajmuje oprócz śpiewania?

P: Ja już myślę o maturze w przyszłym roku. Co potem, to nie wiem, myślałam o psychologii...
N: A ja studiuję w Łodzi na produkcji filmowej i pracuję w firmie sitodrukowej u rodziców. Robię projekty graficzne.
P: Natalia jest autorką okładki naszego singla i płyty.
N: Autorką okładki płyty, owszem, jestem, tyle, że ona jeszcze nie istnieje [śmiech].

Dużo ćwiczycie?

N: Codziennie staramy się 2 godzinki poćwiczyć osobno i potem jeszcze chwilę razem. Musimy się wzajemnie kontrolować, żeby się razem zgrywać.
P: Musimy znaleźć porozumienie, żeby potem na koncercie nie było porozumiewawczych spojrzeń: o co ci chodzi?, co ty robisz?
Nauka nauką, ale każdy wokalista ma swojego mistrza wśród sław. Kto jest zatem najlepszą wokalistką na **świecie?**
N: Lauryn Hill, Erykah Badu....
P: Dla mnie Chaka Khan, i Erykah też, i Angie Stone i... Whitney Houston z głosem o sile wszystkich sióstr.

.:Rozmawiała Fala:.
.:Foto WZR:.





massey

Nowe pokolenie - właśnie TAK!

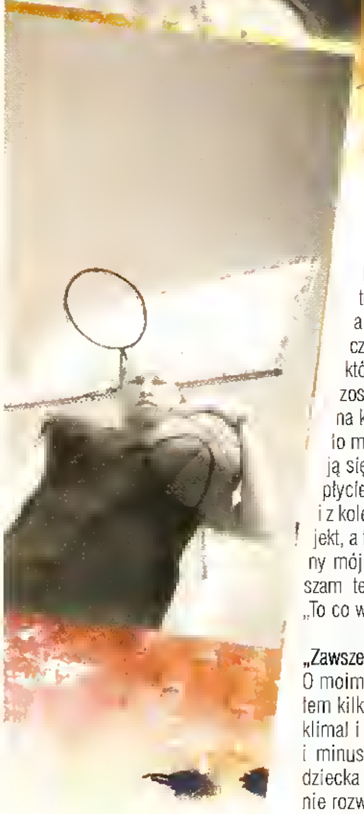
INTRO

Bohaterem cyklu Nowa Twarz jest dziś Massey - chłopak z Inowrocławia, którego nie mielibyśmy okazji poznać, gdyby nie „Nielegalna Akcja SLG" - do wzięcia w niej udziału cały czas zapraszamy. Massey zajmuje się robieniem hip-hopu i zawodowo gra w koszykówkę. Na swoim koncie ma dwa klipy: „Ej Chłopak" i „Nowe Pokolenie", które można zobaczyć na VIVA Polska, a także trzy albumy na nielegalu. Razem z nim rymuje jego ojciec, który chyba jest najstarszym raperem w Polsce. O tym i o wielu innych rzeczach, które kryją się za jego wersami, Massey postanowił nam opowiedzieć.



„Zawsze chciałem być tym, kim teraz jestem"

To, co teraz robię, to, czym się teraz zajmuję, nie wyniknęło z tego, że życie się tak ułożyło - po prostu chciałem, żeby tak było. Od dziecka miałem jak każdy jakieś swoje marzenia, które z uporem realizuję. Nie jest to łatwa droga, ale krok po kroku wspinam się i wraz z upływem czasu podnoszę swój poziom na boisku i na scenie. Będąc dzieckiem, oglądałem w TV pierwsze mecze koszykówki i teledyski, które docierały zza Oceanu. Wiedziałem, że chcę grać w kosza i nagrywać hip-hop. Marzenia z dzieciństwa są często przez ludzi odsuwane na bok. Moją dewizą jednak jest dążenie do wyznaczonego sobie celu. „Trzeba robić swoje i nie zważać na problemy, właśnie tak robię chłopak, do przodu idziemy." Nigdy się nie poddaję, „bo zdaję sobie sprawę, że nie ma odwrotu, muszę zawsze iść do przodu i na wszystko być gotów".



„Hip-hop styl, nie będę tego krył, to co uwielbiałem, będę kochał z całych sił"

Moja przygoda z hip-hopem zaczęła się dość dawno, bo 11 lat temu. Na początku słuchałem różnych kapel ze Stanów, a potem nagrywałem swoje pierwsze utwory w domu. Nadszedł czas, kiedy po raz pierwszy w studiu zrobiłem kilka numerów, które szybko rozeszły się w środowisku hip-hopowym. Następnie został nagrany nielegal, który zawierał 12 utworów. Obecnie mam na koncie trzy płyty, które puszczam między ludzi. Pierwsza płyta to mój solowy projekt. Album nosi tytuł Betonowy Świat i znajdują się na nim m.in. utwory, do których zrobiłem klipy. Na drugiej płycie rymuję wspólnie z Masseya Starym, czyli moim ojcem i z kolegą z osiedla. Płyta została zrobiona pod szyldem Miejski Projekt, a tytuł płyty brzmi Myśl Co Robisz. Trzecia płyta to po raz kolejny mój solowy materiał Słowem Operuję. W moich tekstach poruszam tematy z życia codziennego, które dotyczą nas wszystkich. „To co widzę opisuję, mówię o tym co cieszy a co denerwuje".

„Zawsze w tym miejscu, bo tu najlepiej jest"

O moim mieście, Inowrocławiu, i osiedlu, gdzie mieszkam, nagrałem kilka utworów. Trzeba tu żyć, żeby wiedzieć, jaki to miasto ma klimat i jacy w nim mieszkają ludzie. „Tak jak wszędzie są tu plusy i minusy", ale bardzo dobrze się tu czuję, bo mieszkam tu od dziecka i znam mnóstwo wspaniałych ludzi. Lokalna scena jednak nie rozwija się tak, jak powinna, gdyż mało jest imprez hip-hopowych i rodzi się chora rywalizacja między składami. „Każdy się wozi, a nikt się nie lubi, że tu wszyscy razem, tak tylko się mówi". Szanuję to, co robią inni i chciałbym, abyśmy wszyscy mogli tworzyć jedną wielką siłę, a nie zlepek indywidualności.

„Nowe pokolenie, basket boisko, wiesz o co chodzi, to dla nas wszystko"

Jestem reprezentantem „Nowego Pokolenia" i jest nim każdy, kto do czegoś dąży w muzyce lub w sporcie - ludzie, którzy żyją podobnie jak ja, a nie mogą się przebić, ale robią swoje i mocno wierzą w siebie. Moją drugą pasją, obok muzyki, jest koszykówka. Gram zawodowo w lidze, a po sezonie lubię uliczne gry - gram z każdym, wszędzie i o każdej porze. Wszystkie dotychczasowe, najlepsze akcje z meczów ligowych, ulicznych, letnich obozów można obejrzeć na MIXTEJPIE - Nowe Pokolenie cz. I, który nagrałem amatorską kamerą. Materiał został rozprowadzony w podziemiu i z tego co wiem, dużo osób w całej Polsce identyfikuje się już z „Nowym Pokoleniem".

„Dziwny ten świat, Massey i mój stary w jednym numerze"

Kawałek „Dziwny ten świat" nie jest jedyną produkcją, w której nawija mój ojciec (Masseya Stary). Na płycie Miejskiego Projektu nagraliśmy wspólnie kilka utworów, a obecnie pracujemy w studio nad nowym materiałem. Jest to nieprzeciętny gość, który razem ze mną nagrywa, gra w kosza i melanżuje. Mamy mnóstwo wspólnych tematów, myślimy podobnie i mamy takie same tatuaże. Można powiedzieć, że mój stary pokazał, że muzyka hip-hop jest ponadpokoleniowa i każdy w niej może znaleźć coś dla siebie. Nagrywanie ze starym nie jest kwestią jednego kawałka. Mamy w planach mnóstwo projektów na przyszłość.

„Miłość do muzyki doskonale pokazuję"

Muzyka to moim zdaniem coś niepowtarzalnego. Sukcesem dla mnie jest, gdy nagrywam swoje słowa do bitu, a potem płyta trafia do ludzi. To zajebiste uczucie, gdy zrobię kawałek, a ludzie słuchają tego i słowa, którymi operuję, trafiają do nich. To jest przekaz - i o to właśnie chodzi. Taki rap mnie interesuje, jakiego rapu słucham i takim rapem się jaram. Moją inspiracją była, jest i będzie płyta Nasa Illmatic, która jest klasyką rapu. Nie staram się robić czegoś na jej styl, ale taka muzyka jest u mnie na najwyższej półce. Większość bitów zrobił dla mnie mój kolega z Rzeszowa, a obecnie coraz lepsze podkłady robi Łuki z Warszawy, który producencko mnie wspiera. Wszystkie teksty piszę oczywiście ja sam. Mimo że mój album nie został jeszcze wydany na tzw. legalu i nie wiem, czy będzie, cały czas będę nagrywał i w to inwestował, choćby dla samego siebie i dla ludzi, którzy mnie słuchają. I to jest właśnie miłość do muzyki, która głęboko we mnie tkwi.

„Jak tu zacząć grę mając w ręku jedną kartę"

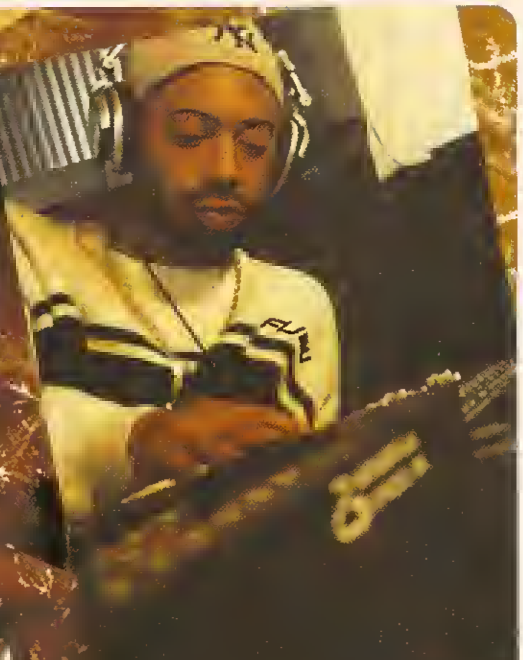
Mimo iż młodzi ludzie w dzisiejszych czasach mają ciężką drogę do osiągnięcia sukcesu, to mam swoje życiowe cele i plany na przyszłość. Już niebawem kręcimy trzeci klip, w którym będę rymował z moim starym. Jeśli chodzi o plany na przyszłość, to chcę wydać swoją płytę na legalu i mam nadzieję, że w końcu znajdę człowieka, który postawi na mnie i da mi szansę jej wydania. A po wydaniu płyty mam zamiar grać koncerty i chciałbym zawitać do każdego miasta, żeby zaprezentować swój hip-hop. Z pewnością będę grał w kosza (obojętnie, czy w I lidze, czy na asfaltowym boisku), nagrywał swoje koszykarskie mixtejpy i puszczał w całą Polskę.

OUTRO

Pozdrawiam wszystkich czytelników Ślizgu oraz miłośników prawdziwego „ulicznego" hip-hopu. Przesyłam pozdrówki dla wszystkich moich znajomych z całej Polski oraz dla tych, którzy kochają pomarańczową piłkę. Do zobaczenia następnym razem. NOWE POKOLENIE - właśnie TAK!

.:Wysłuchał Pawelec:.
.:Foto archiwum Massey'a:.

madlib madlib





Jest parę rzeczy, których w życiu za żadne skarby nie chciałbym zobaczyć: Violetty Villas nagiej w moim łóżku, transmisji obrazu rejestrowanego przez sondę analną, Gorzkiego z KRS-Onem w jednym videoklipie, koszulki Bayern Monachium i Utah Jazz pod choinką, aż wreszcie: zapisu myśli Madliba. Jesteście pewnie ciekawi dlaczego? Mam wrażenie, że mało kto byłby w stanie udźwignąć tony abstrakcyjnych pomysłów, wszystkie koncepcje muzycznych eksperymentów realizowane w kilkunastu projektach - miliony nut, słów, barw, a wszystko to jak zakodowany obraz matrixa, czytelne jedynie dla pewnej grupy latami przyzwyczajanych do tego osób.

Pseudonim jest kluczem do zrozumienia charakteru twórczości. Biorąc rzecz po chłopsku i dosłownie, uzyskujemy (pisaną bez przerwy) „szaloną wagę", to jednak pasuje do sporej grupy dilerów, nie zaś muzyka. Wszystko wskazuje na to, że chodzi o grę słów i zrost wyrazów mad (tak jak wspomniałem: „szalony", choć wśród rapowej społeczności przeważnie występujący jako „zajebiście dobry") i ad lib - tutaj mamy do czynienia z wulkanem znaczeń. Jedno z nich to „bez ograniczeń", „do woli". Inne oscylują wokół „improwizowania", przekazywania czegoś „doraźnie", ale i „prosto z serca". Prawdziwie paradoksalne są wyjaśnienia słownika onet.pl, gdzie pierwsze znaczenie to „przygotowanie", drugie zaś „bez przygotowania". Ad Lib to również jedna z pierwszych kart dźwiękowych do komputerów klasy PC - pionierska i do bólu prosta. Kiedy ksywę wypowiemy pod nosem, rzecz komplikuje się, głoska „b" automatycznie się zmiękcza, brzmiąc jak „p". Wtedy do czynienia mamy z „szalonymi ustami" (proszę bez świńskich skojarzeń), ksywą adekwatną, kiedy przypomnimy sobie Madliba jako Quasimoto, zwariowanego kolesia, który nawdychał się helu, ewentualnie komputerowo podniósł i przyspieszył sobie głos, naturalny bowiem najzwyczajniej w świecie go męczył.

Początki sięgają grupy Lootpack. M. znał się z Wildchildem i Dj Romesem od lat wczesnoszkolnych. Ot, przyjaciele z dzieciństwa, którzy fascynowali się zbliżonymi klimatami (głównie Public Enemy i Ultramagnetic MC's, ale i Dre'em czy Quikiem), byli kreatywni i pełni energii, więc droga od słuchania do tworzenia nie była w tym wypadku długa. Respekt również przyszedł szybko - demo trafiło w ręce Kinga T (staroszkolny weteran z Likwit Crew), panowie pojawili się na debiucie Alkaholiks, a Madlib pomieszkiwał nawet u E-Swifta, głównego producenta etatowych wyjadaczy z Zachodniego Wybrzeża. Początek był więc dobry, a problem dotyczył raczej tego, by zainteresować swoim materiałem jakąś wytwórnię. Znajomi ustawieni wysoko na szczeblach rap-drabiny nie zdołali wyjąć wosku z uszu szefów wydawnictw. W końcu chłopaków wydał Otis Jackson, ojciec bohatera naszego artykułu - nie dość, że nazywał się tak samo jak syn, idealnie rozumiał jego pasje. W 1996 roku epka Ill Psyche Move ujrzała światło dzienne. Kalifornijczyk odmienił swój los, zaprzyjaźniając się z Peanutem Butterwolfem, któremu na występach do dziś towarzyszy w roli DJ'a. Gdybym był złośliwy, mógłbym stwierdzić, że wiedział z kim się zaprzyjaźniać - jak wiadomo, Peanut gra pierwsze skrzypce w wytwórni Stones Throw. Z perspektywy czasu trudno ocenić, kto komu wyświadczył przysługę. W zamierzeniu turntablistyczne wydawnictwo nabrało rozgłosu, otworzyło się na jazz, funk i hip-hop, stając się wokandą dla nieskrępowanych i niepodrabialnych dźwięków.

Sam Otis Jr. jest kontrowersyjny. „Przypadkowe sample rzucone na pierwszą perkusję z brzegu" - jeży się jeden z warszawskich dj'ów. „Ksero Jaya Dee" - dorzuca kto inny. Brzmienie pozornie minimalistyczne, do bólu oszczędne, a tak naprawdę złożone z bardzo wielu dźwięków. Ujarane, leniwe, przestrzenne, rzeczywiście sprawiające wrażenie freestylu, z tym, że freestylu geniusza. Perkusja tutaj nie szczeka, werble są raczej głaskane, klepane po łbach i trzymane na smyczy. Nieoczekiwane próbki mogą gwałtownie przerwać harmonię kompozycji w dowolnym momencie.

Tak naprawdę Madlib to również instrumentalista. Pewnego dnia zapragnął grać własnoręcznie dźwięki, które lubił do tej pory samplować. Po odpowiednim zakupie, reszta okazała się kwestią treningu. Wystarczył rok - w końcu jeśli ktoś słucha muzyki non-stop od dziecka (zresztą nie ma nawet specjalnego wyboru, jego rodzina to muzycy; brat znany jako Oh No też podłapał zajawkę, rymuje, kapitalnie produkuje, co ciekawe, mając jednak trochę inny pomysł na hip-hop) i ma duży talent... Proste, prawda?

Kiedy odwiedził Brazylię, na zdezelowanym hotelowym sprzęcie rejestrował materiał, dostrzegając miejscowy potencjał, praktycznie nie wyściubiając nosa poza budynek. Będąc w Japonii z dumą zaprezentował nowego członka Yesterdays New Quintet, instrument, który zakupił gdzieś po drodze. Sam kwintet fascynuje choćby dlatego, że płyta Angels Without Faces została wybrana z 30 płyt materiału (!!!). To przedsięwzięcie - w głównej mierze jazzowe, łączące płynne, zakurzone breakbeaty i charakterystyczne dla czarnej muzy improwizacje - otoczone jest nimbem tajemniczości. Grupa występuje znienacka, zaciekle unikając uwiecznienia jej na zdjęciach. Podobnie jak rapujące alter ego Jacksona, Quasimoto, mianujące siebie lordem i piszczące wyżej niż ustawa przewiduje. Quas (ksywa funkcjonuje bowiem i w krótszej wersji) przypomina skrzyżowanie Crittersa (paskudny pisklwy bydlak, rzucający się by wgryźć się w cielsko, z tym, że nie każde, chodzi o słabych mc) z Gargamelem (nieustępliwy typ, ohydny charakter, widzi małe niebieskie ludziki). Większość tracków to bardaszki kojarzące się z abstrakcjonizmem i szybkością akcji charakterystyczną dla kreskówek. Wiadomo, zły rap musi zginąć.

Jeżeli macie ciągle siłę ingerować w życiorys człowieka, którego doba ma chyba z siedemdziesiąt godzin, dobrze. Wasza sprawa. Tak więc, z czym kojarzy się wam Trojan? Z koniem (historyczna sprawa, najłatwiejsza do skomentowania w stylu Lindy - „bo to zły koń był"). Z wirusem, który zmienia wasze komputery w reality show. Ze wszystkim, tylko nie wytwórnią zajmującą się bezpretensjonalnym reggae, które to Madlib skompilował w ramach płyty Blunted In A Bomb Shelter. Brzmi to w sposób bardzo niedzisiejszy, wymaga silnego samozaparcia i wyjątkowo dobrego nastroju. Jeszcze większą weną należy dysponować buszując w dyskografii tego gościa. Około sześćdziesięciu projektów, w które angażował się w bardzo różnych rolach, praktycznie w każdych, jakie mogła zaplanować mu muzyka. Jak te wszystkie współprace są nawiązywane? Z Jayem Dee pożyczał sobie płyty. Czuł w głębi serca słuchając pierwszego Slum Village, że bez względu na wszystko będą kiedyś współpracować. O MF Doomie zawsze dobrze się wyrażał, chciał zrobić z nim jeden numer, wysłał jakieśtam beaty. Doom przyjechał, palili dużo trawy. Efekt? Dwa wspólne, pełnowymiarowe albumy - Jaylib i Madvillain.

„Nie myślę o albumach, po prostu je robię" - mówi. A nagrywa przecież jeszcze płyty będące rodzajem hołdu dla wykonawców, których ceni, wymieńmy tu chociaż klasyka czarnej muzyki (jednego z nielicznych, który odwiedził Polskę) - Steviego Wondera. Siada wieczorem, robi trochę jazzu, potem rap-muzykę, następnie ziomki przychodzą i nagrywają pod to, albo i nie. U tego człowieka zmienia się to z minuty na minutę. Robi to podobno dla siebie, żeby zachować czysty umysł. A ludzie? „Chciałbym, żeby myśleli o czymkolwiek mają ochotę myśleć". I o to tutaj chodzi.

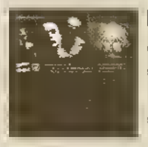
.:Flintstone (Czyste Słowa):.

Krótka historia polskich winyli hip-hopowych (4) / O.S.T.R.

Polskich winyli część czwarta, i żeby już tego dłużej nie przeciągać - na razie ostatnia (więc żeby zaoszczędzić miejsca - wszelkie opisy i uwagi ograniczam do niezbędnego minimum).



INTOKSYNATOR
„Retrospekcja" / „Mój rap" / „Zysk" / „W górę ręce" / „W górę ręce" (instr.) • „Mój rap" - MK Fever remix / „Retrospekcja" (instr.) / „Mój rap" (instr.) / „Zysk" (instr) / jingle.
[Doperacja/Zooteka Records, 2002] - singiel (DP 002/ZOO 002)
www.doperacja.com www.zooteka.com.pl



MOR W.A. - „Morwa drzewo"
„Morwa drzewo" / „Hermetyk" / „Czysty doping" / „Widzę świat" / „My to my" / „Tam i z powrotem"
[oraz dodatkowo: 12 instrumentali, „My to my" (acapella) oraz „Acapella mix"]
[Baza Label / Pomaton EMI, 2003] - dwupłytowy mini(?)-album (#V007)www.pomatonemi.com.pl



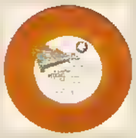
STRAHO - „Eksperyment Psycho"
„Selekta" - Śliwka, Tuitam / „Przesłuchanie" - Kams / „Powietrze" - Siv-Kakaroto •
[na str. B - 14 ok. 1-minutowych instrumentali]
[Doperacja, 2002] - singiel (DP 006)
www.doperacja.com, www.gigantrecord.com, www.pfk-kompany.com



SIEDEM ŁEZ - „Wielki sen"
„Intro" / „Siedem łez" gość. Juchas / „Stadion" / „Acapella mix" / „Trzyrazynie" (ins.) •
„Stadion" (ins.) / „Bonus track" (ins.) / „Siedem łez" (ins.) / „Wielki sen" remix (ins.) / „Rozdarty" (ins.)
[Camey Studio, 2002] - singiel, www.camey.pl



OPERACJA SCRATCHOFONY 2
Intro / Imprezator II / Combo 1 / Kalifornia / Combo 2 / Laboratory • Elektro-funk / Combo 3 / X-pętla / Combo 4 / Alex Booge / Bonus combo / Runda.
[Digital Voo-Doo Nagrania, 2002] - epka
Kolejna solidna porcja bitów i sampli dla dj'ów (tym razem przy wszystkich kawałkach podane jest również tempo w BPM'ach). Zresztą - najlepszym świadectwem jakości Scratchofony było dla mnie to, co Kostek wyprawiał z parą tych winyli na Dniu Prawdy.



RÓŻNI WYKONAWCY - „JuNouMi Records EP vol. 2"
Red - „Intro" / DrinAllStars - „Kolejny drink" / Eis - „Graj z nami rap" / Dizkret+Praktik - „Rymy i bity" / TrzyStyle - „Walizka" • Eis - „Teraz albo nigdy" / donGURALesko - „Wycinanki rymów" / Pako & Nec - „Nieśmiertelni" / 2cztery7 & Pezet & Lerek - „Pieprzyć szary beton" / TenTypMes & EmilBlef & PanDużeP - „Outro". [JuNouMi Records, 2002] - epka (pomarańczowy winyl!) junoumi.zawszespoko.com



O.S.T.R.
„Kochana Polsko" (album + remix + instr. + acapella) •
„Grzech za grzech" (album + instr. + acapella) / „Kochana Polsko" (remix instr.)
[Asfalt Records, 2003] - singiel
www.asfalt.pl mailorder.afsalt.pl



W WYJĄTKOWYCH OKOLICZNOŚCIACH - „Moda"
„W wyjątkowych okolicznościach" (album + instr. + acapella) / „Moda" - remix Deszczu Strugi (album + instr.) / „Mówisz i masz" (album + instr.) / „Sen" (album + instr.) / „Nowa droga" (album + instr.) / „Halabardy" (album).
[Prosto, 2003] - singiel #1 z 3 www.prosto-label.pl
Ciekawy,pierwszy taki pomysł: wydanie albumu w formie 3 ukazujących się kolejno singli.



ONAR I OŚKA
„Klubing" (wersja LP + instr.) / „Każdy pierwszy raz" [gość. Żądło] (wersja LP)
[na stronie B 2 kawałki - instrumentale (12:58 min.) i acapella mix (3:28)] [Warner Music Poland, 2002] - singiel
www.superelaks.com



FENOMEN - „Elekt"
„Sensacja" / „Yelonky" / „Teksty" / „Sensacja" (acapella)
[na stronie B - 15 krótkich instrumentali][Blend Records, 2003] - singiel, fenomen.hiphopart.pl



K.A.S.T.A.
„Kastaniety"
„Premiera" (vocal + instr.) / „Po co???" / „Peryferie" / „Czas" (instr.) / „Manifest" (instr.) / „Hope" (instr.) / „Soul assasin" (instr.) / „Till I die" (instr.) / „Scratchmaster".
KILLAZ GROUP - „Jestem szejkiem"
„Jestem szejkiem" (vocal + instr. + acapella) / „Grunwaldzka technika" (vocal + instr.)
[Blend Records, 2003] - epka



W WYJĄTKOWYCH OKOLICZNOŚCIACH
„Damy radę" (album + instr. + acapella) / „Chcesz być taki" (album + instr.) / „Zostaw to" (album + instr.) / „Krew ziemi sól" (album + instr.) / Powinnaś" / „Interesy" / „Wierzę, że..." (acapella).[Prosto, 2003] - singiel #2 z 3 www.prosto-label.pl
Drugi z 3 singli, które docelowo złożą się na pełny winylowy album WWO „We Własnej Osobie". Trzeci singiel w drodze...



OWAL/EMCEOWA - „Rapnastyk Epizod II"
„Rapnastyk" / „Pełen pokus" / „Przepraszam" / „Rapnastyk" (instr.) / „Panta rhei " (instr.) / „Przepraszam" (instr.).
ASCETOHOLIX - „Apogeum"
„Gry świateł" (vocal + instr.) / „Azyl" (vocal + instr.) / „Suczki" (vocal + instr.)
[UMC Records, 2003] - epka, www.umc.pl



FISZ, EMADE jako TWORZYWO SZTUCZNE
„Zapomnij" / „Superfrajer" / „Dynamit" •"@" / „Narkotyk" / „Niedopałki" •• „Warszafka" / „Sznurowadła" / „Portfel" • „@" / „Loff" / „@".
[Asfalt Records, 2003] - dwupłytowy album
www.asfalt.pl mailorder.afsalt.pl

Obcokrajowcy do polskich produkcji



KUT-O & MAGIERA
„Astigmatic" EP [Raptime Records, 2003] - epka (#DJ01)www.druhslawek.com
Pierwsza koprodukcja polsko-amerykańska. Bity/prod. Magiera, cuty/prod. Kut-O, mikrofony: K-Otix, Sev Statik, Zexec. Uwaga: nakładem wrocławskiego Blendu płyta ukazała się również na CD-singlu.

Polacy za granicą



SKALPEL
„Break In" / „Voice Of Reason" feat. Yarah Bravo • „Sculpture" / „Ninjazz"
[Ninja Tune, 2003]
www.ninjatune.net www.skalpel.prv.pl
Tak jest! To płytowy (a dokładniej - winylowy, bo kilka lat temu ukazali się na kasecie nakładem Blendu) debiut naszego własnego, wrocławskiego Skalpela, który tworzą Marek Cichy i Igor Pudło, i to jeszcze w kultowej brytyjskiej Ninja Tune. Album - też dla Ninja Tune! - w drodze...

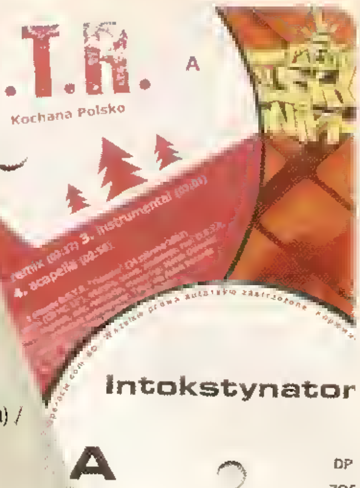


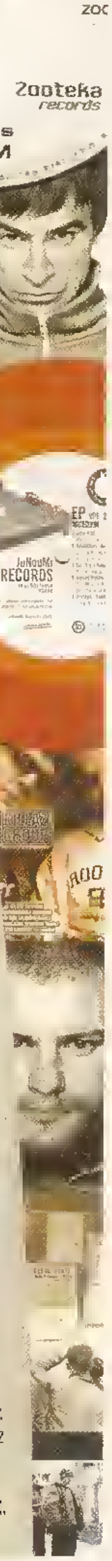
RÓŻNI WYKONAWCY - „East Side Unia vol. 1"
[Terorist? Records, 1998] - dwupłytowy album
www.terorist.cz
Czeska składanka, a na niej - wśród różnych wykonawców ze wschodniej Europy - Warszafski Deszcz / Trzyha z dwoma niedostępnymi w Polsce kawałkami: „Warszafski Deszcz" (szalony remix) i „Letnia miłość" (oryginalny mix).



RÓŻNI WYKONAWCY - „East Side Unia vol. 2"
[Terorist? Records, 2000] - dwupłytowy album
www.terorist.cz
Część druga czeskiej składanki, na której tym razem znaleźli się: Inespe - „W oceanie" i „Staram się (DJ 600V remix)" oraz Fisz - „Bla bla bla".

:Druh Sławek:.







VIVA
TYLKOKONKRET.NET
BONGOS
KONKRETNA IMPREZA 10
gwiazda wieczoru
THA LIKS
GŁÓWNY SPONSOR
RBK
/support/
WWO PEZET PEJA DIZKRET
/miejsce/
Gdańsk
Klub Parlament
ul. Św Ducha 2
/start/ godz. 19.00
MASSDNM
EASTPAK
radiostacja
ŚLIZG
27 LIPCA 2003
Bilety: 35 zł w przedsprzedaży oraz 40 zł w dniu koncertu.
Sklepy Chrom: Gdańsk – ul. Szafarnia 4, Wajdeloty 10; Gdynia – ul. Morska 11a, Świętojańska 112

Drogie ziomy!

Jesteśmy niezwykle poruszeni Waszą aktywnością na polu współdziałania z nami w przedsięwzięciu, które nazwaliśmy tajemniczo Nielegalną Akcją Eselgie. Odzew przekroczył nasze wszelkie oczekiwania i dosłownie cały czas jesteśmy zasypywani płytkami od was. Wyjaśniło się też kilka spraw dotyczących formuły. Przyznajemy, był to lekki freestyle, przystąpiliśmy do tematu z biegu, a potem okazało się, że płyt przychodzi więcej, niż się spodziewaliśmy. Zamieszczanie recenzji poszczególnych z nich o tyle mija się z celem, że Ślizg nie z gumy, a musielibyśmy na nie przeznaczyć sporą część magazynu. Na pewno jednak recenzje tych materiałów pojawią się na naszej stronie internetowej, która od września już powinna normalnie funkcjonować (zdajemy sobie sprawę, że to już n-ta zapowiedź jej debiutu, ale tym razem wszystko wskazuje na to, że będzie dobrze...).

Wyjaśniło się jednak kilka spraw. Może to nie będzie taki do końca konkurs, ale tak to ostatecznie możemy potraktować. Jesteśmy w trakcie rozmów z kilkoma wytwórniami fonograficznymi i nie jest wykluczone (a właściwie to jest pewne), że jedna z produkcji, wybrana przez szacowne redakcyjne "jury" oraz zaproszonych do oceny Waszych produkcji równie, a nawet bardziej szacownych gości, zostanie wydana w formie legalnej. Nie znaczy to jednak, że kolejną akcję Ślizgu nazwiemy Legalna Akcja Eselgie :) .

Oprócz tego podtrzymujemy to, co pisaliśmy miesiąc temu. Właśnie dopinamy ostatnie szczegóły dotyczące wrześniowej imprezy z okazji Ósmych Urodzin Ślizgu i cztery zespoły spośród tych, które nadesłały do nas swoje produkcje, zostanie na tę imprezkę zaproszonych i będzie supportować pewnego znanego wykonawcę, o którym jednak na razie cichosza!, żeby nie zapeszyć. UWAGA!!! Pod uwagę będziemy brali produkcje nadesłane do nas do 5 sierpnia, choć cała akcja będzie trwać nadal. Powód? Cykl wydawniczy, czyli rzecz święta, której przeskoczyć nie można, a nawet gdyby było można, to każdy by się bał...

Teraz kilka uwag, a właściwie jedna uwaga - co z rymującymi siostrami?!! Czyżby rymujące panie bały się ewentualnych straszliwych recenzji, którymi będziemy smagać zasługujące na to produkcje? Dajcie spokój, tak źle nie będzie. Nikt tu nie ma złych intencji, co piszemy, jakby ktoś się obawiał. To nie Idol...

Dobra, teraz jeszcze jedna ważna rzecz, Ślizg zmienił siedzibę. W związku z tym faktem, który cieszy nas niepomiernie, bo teraz centralnie jesteśmy ziomami z Centrum, musicie produkcje przesyłać na inny adres. A adres ten to:

Magazyn Ślizg
00-624 Warszawa
Marszałkowska 3/5
z dopiskiem "Nielegalna Akcja Eselgie", rzecz jasna.

Tak więc czekamy i jesteśmy bardzo ciekawi kolejnych produkcji. Na razie musimy stwierdzić, że materiały są bardzo zróżnicowane, MC Duch w narodzie nie gaśnie i generalnie nie jest źle.

Trzymajcie się ciepło, bo w lipcu było zimno, a sierpień cholera wie, co przyniesie i nadsyłajcie, nadsyłajcie.

Jo!

.:Wasz Eselgie:.



ÓSME URODZINY SLG, ziomy!

My to się potrafimy zabawić, nie ma co.
A Wy będziecie się bawić z nami!
I odkręcamy porządek świata -
to my Wam dajemy PREZENT!
We wrześniowym numerze Ślizgu płytę,
a na niej:

nie przegapcie tej płyty!

FENOMEN
ASCETOHOLIX
MEZO
VIENIO I PELE
K.A.S.T.A.
ENDEFIS
CHADA I PIH
OWALEMCEDWA
ELDO
KUT-O feat K-OTIX & DEKAY



eldo

Leszek K. vel Eldoka vel Eldo. Czy jest ktoś, kto w ostatnich latach wzbudził więcej emocji w polskim rapie? Chyba nie. Dodajmy, że nie były to emocje zawsze pozytywne. Swoją działalnością w Grammatiku i karierą solową zdobył wielu fanów, część z nich jednak odwróciła się od niego, gdy publicznie wygłosił kilka krytycznych uwag pod adresem polskiej sceny rapowej oraz jej publiczności. Zagrzał się, został źle zrozumiany, prowokował? - w szczerej rozmowie Leszek próbuje wytłumaczyć, co wtedy właściwie się stało.

Dokładnie dwa lata temu, pod koniec lipca roku 2001, wydał solową płytę, a potem zniknął. Raz na jakiś czas gdzieś odbywał się koncert Grammatika, ktoś czasami wspomniał o nim w wywiadzie, w prywatnej rozmowie, ale mało osób miało okazję spotkać go. Tak jakby się gdzieś zaszył. Dziś opowiada, że musiał poustawiać kilka spraw w swoim życiu, odpocząć od rapu. Jak sam mówi, jest starszy, bardziej dojrzały. Za kilka tygodni ukaże się jego druga solowa płyta. Jaka będzie?

Jest praktykującym muzułmaninem. Świat widzi tak, jak nakazuje to islam, przez pryzmat Koranu. Nie lubi opisywać sam siebie, ale rymuje najczęściej o tym, co czuje. Kim właściwie jest Eldoka?

Leszek, dwa lata temu nagrałeś solową płytę i... zniknąłeś. Co się z Tobą działo przez ten czas?
Nagrałem płytę i cała ta otoczka wokół niej, wokół różnych wydarzeń okazała się tak męcząca, że psychicznie potrzebowałem zająć się czymś innym, niż rapem. Zdałem na studia, poświęciłem się temu, pojeździłem trochę po świecie, zobaczyłem kilka miejsc. No i można powiedzieć, że odpocząłem. Teraz jestem na parę spraw uodporniony, na wiele patrzę zupełnie inaczej. No i jestem dwa lata starszy. Do pewnych wydarzeń nabrałem dystansu. Teraz wydaje mi się, że jestem w pełni dojrzały do tego, by wydawać płyty. Jakoś tak im jestem starszy, tym bardziej mi się wydaje, że na te wszystkie płyty, które kiedyś nagrałem, byłem za młody.
Ale zamieszanie wokół Twojej osoby nie zaczęło się od tego, że byłeś za młody, tylko od kilku Twoich wypowiedzi. Co Ty właściwie wtedy powiedziałeś i dlaczego to powiedziałeś?
Nie lubię tego, że o polskim hip-hopie wszyscy chcą pisać w samych superlatywach. Prawda jest taka, że ten hip-hop nie jest jeszcze tak świetny, żeby można było cały czas o nim tak mówić. Ja odważyłem się na powiedzenie paru niepopularnych słów, które jednak w moim przekonaniu się sprawdziły. Powiedziałem, że dla wielu jest to tylko modą, otoczką. I tak jest, jeżeli widzę na przykład 13-latka w bluzie „HWDP", to nie wydaje mi się, żeby on wiedział, co w ogóle mówi i jaki to może mieć cel. Najprawdopodobniej nie miał nigdy w życiu kontaktów z policją, a nosi to, bo słyszał o tym gdzieś i jest to dla niego tylko wyraz mody. Wiesz, w ogóle jest absurdalną sytuacją, jeżeli najstarszą osobą na koncercie są najczęściej wykonawcy, choć to zupełnie inny temat. Wracając jednak do moich wypowiedzi, to uważam, że może rzeczywiście za ostro potraktowałem parę rzeczy, że chciałem się przez moment postawić ponad tym, zaangażowałem się w to bardzo emocjonalnie. Byłem trochę gówniarzem, powiedziałem rzeczy, z których teraz sam się śmieję, które nie tak powinny być sformułowane. Jest to jednak przeszłość, na którą nie mam żadnego wpływu. Nie cofnę tego i... chyba nie chcę tego cofnąć. Jestem dorosły i muszę ponosić konsekwencje tego, co powiedziałem.
Swoimi wypowiedziami zaatakowałeś sporą część sceny, na której przecież sam miałeś mocną pozycję - bo tak można powiedzieć o pozycji Grammatika, który współtworzyłeś. Spokojnie można użyć starej przypowieści o podcinaniu gałęzi, na której się siedzi. Nie będę już roztrząsał tej sytuacji, zadam Ci tylko jedno pytanie. Miałeś z powodu swoich wypowiedzi sporo różnych problemów - warto było?
Ja nie odbieram moich wypowiedzi w tej nieszczęsnej audycji „Mówią bloki 2" - zresztą wypowiedzi nieautoryzowanych - za atak generalnie na całą scenę. Uważałem i uważam, że od dawna wychodzą u nas bardzo wartościowe albumy. I nie wiem też, dlaczego ludzie uznali moją wypowiedź za atak na ulicę - nigdy nie miałem nic do ulicznego hip-hopu, a ten, którego słucham, amerykański, to przede wszystkim rap uliczny. Jednym z moich ulubionych zespołów jest Group Home, zespół, który nigdy z ulicy nie wyszedł, a jedną z najlepszych dla mnie płyt polskich jest Skandal Molesty. Nie sądzę, żebym chciał czy potrzebował atakować uliczny hip-hop. Atakowałem to, że tak naprawdę w Polsce niósł on ze sobą negatywne przesłanie, nad którym - moim zdaniem - twórcy stracili kontrolę. To nie jest tak, że nie podoba mi się muzyka Molesty czy ZIP'ów, bo tak absolutnie nie jest! Nie podoba mi się coś, nad czym oni sami stracili w pewnym momencie kontrolę. To jednak było jakiś czas temu, teraz wszyscy jesteśmy starsi i słychać to na nowych płytach. Posłuchaj WWO, czy teraz debiutujących Wychowanych Na Błędach, u których słychać, że wynieśli z ulicznego rapu to wszystko, co najlepsze. Wydaje mi się, że po prostu wszyscy sobie pewne sprawy przemyśleli i wyciągnęli wnioski. Ja wyciągnąłem je na pewno.
OK., zamknijmy ten temat, ja jednak pozostanę jeszcze na chwilę przy przeszłości. Pamiętam, jak rozmawialiśmy niemal równo dwa lata temu i pamiętam wszystko, co działo się wokół Twojej osoby: najlepszy polski trueschoolowiec - cokolwiek to w Polsce znaczy, najlepszy polski freestylowiec, człowiek niezwykle pewny siebie. Potem była ta słynna bitwa pomiędzy Tobą i TOF'em w Płocku, gdzie wszystko to, co o Tobie mówiono, zupełnie się nie potwierdziło...
W Płocku tak naprawdę wszystko wzięło w łeb. Choćby to, że po tej imprezie wszystkie ewentualne bitwy freestylowe wzięły w łeb, bo to nagle wskoczyło na level antagonizmów osobistych, a nie sprawdzenia się w rymach. Jeżeli słyszę, że ten czy tamten jedzie mi z przezwiskami, choć pierwszy raz w życiu widzę go na oczy... A co do Płocka, to wydaje mi się, że wszyscy tam byliśmy zbyt zagrzani. Co do pewności siebie, to trudno, żebym przed czymś takim mówił, że taki nie jestem - gdyby tak się zdarzyło, po co w ogóle byłoby jechać na tę bitwę? Ostatnio miałem okazję porozmawiać o tym z CNE i Wujkiem, i trochę się z tego śmialiśmy, że wyglądało to jak konfrontacja dzikich ludzi, wrzeszczących na siebie bez opamiętania.
Jak przyjąłeś to wszystko, co tam się zdarzyło? Wynik tej konfrontacji na pewno nie był korzystny dla Ciebie.
Byłem strasznie zły wracając do domu. Wiem, że było mnie stać na dużo więcej. Mieliśmy sesje freestylowe nagrywane w studio i tam to wszystko miało ręce i nogi. W Płocku okazało się, że Jacek jest człowiekiem bardzo pewnym siebie psychicznie, w konfrontacji z jego osobowością na scenie pokazałem, że nie jestem absolutnie gotowy na takie rzeczy. Dało mi to wiedzę o sobie w kwestiach psychologicznych. Nie stanowiło to dla mnie jakiejś wielkiej bolączki, czegoś, co przeżywałbym jakoś strasznie długo - bo tak nie było. Bardziej przeżywałem to, że cała ta bitwa nie odbywała się tak, jak powinna się odbyć. W każdym razie, sporo się wtedy o sobie nauczyłem.
Dzisiaj byłbyś w stanie jeszcze raz rzucić/podjąć takie wyzwanie?
Powiem ci szczerze, że nie freestylowałem ze dwa lata i po prostu... nie wiem. Sądzę, że nie byłbym w stanie już tego zrobić. Wydaje mi się, że jednej i drugiej stronie konfliktu ta cała sytuacja nie wyszła na dobre. Do nas na koncertach podbijało mnóstwo osób naciśnieniowanych na to, żeby się bić na rymy, to wszystko miało chory posmak, a skończyło się tym, że w Ostrowie Wielkopolskim musiała zainterweniować ochrona, było jakieś bicie ludzi. Tedemu chyba też podobne sytuacje nie pasowały, a dał temu upust nagrywając z Ostrym kawałek „Ziom za ziomem". Wiesz, ludzie oczekiwali od nas, że będziemy w każdej chwili gotowi na podobne konfrontacje, a coś takiego po graniu godzinnego koncertu nie ma większego sensu.
Powiedziałeś, że bitwa w Płocku nie wszystkim wyszła na dobre, tymczasem jest osoba, która pokazała się tam z dobrej strony, zdobyła duże uznanie, zwróciła na siebie uwagę - mówię o Pezecie.
Jestem przyjacielem Pawła, znamy się od bardzo dawna, można powiedzieć, że znamy się od początków naszych związków z rapem. Nagraliśmy teraz nawet kawałek na moją nową płytę, ale nie wszedł on na nią ze względów muzycznych. Ale na pewno coś jeszcze razem zrobimy - trzymamy się blisko, jeździmy razem na koncerty. I owszem, masz rację, jemu to wyszło na dobre. Nagrał bardzo dobrą płytę, która się bardzo dobrze sprzedała, zdobył fame. Nawet Tede, w Płocku stojący po drugiej stronie „barykady", pozdrowił go w swoim kawałku ostatnio. Cóż, o resztę musiałbyś spytać Pezeta.
A czy Obrońcy Tytułu przeszli już do historii?
Obrońcy Tytułu byli długo, długo przed bitwą w Płocku. Na okoliczność tej bitwy to wszystko zostało niesamowicie rozdmuchane. To wszystko może nie przybiera kształtów formalnych, ale nadal trzymamy się razem, jesteśmy bliskimi przyjaciółmi.
To teraz może spytam Cię o Grammatik. Ten zespół wiele wniósł do polskiego rapu, czy wniesie kiedyś coś jeszcze?
To jest temat-rzeka... Nie czuję się władny, żeby samemu wypowiadać się na ten temat, musiałby tu być również Juzek. Nie chciałbym powiedzieć czegoś, czego on by później nie potwierdził. Ja mogę sobie gdybać, możemy sobie rozmawiać na koncertach, ale to potem nie przekłada się na nic konkretnego. Zaprosiłem go na swoją płytę, on to zaproszenie przyjął, napisał tekst, po czym dwa miesiące nie mógł nagrać, a ja nie mogłem czekać. To była sytuacja podobna jak na płycie Pezeta. Juzek ma swoje życie, co warunkuje w jakiś sposób to, że nie ma wiecznie czasu. Ja na przykład nie mogę sobie tak jak on pozwolić na trzy lata przerwy. Nie chciałem czekać wieczność, aż coś razem zrobimy, dlatego nagrałem pierwszą solówkę, a teraz drugą. Jeżeli jednak będzie taka okazja, to ja już nawet rozmawiałem z producentami, którzy byliby chętni pracować przy kolejnej płycie Grammatika.
Bylibyście w stanie pracować jeszcze razem?
Na pewno całej płyty Grammatika nie zrobiłby Noon, bo on ma teraz swoje zajęcia, w jakiś sposób nie chce uczestniczyć w polskim hip-hopie. Zdystansował się od tego, zresztą nowej płyty Pezeta również nie będzie produkował w całości. Ja na pewno byłbym w stanie nagrać płytę Grammatika z Juzkiem - jeździmy na koncerty, mamy wiele wspólnych tematów, dogadujemy się. Jednak to wszystko jest gdybanie. Ja w każdym razie chętnie bym to zrobił.
A co konkretnie robiłeś przez te dwa lata, kiedy nie było Cię na rapowej scenie?
Przede wszystkim zdałem na studia, zobaczyłem kilka miejsc na świecie. Grałem w Teatrze Polskim we Wrocławiu w sztuce „Przypadek Klary". Oczywiście w sztuce miał też grać Juzek, który ze względu na brak czasu nie zaangażował się w to, więc jeżdżę tam z Deną, było już 50 spektakli. W przyszłym roku jedziemy z tym spektaklem w Europę, było kilka przedstawień w Polsce. Wiesz, rap nie uzależnił mnie materialnie, nie musiałem nagrywać, żeby żyć. Pracuję normalnie w tygodniu, sam się utrzymuję, a muzykę nagrywam głównie dla przyjemności.
Poprzednią płytę nagrałeś dla T1, teraz wyda Cię Blend. Zmiana wydawcy to chyba pokłosie słynnej afery z Popcornem, gdy na wydanej przez ten tytuł płycie kawałki m.in. Pezeta i Grammatika pojawiły się tam bez Waszej zgody?
Tak, to faktycznie pokłosie tej afery. Nie chcę mówić o szczegółach, gdyż obiecaliśmy sobie z eks-wydawcą, że nie będziemy się nawzajem oczerniać. Poza tym nie mieliśmy już woli współpracy, a z niewolnika nie ma pracownika...
Co sądzisz o komercyjnej ekspansji hip-hopu? Pojawiła się kolejna składanka Popcornu, o rapie trąbią już niemal wszystkie media, normą są wielkie festiwale etc. Rap w Polsce robi się sporego kalibru biznesem.
Pierwsza składanka Popcornu była dla mnie wielkim szokiem. Wiedziałem, że taki magazyn ma się pojawić, ale myśmy się na to nie zgodzili. Tymczasem nagle okazało się, że to właśnie nasz materiał został sprzedany. Teraz, po dwóch latach, doszło do takiej przewrotnej historii - wiele spośród osób, które bardzo nas krytykowały za pojawienie się na tym składaku, choć wiedzieli, że to odbyło się bez naszej zgody, pojawiło się na takiej samej kompilacji. Ja w żaden sposób nie chcę ich krytykować - ja zostałem skrzywdzony przez swojego wydawcę, oni zostali skrzywdzeni przez swojego byłego wydawcę. Dla mnie to jakaś paranoja - ktoś rozporządza twoją własnością intelektualną bez twojej zgody. Co do festiwali, to zabijają one koncerty w mniejszych miejscowościach, szkoda tego trochę, choć nie uważam, żeby to było do końca złe, bo promuje tę muzykę. Coraz więcej zespołów, wytwórni, coraz więcej teledysków na Vivie - choć umówmy się,

że wiele tych zespołów ma klipy, a ich płyt nikt nigdy nie słyszał. Opole, Telewizja Polska - ja nie zgodziłbym się zagrać w Opolu, choć nie krytykuję tego. Polski hip-hop idzie do przodu, zdecydowanie.

Porozmawiajmy o Twojej nowej płycie. Poprzednia powstała z udziałem Deny, kto teraz komponuje Ci muzykę?

Na nowej płycie nie ma żadnego instrumentala Deny - po prostu doszliśmy do wniosku, że nie możemy dalej współpracować. Szukałem beatów dla siebie, znalazłem Ajrona, który jest podopiecznym Noona, będzie też Webber, producent Łony, angielski producent z Sheffield, Supra. Dwanaście kawałków, materiał będzie nieco zbliżony do Świateł Miasta. Zaproszeni przeze mnie producenci różnią się w swoich brzmieniach, ale dobierałem tę muzykę tak, że płyta na pewno będzie spójna.

Zawsze byłeś emcee, który lubił wchodzić w głąb siebie, opowiadać o tym wnętrzu, w Twoich kawałkach było sporo osobistych przemyśleń. Słyszałem demówkę nowego materiału - teraz te wszystkie rzeczy, o których powiedziałem, są chyba uwypuklone jeszcze bardziej?

Od zawsze miałem taki styl. Ktoś może powiedzieć, że moja pierwsza solówka była taka bardziej bitewna, a teraz wracam do sposobu rymowania, jaki miałem wcześniej. Jeżeli ktoś tak nawet powie, to nie jest to żaden powrót. To konsekwencja tego, co przeżywałem przez ostatnie dwa lata. Ja nigdy nie miałem kunktatorskiego podejścia do pisania tekstów - o, usiądę sobie dzisiaj i napiszę o tym oraz o tym. Zawsze moje teksty były o tym, co dzieje się ze mną, co dzieje się wokół mnie w danym momencie, w momencie pisania. Ja piszę teksty na raz, nie rozkładam sobie poszczególnych wersów. Po prostu siadam i powstaje kawałek. Dlatego też na tej płycie będzie mało gości, bo... trudno jest zapraszać gościa do swojego życia. Nie nazwałbym swojej muzyki spowiadaniem się, ale coś w tym może jest. Lubię patrzeć się na siebie z perspektywy, czasami odejść trochę w bok i na chłodno ocenić pewne fakty. Czasami reaguję mocno emocjonalnie, potem przychodzi refleksja, oceniam to. Właśnie taka będzie ta płyta.

Patrzysz na siebie z boku i co widzisz?

Ciężko jest mówić o sobie. Mogłaby powiedzieć to kobieta, z którą żyję, czy moja matka, bo one znają wszystkie moje humory, moje dobre i złe strony. Dlatego też tak często śmieję się z ludzi, którzy oceniają mnie po tym, co widzą na teledysku, przeczytają czy usłyszą w wywiadzie. To jest niepełny obraz. Ja nigdy nie pozwoliłbym sobie na to, by ocenić człowieka po tym, jak widzę go w pierwszej chwili. By kogoś ocenić, musisz go poznać. Ocena samego siebie jest trudna, bo nie możesz popaść w przesadę, a jednocześnie nie możesz być fałszywie skromny. Myślę, że sporo będzie można powiedzieć o mnie po przesłuchaniu nowej płyty.

A jaki wpływ na Twoją muzykę ma religia, którą wyznajesz? Trochę opowiedziałeś o tym na płycie Reda, gdzie w kawałku było sporo i o islamie, i o Tobie w tej religii, ale może powiesz jeszcze kilka słów?

Jeżeli chodzi o islam, to w moim przypadku ważne było to, że ja nie przechodziłem na islam z innej religii, bo nie byłem praktykującym katolikiem, tylko wybrałem świadomie właśnie to wyznanie w pewnym momencie mojego życia. Odkrywałem rap będąc już muzułmaninem. Gdy siedem lat temu przyjąłem tę wiarę, szukałem islamu niemal w każdym elemencie życia - szukałem piłkarzy, którzy są muzułmanami, zespołów muzycznych. Religia ma olbrzymi wpływ na to, co mówię i myślę, gdyż jest wszystkim, co mnie otacza. To, co słyszę w piątek na nabożeństwach, to, co czytam w Koranie, to wszystko buduje w jakiś sposób mój światopogląd. Tu nie ma rozdziału między religią i życiem - starasz się to wszystko stosować na co dzień. Na pewno mocno mnie to zmieniło, zresztą przez ostatnie dwa lata bardzo do tego wróciłem. To wróciło z dużą siłą po 11 Września, kiedy musiałem wiele rzeczy wielu ludziom wyjaśniać. To na pewno będzie słychać na płycie. Wychodzę też jednak z założenia, że Bóg jest jeden i że nie ma sensu dzielić tego wszystkiego na religie, nie ma sensu tego szufladkować.

Jak odbierasz to zderzenie Cywilizacji Zachodu z Cywilizacją Islamu, tak chętnie generowane od dłuższego czasu w mediach? Przy jego okazji dochodzimy do takich pojęć, jak tanalyzm, terroryzm... To może uproszczenia, ale one w dużym stopniu działają na masową wyobraźnię.

11 Września był dla mnie ogromnym szokiem. Zostało zaatakowane wielkie państwo i tak naprawdę w pierwszym momencie nie było wiadomo dlaczego. Gdy już było wiadomo, przeżyłem kolejny szok, bo przecież to wszystko kłóci się z tym, co napisane jest w Koranie! Koran zakazuje samobójstwa, więc argument, że w tym momencie idzie się do raju, jest przekłamany. Do raju pójdzie ten, kto zginie za wiarę, ale przecież wysadzanie się w powietrze czymś takim nie jest. To ekstremizm, powierzchowna znajomość islamu. Boję się tego, że w pewnym momencie świat zachodni zareaguje jeszcze bardziej agresywnie na całą cywilizację islamu. Mam nadzieję, że pewnego dnia wszyscy dojdą do pewnych wniosków i powiedzą sobie: „Po jaką cholerę my się mordujemy, ty czytasz Koran, ja czytam Biblię, w tym wszystkim nie ma żadnej różnicy". Wiesz, albo rozwalmy to wszystko na kawałki, albo zacznijmy się zastanawiać i zróbmy z tym wszystkim porządek. Jeżeli na Bałkanach mordują się ludzie, bo jeden jest prawosławny, drugi jest katolikiem, trzeci muzułmaninem, choć przez 50 lat potrafili żyć obok siebie, to mnie to przeraża.



Coś jeszcze przeraża Cię w naszym świecie?

Głupota. To coś, co strasznie mnie odpycha. Staram się podchodzić do tego z dystansem, ale jak czasami oglądam Sejmową Komisję Śledczą, to jestem przerażony...

A czego się w takim razie w życiu nie boisz? Gdzie chcesz w swoim życiu dojść?

Na pewno chcę dojść do miejsca, w którym osoby żyjące ze mną będą szczęśliwe. Chcę być pożyteczny - to na pewno chcę osiągnąć. Mam w sobie coś takiego, że jestem z jednej strony niezwykle emocjonalny, a z drugiej stać mnie na chłodną kalkulację - to się ze sobą kłóci, choć potrafi się też uzupełniać. Chcę skończyć studia, nagrać kolejną płytę, chcę wielu rzeczy... Lubię sobie stawiać w życiu kolejne cele.

Potrafiłbyś postawić jeden z nich na pierwszym miejscu?

- Chcę mieć dzieci i wychować je na porządnych, dobrych ludzi.

Myślę, o co by Cię zapytać na koniec? Mało jest osób w polskim rapie bardziej kontrowersyjnych od Ciebie... Leszek, kim Ty właściwie jesteś?

To bardzo trudne pytanie, ja nigdy nie lubiłem o sobie mówić... Jestem... Charles Bukowski w jednej ze swoich książek pisał o tym, jak odpowiadał jednej z czytelniczek na pytanie: „Kim pan jest?". A odpowiedział tak: „Nie wiem, kim jestem, droga pani. Z poważaniem, Charles Bukowski". Ja odpowiem tak: „Nie wiem, kim jestem. Z poważaniem, Leszek K."...

.:Rozmawiał Kowal:.
.:Foto WZR:.

PŁYTA MIESIĄCA



600V
600C

Znam Sebastiana na tyle, że wiem, iż praktycznie wszystko, co dotyczy się jego muzyki, ma przemyślane od a dokładnie do z. Nie znaczy to, że przy tworzeniu muzyki jest wyrafinowanym, zimny sukinkotem, bo jest wręcz przeciwnie - Volt jest facetem mocno spontanicznym momentami, a ostatnio nawet zauważyłem, że im jest starszy, tym bardziej się taki staje. I bardzo fajnie. Wracając jednak do pierwszego zdania, to chodzi mi o to, że Sebek po prostu dokładnie wie, co mu się podoba, nie wstydzi się swoich inspiracji i nawet jeżeli przy jego pracy pojawi się dźwięk, którego jeszcze w polskich produkcjach nie było, nie kuca, tylko jedzie z tematem, aż beat będzie gotowy. Bo nowa sześćsetka to właśnie taka płyta - na naszej scenie novum.

Złośliwi pewnie będą Voltowi mierzyć poziom amerykanizacji, ale wątpię, by on się tym przejął (patrz akapit pierwszy). Bo ta płyta muzycznie jest bardzo amerykańska, pełna syntetycznych, kąśliwych dźwięków, włożonych jednak w jak najbardziej żywą, naturalną funkową pulsację. Weźmy chociaż jeden z moich dwóch ulubionych kawałków na tej płycie - „Idealu potęga" Rahima i Mei, g-funk interpteacja plus mlaszczący beacik, wszystko ostre jak żyletka, a dodatkowo świetnie komponujące się z pokręconym stylem Raha i głębokim, fantastycznie brzmiącym głosem wokalistki. Skoro „moje faworyty", to jeszcze „Wychylyłybymy" Kasty: zajebisty imprezowy tekścik, łajnie podjechany technicznie, do tego kilka prostych dźwięków, lepki basik - czego trzeba więcej, żeby się dobrze bawić? A Tede w singlowym bangerze „Merctedes s600"? Nie dość, że Jacek pojechał mocno pogiętym, połamanym wokalnym stilo, to kawałek rozpieprza swoją elektryką (spróbujcie posłuchać go na maksymalnie rozkręconym sprzęcie, wbija w ziemię).

Ta płyta to jednak nie tylko nowoczesne brzmienia i impreza. Wystarczy posłuchać Morwuaków w świetnym „Bóg dał to wszystko nam" (znakomita zwrotka Łyskacza), kawałku brzmiącym bardzo klasycznie. Podobny powrót do klasyki to niezły kawałek Mesa z Lerkiem, czy ciekawy utwór 7 Łez.

Główna siła tej płyty to jednak eksperymenty Sebka z syntetyzatorem. Na te eksperymenty nieźle nałożyły się zaangażowane zwrotki Vienia i Pelego, świetnie na „elektronicznym" beacie brzmią przedstawiciele ZIP Składu. Dobra, kończę to wymienianie wykonawców i kawałków, dam wam szansę na własne przemyślenia :) .

Do poziomu muzycznego pozycji przyczepić się nie mogę, właściwie podoba mi się na tej płycie każdy beat. Różnie jednak jest z wykonawcami i ich rymami. Bądź śpiewem, bo na przykład kawałek Kiwi tak mi się średnio słyszy, że o samym tekście nie wspomnę, bo jest... Zresztą, nie ma co atakować debiutantów. Dobra, w ogóle nie będę atakował. Na tej płycie najważniejsza jest muzyka Sebastiana. I tu wystawiam wysoką ocenę. **kowal**



EIS
GDZIE JEST EIS?

„To klasyk i najlepsza płytka, jaka ma wyjść w 2003" - nawija Eis w kawałku „Zmienić grę". Cóż, może nie najlepsza (choć czas pokaże), w każdym razie z pewnością jedna z ciekawszych, jakie ostatnio się pokazały. Żenujące czasy Elemera nasz bohater ma już za sobą i choć nadal jest bardzo młodym człowiekiem, z pewnością dojrzał na tyle, by mówić rzeczy, które mają ręce, nogi i styl. Bo główny atut tej płyty to stilo, z którym Eis z pewnością wybija się ponad liczne rzesze polskich emcees gadających nie tylko nawet to samo, ale i tak samo. Można zupełnie nie utożsamiać się z historiami opowiadanymi przez Eisa, ale to spoko życiówka z kręgów otaczających nas wszystkich dość szczelnie, podrasowana lekko ironią, czasami wkurwieniem, a czasami po prostu trzeźwym spojrzeniem. Posłuchajcie na przykład „Box-I-Kox" czy „Polskiego snu", które można spokojnie nazwać... rzeczową analizą. A „Kapitalizm"? Dawno w polskim rapie nikt tak celnie nie podsumował koleżanek, jednocześnie mając do wszystkiego - w tym do siebie - spoko dystans. Tak więc tekstowo, stylowo jest ok. Muza? Minimalnie, z pomysłem, bez rzucających na kolana „solówek", ale beaty (w większości autorstwa Korzenia) pasują do tego, jak gada Eis. Czego chcieć więcej? Dobra płyta, polecam. **kowal**



SKI SKŁAD
WSPÓLNE ZADANIE

No cóż, Ski Skład niczym mnie nie zaskoczył. Choć pozycja jest równoprawną współpracą Pei i Wiśniowego, podobno już wszyscy zaklasyfikowali tę płytę jako solówkę tego pierwszego. To źle, bo słuchając jej czuć, że obydwaj panowie mieli wspólny pomysł, choć z drugiej strony większe doświadczenie i wyrobienie Pei daje o sobie znać - po prostu za mikrofonem czuje się pewniej, niż Wiśnia, i to słychać. Dobra, skoro już było o tym, kto z kim, to teraz może będzie kilka słów o tym, jak. „Jest jak jest, raz gorzej, raz lepiej" - mogliśmy usłyszeć swego czasu w kawałku Molesty i tak się jakoś składa, że ten wers idealnie pasuje do tej płyty. Nie można zarzucić Ski Składowi braku zaangażowania, tego, że w tekstach nie unikają trudnych tematów (Peja nigdy ich nie unikał) oraz tego, że całość wyprodukowana jest niezwykle starannie. Brakuje w tym wszystkim jednak jakiegoś błysku, czegoś, co nie było jeszcze powiedziane, czegoś, co nie było jeszcze zagrane. Zapewne zostanę skwitowany: „O, kolejny pismak się przypierdala", ale właśnie tak, przypierdalam się, bo od niektórych wymaga się więcej. Ja więcej wymagam od Pei. Są tu kawałki naprawdę konkretne, jak „Klasyczna łuzja", „Dzień zagłady" z Fu czy „I kto ma lepiej" z RDW, ale też sporo utworów, których nawet nie jestem w stanie wspomnieć, bo po prostu wylatują z głowy niemal w tym samym momencie, w którym w nią wleciały. To zupełnie coś nowego jeżeli chodzi o albumy z udziałem Pei, bo nawet jeśli jakieś kawałki SLU nie podobały mi się, pamiętałem je (i nie piszę teraz o „Głuchej nocy"...). Nie napiszę jednak, że to jest zła płyta, bo skłamałbym. Po prostu przeciętna. Na sto procent jestem jednak przekonany, że i Peja, i Wiśnia jeszcze niejeden raz zaskoczą słuchaczy. Ambicję i potencjał [illegible] słychać. **kowal**



ENDEFIS
O TYM, CO WIDZISZ NA OCZY

Endefis w końcu doczekał się płytowego debiutu. Od czasu ich zwycięstwa w konkursie debiutów podczas pierwszego rapowego festiwalu we Wrocławiu minęło już ponad półtora roku, ten materiał gotowy był już dawno, ale czasami tak się na naszym rynku dzieje - trzeba cierpliwie czekać. I moim zdaniem opłacało się czekać. To niebanalna płyta. Zapewne twardogłowi miłośnicy etykietek od razu wkleją Endefisom przymiotnik „uliczny", choć jeżeli uważnie wsłuchają się w ten materiał, tak łatwo jakimikolwiek ocenami nie będą szafować. Bo choć faktycznie Bartosz i Miexon swoje muzyczne korzenie mają w ulicznym rapie, mocno wykraczają poza uproszczone schematy tekstowe rządzące często tym gatunkiem. To jedna z lepszych płyt „obserwacyjnych" - aż zastanawia, że tak młodzi kolesie mają tyle tak dojrzałych i trafnych spostrzeżeń, dodatkowo powiedzianych tak dojrzałym językiem. Oczywiście, można mieć zastrzeżenia do niektórych uwag, nie zgadzać się z niektórymi ich poglądami, ale nie zmienia to faktu, że Endefis swoje sądy potrafi udokumentować trafnymi słowami. A to dużo. Mocna jest również muzyczna strona tej pozycji. Większość beatów jest autorstwa Bartosza, który dał się już poznać jako jeden z bardziej obiecujących producentów młodego pokolenia, kilka kompozycji, bardzo dobrych, stworzył L.A. Nie chcę wymieniać kolejnych kawałków, rozbijać ich, analizować, gdyż traktuję tę płytę bardziej jako całość, niż zbiór singli. W każdym razie, to bardzo solidny debiut. **kwl**



KUT-O
ASTIGMATIC

Pewien człowiek miał marzenie. Inaczej... pewien didżej miał marzenie. Kut-O, znany ze współpracy z Kastą, chciał nagrać płytę z zagranicznymi, anglojęzycznymi raperami - zdanie brzmi prosto, ale jak możecie się domyślić, samo doprowadzenie do powstania projektu już takie proste nie było. Ogólnie mówi się jednak, że Polak potrafi, zwłaszcza, jak się uprze, więc pewnego dnia Kut-O mógł z zadowoleniem stwierdzić, że do ukończenia projektu ma bliżej, niż dalej, a Astigmatic stała się faktem (dokładną historię projektu poznacie w następnym numerze SLG). W każdym razie, choć próbował trzy lata!, udało mu się ściągnąć na ten projekt uznanych reprezentantów podziemnego rapu ze Stanów: reprezentant chrześcijańskiego rapu Sev Statik ze słynnej ekipy Tunnel Rats, houstońskie K-Otix, Dekay i Zexec oraz turntablista Spryte One z chicagowskiego Platter Pirates. Efekt? Ta płyta to solidny kawałek podziemnego rapu, bez upiększeń, hitów, skocznych refrenów i całej kolorowej reszty. Goście są solidnymi rzemieślnikami, szczególne wrażenie robi na mnie Sev Statik, którego pasja w kawałku „Nazis" jest naprawdę iponująca. Ten album to również kilka mocnych produkcji Magiery, sporo ostrych gramofonowych trików Kut-O, wiele wkręconych klasycznych breaków - kwintesencja hip-hopu dla tych, którzy lubią go słuchać, a nie muszą nucić. Jednocześnie nie jest to może produkcja, która rzuci na kolana, zmieni bieg Wisły etc., ale jest swoistym dokumentem na to, że jak się czegoś bardzo chce, można to osiągnąć. A gdy osiąga się to w dobrym stylu, satysfakcja może być pełna. Myślę, że Kut-O jest człowiekiem zadowolonym z siebie, do czego ma pełne prawo. **k.**



WYCHOWANI NA BŁĘDACH
DOWÓD ODPOWIEDZIALNOŚCI

Jak ktoś nie lubi ulicznego rapu (ja nie lubię tej nazwy, ale się niestety przyjęła), to najczęściej twierdzi, że ten gatunek jest nudny, emcees w kółko gadają to samo i najczęściej wszystko jest bardzo do siebie podobne. To krzywdzące ten gatunek uproszczenia, na szczęście są płyty podobne do materiału WNB, które podobnym opiniom zaprzeczają`. Olsen i Lukasyno robią rap od lat, a szerszej publiczności przedstawili się dwoma kawałkami na składaku 5GFM. Już wtedy, choć od zachwytu byłem daleki, wyczuwałem, że laceci mają potencjał, a jedyne, czego potrzebują, to po prostu ciągłej praktyki, pisania, ćwiczeń - jak w każdej dziedzinie życia. Ich debiutancki album pokazuje, że do tematu podeszli poważnie. Materiał został zrealizowany pod okiem Waca w studiu Prosto (czuć, słychać, jakość muzyczna bardzo dobra), sporo osób odwiedzających to studio pojawiło się też na płycie w charakterze gości, choćby spora część ZIP Składu, Włodi czy Wilku. Zresztą od razu napiszę, że kawałek z Wilkiem, bardzo osobisty, traktujący o relacji człowieka z Bogiem, to najlepszy track na płycie. W twórczości WNB czuć to, że mają wiele wspólnego z warszawską sceną hardkor, ale to nic złego - dobra inspiracja i własna interpretacja plus oryginalne pomysły. Nie jest to materiał łatwy, lekki i przyjemny, nie wchodzi ot tak, po prostu, wymaga zastanowienia. Teksty momentami są bardzo ciężkie, ale ogólny przekaz jest pozytywny. Muzyka raz mocniejsza, energetyczna, innym razem spokojniejsza, nawiązująca do cięższych tekstów. Posłuchajcie tej płyty, polecam. kowal



50 CENT
THE NEW BREED

DVD to standard, który daje sporo możliwości - oczywistość, ale jakże przyjemnie sobie to czasem powtórzyć. No i jak ktoś jest fanem Centa, a ma odtwarzacz DVD, to może sobie zafundować zajebistą atrakcję, jaką z pewnością jest ten poświęcony szalonemu raperowi krążek. Co się na nim znajduje? Łatwiej byłoby w sumie napisać, czego nie ma :) , ale pozostańmy rzetelni i wymieńmy sobie (prawie) wszystko. Film dokumentalny o Cencie i o wszystkim, co się wokół niego działo i dzieje, sporo wywiadów krótszych i dłuższych, teledyski do „In Da Club", „Heat" (dwa zupełnie różne klipy) i „Wanksta" oraz reportaże z planów zdjęciowych, pełne ciekawostek i czasami pikantnych szczegółów. Nagranie z sesji, która miała miejsce w studiu AOL, a przede wszystkim megakozacki koncert z Detroit, podczas którego widzimy Centa, Eminema, G Unit i wariatów z D-12. To tylko kilka słów, a całość trwa dwie godziny i naprawdę jest się czym podjarać. Do tego bonusowy krążek audio z trzema kawałkami. Dla fanów Centa mus, dla fanów rapu zajebista rozrywka. x.



FLOETRY
FLOETIC

Floetic to debiutancki album dwóch niesamowitych kobiet pochodzących z Wielkiej Brytanii, a zamieszkujących obecnie centrum soulu - Filadelfię. Obie panie mają obsesję na punkcie języka angielskiego, poezji i wymyślania nowych słów. Ta pasja przekształciła się w ich zawód, znane były do tej pory bowiem jako tekściarki piszące dla Whitney Houston, Michaela Jacksona i Faith Evans. Poza tym obie skończyły studia dramatyczne w Londynie i fakt ten odbija się na ich codziennym życiu oraz muzyce, uwielbiają bowiem igrać nastrojem innych i udawać kogo innego. Doskonale słychać to na Floetic, gdzie wokal raz upodabnia się do llow Truth Hurts, a zaraz potem staje się słodki jak u Faith Evans, by za moment otrzeć się o styl Jill Scott. W zespole role są podzielone: Nathalie rapuje, momentami na granicy spoken word, Marsha natomiast ubarwia całość głębokim, nastrojowym śpiewem, co trzeba przyznać wychodzi jej bardzo dobrze. Dziewczyny mówią, że nie nagrywają piosenek, tylko konwersacje, rozmowy utrzymane w stylu mini spektaklu muzycznego. Ukoronowaniem tego oryginalnego podejścia do muzyki jest utwór „Opera", gdzie Nat opowiada historię zakochanej kobiety, a Marsha ilustruje stan emocjonalny bohaterki wyjąc fragmenty arii operowych. Muzyka na Floetic utrzymana jest w sprawdzonym stylu „Philly Soul" i w tym wymiarze nie jest odkrywcza, ale na pewno nastrojowa, zmysłowa i piękna. Jedyny szybszy utwór to singiel „Say Yes". Album to podróż przez współczesne dokonania muzyki soul, warto więc poświęcić mu cały wieczór, a relaks i głębokie wzruszenia gwarantowane. Gdy najdzie was ochota na pochlipanie, wsłuchajcie się koniecznie w „Getting Late". Fala



KEITH SWEAT
LIVE

Album ten jest kompilacją najbardziej znanych love-songów wybranych z 7 wcześniejszych albumów i wykonanych w wersji live. Przesławny szansonista i producent muzyczny r'n'b - m. in. autor muzyki Dru Hill - Keith Sweat dobił już czterdziestki, ale wciąż ma w sobie moc do nagrywania i produkowania kolejnych albumów. Właśnie połączył siły z innymi podstarzałymi śpiewakami r'n'b: Geraldem Levertem i Johnem Gillem, aby pod wspólnym szyldem LSG zasłodzić już panie na śmierć. Nie trzeba bowiem chyba dodawać, jaki jest target muzyki tego rodzaju. Świadczą o tym chociażby tytuły kawałków: „Don't Stop Your Love", „I'll Give All My Love To You" czy „My Body". Jest to typowa muzyka łóżkowa do delikatnej i powolnej gry wstępnej, okraszona sowicie najróżniejszymi „wyjcami". Nadaje się również na afterek, jeśli czas wskazywany przez zegarek wymaga uśpienia bądź pozbycia się gości. Wśród gości pojawiają się oczywiście Levert i Gill, a także Athena Cage i słodkie chórki Calandry Glenn. Zważywszy na kompilacyjny charakter płyty, która zbiera na sobie produkcje jeszcze z początku lat 90., muzycznie jest ona dość tradycyjna i typowa jak na nowojorskie r'n'b. Nic zatem słuchacza zaskoczyć tu nie może, natomiast z pewnością usposobi go do miłości lub snu, a obie rzeczy są w naszej szalonej i stresogennej rzeczywistości bardzo wskazane, zatem płytkę polecam. Fala



LADY LAISTEE
HIP HOP THERAPY

Terapia hip-hopem to tytuł drugiego albumu w dorobku najbardziej znanej obecnie francuskiej raperki - Lady Laistee. W Polsce usłyszeć mogliśmy ją dotychczas tylko na soundtracku do filmu „Yamakasi" Luca Bessona. Na jej hasło wypada z przeszukiwarki prawie 200 stron netowych, w tym też zagranicznych, co oznacza, że wieść o niej dotarła już do różnych krajów. Swoją popularność zawdzięcza talentowi, dobrej muzyce, niemniej niż 10 tancerzom ubarwiającym zawsze jej koncerty i wyrafinowanej urodzie. Pewien wpływ na jej popularność ma też bliska relacja z Joeyem Starrem z NTM/ B.O.S.S., który wraz z DJ Spankym stworzyli większość muzyki na tym albumie. Lady, szczupła wielkooka Afrofrancuzka rodem z Gwadelupy, głos ma ostry i agresywny, który na pogodnym i lekkim podkładzie sprawia, że całość jest bardzo kobieca, choć nie przesłodzona. Hitem tego albumu jest bez dwóch zdań „Diamant Noir", w którym refren jest po prostu trafiony w dziesiątkę. Tematyka albumu jest feministyczna, ale w granicy dobrego smaku. Lady Laistee to nie „suka", ale „czarna siostra" walcząca o respekt i równouprawnienie w hip-hopie. Wyrazem tego przesłania jest remake utworu Arethy Franklin „Un Peu De Respect". Na Hip Hop Therapy nie znajdziemy tak typowych dla amerykańskich raperek kawałków o seksie, za to poruszą nas historie o przyjaźni i ciężkim życiu dyskryminowanych Czarnych... Tylko najpierw trzeba się nauczyć francuskiego, albo prześlęczeć parę nocy nad słownikiem, tłumacząc zawarte w booklecie teksty. Można też się tym nie przejmować i delektować się samym bajecznie krzyczącym flow Black Mamy i muzyką, płyta jest bowiem bardzo przyjemna, skoczna i energetyzująca. Jeśli zatem ktoś zamierza latem zahaczyć o Francję, Lady Laistee to na liście zakupów pozycja obowiązkowa. Fala



L'ATELIER
BUFFET DES ANCIENS ELEVES

Ta płytka to rarytas dla ambitnych fanów undergroundowego hip-hopu francuskiego. Użyłam słowa „underground" w sensie pozostawania poza mainstreamem i stanowienia alternatywy. L'Atelier jest alternatywą wobec wszystkiego. Choć jest to hip-hop, beat nie jest prosty i nie wpada w ucho. Choć na wokalu udzielają się raperzy, ich flow jest na tyle zmienny i nie trzymający się muzyki, a głosy na tyle nienaturalne, że trudno przyłożyć do tego jakąkolwiek dostępną miarkę. Do tego przedziwne tytuły utworów, które nie dają choćby cienia wyobrażenia o czym może być kawałek. Warstwa muzyczna na tym albumie to już strawa dla koneserów, nie trzyma się ona bowiem żadnej harmonii i melodyki, a dla nieprzyzwyczajonego laika jest po prostu zbiorem industrialnych zgrzytów, pisków i cięcia metalu tępą piłą. Apogeum tych nietypowych zajawek muzycznych brygada L'Atelier dała wyraz w ostatnim, instrumentalnym utworze „Acapellas & Cathedrals". W skład L'Atelier wchodzą znani na awangardowej scenie hip-hopowej: James Delleck i Teki Latex (TTC), skośnooki Fuzati oraz Tacteel i Paraone - autorzy hałasu muzycznego. Płyta ta wyszła nakładem Institubes - istniejącego dopiero od pół roku wydawnictwa założonego przez Teki Latexa i jest premierowym albumem wydanym pod jej labelem. Cóż... Płyta ciężka, ale wartościowa, choćby edukacyjnie i krajoznawczo, daje bowiem pogląd na rozwijający się u zachodnich sąsiadów nowy sposób rozumienia muzyki i hip-hopu. A poszerzać horyzonty zawsze warto. Fala



LORD KOSSITY
KOSS CITY

To już szósty zbiór dokonań francuskiego raggamana. Nieźle, jak na jego 30 lat, zważywszy, że zaczął jako mixtejpowy dj, a w międzyczasie zaczął prowadzić radiową audycję i znalazł jeszcze czas, by wystąpić w kilku filmach. Lord Kossity, choć trudno dostępny na polskim rynku, jest raperem znanym, w szczególności ze swojej kolaboracji z NTM w słynnym imprezowym kawałku „Ma Benz". Pochodzący z dalekiej Martyniki Kossity nie zawodzi i tym razem. Jego szalony, basowy ryk płynie na Koss City po ciężkich i mrocznych, ale mimo wszystko melodyjnych podkładach, tworząc apokaliptyczną, choć bujającą wersję francuskiego hip-hopu. Na albumie wspomaga go wiele wokalistek i dzięki melodii ich wokalu płyta wpada w ucho. Aby udostępnić płytę szerszemu gronu odbiorców, Kossity łączy tu język francuski z angielskim, stąd tytuły kawałków: „Murda Dem" (prawdziwy hicior w mrocznym stylu), „Gunshot", „Apocalypse Now" czy najbardziej amerykański w stylu „My World". Często całe refreny śpiewane są po angielsku, co trzeba przyznać, znacznie ułatwia ich zapamiętywanie. Album, choć mało optymistyczny w przekazie, jest bardzo równy i dobry. Czarne ragga w najlepszym wykonaniu. Fala



TLC
3D

TLC to już stare wyjadaczki w branży muzycznej. Niegdyś bardzo popularne, bo jedne z niewielu, dziś muszą walczyć o pozycję na listach przebojów, gdyż konkurencja rośnie w trybie geometrycznym. Album 3D został nagrany jeszcze z udziałem raperki Left Eye, znanej z zadziornego stylu i dziecięcego głosiku. Niestety, zaraz po skończeniu nagrań na tę płytę, zginęła ona tragicznie w wypadku samochodowym. Wracając do albumu, trzeba przyznać, że dziewczyny walczą prężnie o swoją pozycję, gdyż płyta jest z pewnością niezła, na co wpłynęły w szczególności niektóre świetne produkcje muzyczne. I choć ocena płyty ze względu na muzykę nie jest do końca poprawna politycznie, to prawdą jest, że muzyka jest w stanie poziom albumu zarówno bardzo podciągnąć, jak i niemiłosiernie zniżyć. Na 3D obie te sytuacje wystąpiły łącznie. Z jednej strony Rodney Jerkins, The Neptunes (swoją drogą to zaczynają już nudzić) i Organized Noise z perełkami „Hey Hey Hey", „In Your Arms Tonight" i „Give It To Me While It's Hot", z drugiej porażający dramat kawałków autorstwa Dallasa Austina. Trudno pojąć, czemu te dwa nieprzystawalne do siebie style zostały połączone w jedną całość. Poza tym w czasach kosmicznych trików i genialnej aranżacji wokalnej czołowych wokalistek, flow i barwa głosu dziewcząt pozostawia spory niedosyt. Na marginesie: niespójny koncepcyjnie i niedopracowany wizualnie jest też design okładki, co dziwi przy amerykańskich milionowych budżetach. W skrócie: płyta jest bardzo nierówna i nie wybijająca się, co nie znaczy, że zła. Fala



SECOND AGE
THE TIMES HAVE TURNED

Ech, nie ma to jak posi-HC w wydaniu staroszkolnym. Fascynacje młodej wrocławskiej załogi wyczuwalne są na pierwszy rzut ucha - Gorilla Biscuits, Minor Threat, Youth Of Today (którego zresztą sztandarowy numer „Break Down The Walls" wrocławianie biorą na tapetę) i inne tuzy amerykańskiej sceny lat 80. Sprawdźmy więc punkt po punkcie, czy Second Age realizuje założenia gatunku. Zmiany tempa - są, dużo melodii - jest, dobry wokalista - jest, chórki - także, pozytywny przekaz w tekstach - jak najbardziej. Słabych punktów nie zauważono. Z albumu aż kipi energia, świeżość, zaangażowanie i autentyzm. Świetna realizacja nagrań, kapitalne brzmienie, nienaganny angielski wokalisty. Poziom absolutnie światowy. Ech, nie ma to jak stara szkoła. Powtarzam się? Przepraszam. Życie jest piękne... SR



TAKE NO HEROES

Kompilacje tego typu to bardzo zacna inicjatywa. Zwłaszcza, gdy szansę prezentacji swoich możliwości otrzymują zespoły z różnych zakątków świata, a my dostajemy wypełniony muzyką po brzegi krążek. Nie inaczej jest tym razem. Mamy tu ponad 70-minutowy zestaw nagrań zespołów hardcore'owych z Portugalii, Chorwacji, Brazylii, Filipin, Polski, Hiszpanii, USA, Niemiec, Łotwy i Malezji. Rodzaj uprawianej muzy, jak i poziom grup jest mocno zróżnicowany. Niekwestionowanym hiciakiem płyty jest dla mnie hiszpański Crickbat (może kiedyś, w innych okolicznościach wytłumaczę się z fascynacji zespołami z kraju Salvadora Dali). Jego rześki i witalny old school posi-HC z dużą dawką melodii i melancholijną nutą nie powinien pozostawić nikogo obojętnym. Hiszpanom w niczym nie ustępuje portugalski Pointing Finger. Klimaty zbliżone, wykonanie także bez zarzutu. Na przeciwnym biegunie lokują się z kolei dwie ekipy preferujące twórczość raczej klaustrofobiczną - brazylijski No Violence i amerykański The Mutiny. Może ich brutalny, niechlujny zmetalizowany core trafi w czyjeś gusta, ale mnie zwyczajnie nuży. Na szczęście to tylko mała łyżeczka dziegciu w beczce miodu, bo reszta zespołów to bardzo solidne załogi, a polska reprezentacja w postaci warszawskiego No Way Out wypada na ich tle bez zarzutu. Sporo tu ciekawostek, tekstów śpiewanych w egzotycznych raczej językach (chorwacki, łotewski), co dodatkowo podnosi ogólną ocenę Take No Heroes. Bardzo dobra płyta. Dla wszystkich tych, których ulubione litery alfabetu to „h" i „c" - absolutny mus. Dla innych okazja do kontaktu z potężną dawką ostrej, emocjonalnej muzy. Zdecydowanie polecam. SR



ZŁODZIEJE ROWERÓW
TEN MOMENT

W głowę zachodzę, co porywającego ma w sobie ten zespół, że niektórzy zdążyli mu już przylatać etykietkę „kultowości". Jak do tej pory materiały Złodziei Rowerów niezbyt trafiały w moje gusta, a najbardziej podobała mi się nazwa grupy (bo film Vittoria De Siki to niepodważalnie arcydzieło). Nowa, trzecia płyta ZR również mnie nie przekonuje. Muzycznie jest całkiem nieźle – zagrany z nerwem emo core rozpięty między tradycją gatunku (np. Verbal Assault) a nowszymi dźwiękami (tutaj pewnym tropem może być już sama efektowna okładka w stylu wydawnictw z Revelation Records). Solidnie, to agresywnie, to znowu bardziej refleksyjnie – nie sposób się przyczepić. Tyle, że dla Złodziei Rowerów równie ważny, a może nawet ważniejszy jest przekaz. Tutaj teoretycznie wszystko jest ok. – panowie chcą przekazać ważne treści, a ja (zazwyczaj) mogę się pod nimi podpisać. Problem w tym, że niektóre teksty irytują dydaktyczno–moralizatorskim zacięciem, a jeszcze inne straszą częstochowskimi rymami. A już takie kwiatuszki jak „barwne" porównanie „prawdziwe jak kula w głowie Johna Kennedy'ego" to już spory rekonesans poza granicę dobrego smaku. Do atutów grupy nie można także zaliczyć wokalisty. Kiedy uderza w ton płaczliwy albo ociera się o quasi-aktorskie interpretacje, to nie mogę pohamować uśmiechu. A przecież ma być bardzo poważnie. Jeżeli Złodzieje Rowerów pozbędą się kaznodziejskiego zacięcia i popuszczą trochę ideologicznego gorsetu, wszystko powinno być świetnie. Ale na takie zmiany to oni pewnie nie pójdą. SR



TIME X
GOOD MOVES NOT GOOD PLAYERS

Zaczyna się od motywu przewodniego z „Indiany Jonesa". Przy takim wejściu smoka musi być dobrze - pomyślałem i nie przeliczyłem się. Nieistniejąca już niestety portugalska ekipa Time X, związana z Lisbon Youth Crew, była w swoim kraju jednym z najbardziej znanych zespołów Straight Edge HC. Nie dziwię się, bo to, co zaprezentowała na Epce Good Moves... lokuje ją w ekstraklasie posi-HC. Energetyczne, melodyjne granie pełne witalności i pozytywnych emocji. Teksty zaangażowane i upolitycznione, poruszające takie tematy, jak np. prawa zwierząt czy antykapitalizm, za co lizbończycy zyskują u mnie kolejnego plusa. Wśród ośmiu piosenek na Good Moves... znalazł się także i cover legendy SE HC, kultowego DYS. Jaki? Oczywiście „Brotherhood". Kiedy już dorwiecie tę epkę i puścicie w ruch talerz waszego gramofonu, wam także będzie ciężko się zatrzymać. Chyba, że przy zmianie strony. Winyl rządzi. Szukajcie tej płyty!!! SR



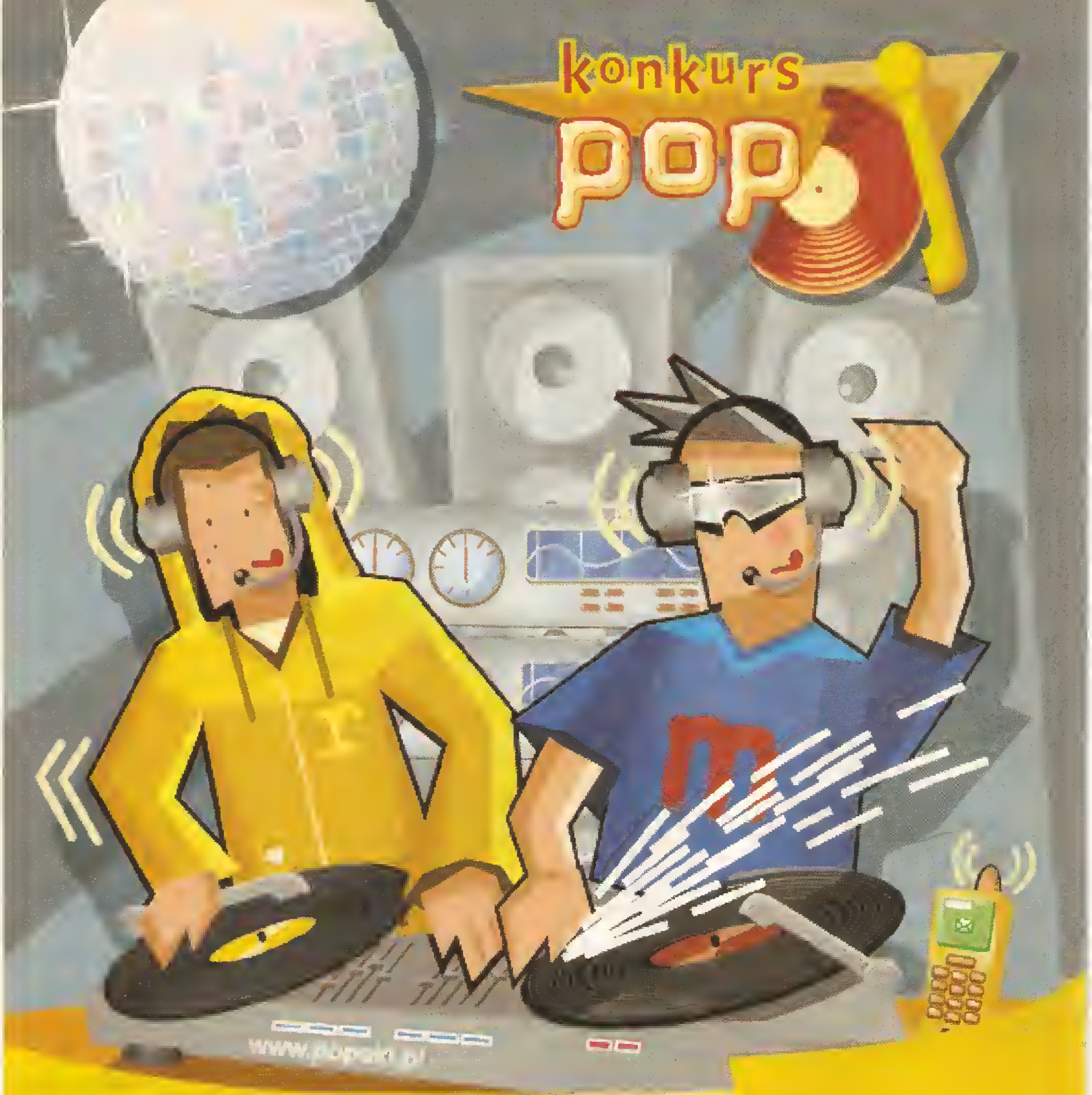
FAF LARAGE
C'EST MA CAUSE

Wielu ludzi ma mieszane uczucia co do francuskiego rapu. Uważa, że bity są ciężkie, nie ma cykaczy itd. Właśnie to sprawia, że Francuzi są prawdziwym ewenementem na skalę światową. Jednym z takich raperów jest Faf Larage wraz z podwójną płytą „C'est ma cause". Faf Larage pochodzi ze słonecznej Marsylii, jest utalentowanym raperem. Jego album wspomagają Def Bond, Fonky Family, IAM czy Pit Bacardi. Album składa się z dwóch płyt: jedna to klasyczna produkcja, natomiast druga to instrumentale i remixy pod tytułem „Hip-hop non stop 2000". Obydwie płyty składają się na porządną francuską produkcję, która odbiega znacznie od amerykańskiego stylu i właśnie takiej odmiany światowy hip-hop potrzebuje. Wystarczy posłuchać takich utworów jak tytułowy „C'est ma cause" czy „J'accuse" z IAM, aby zmienić zdanie. Płyta naprawdę godna polecenia ze względu na klimat i jakość materiału. Mara



WU-TANG
WU-CHRONICLES CHAPTER II

Panów z Wu-Tangu nie trzeba chyba przedstawiać. Jest to klan, który jest już klasykiem w Hip Hopie. Mimo iż kondycja Wu lekko podupadła ostatnimi czasy to są jeszcze produkje, które potrafią powalić z nóg. Jedną z nich jest właśnie "Wu-Chronicles chapter II" Jest to mistrzowski zestaw kawałków chłopów z Wu oraz ich gości. wymieniać można długo, gdyż płyta obfituje w wiele szlagierów takich jak "above the clouds" Gangstarra wraz z Inspectal Deck czy "Got's like come on thru" Buddha Monk z Ol Dirty Bastard i Drunken Dragon. Każdy zwolennik Wu-Tang znajdzie tu cos dla siebie. Płyta jest utrzymana w starym dobrym klimacie. Z pośród wielu kompilacji Wu-Tangu ta zasługuje naprawdę na wysokie noty. Mara


konkurs
pop
www.popaki.pl

Idea POP i EMPiK zapraszają wszystkich, którzy kochają muzykę i chcą się sprawdzić jako DJ-e! Bierzcie udział w konkursie POP DJ!

czekamy na zwycięzców w dwóch kategoriach: clubbing i hiphop!

Nieważne, ile macie doświadczenia. Ważny jest zapał, szczere chęci i dobra zabawa!
Jedyny warunek: musicie być pełnoletni, choć niekoniecznie dorośli! Pokażcie, co potraficie, a szacunek Was nie minie! A poza tym - jest o co grać!



Nagrody dla zwycięzców to profesjonalne mixery firmy Vestax: **PMC-05 PRO II i PMC-06 PRO!**



Nagrodą dla wszystkich finalistów będzie wspólny **występ na żywo** w warszawskim klubie Skarpa w towarzystwie zaproszonej gwiazdy muzyki klubowej oraz **wspólne nagranie i wydanie płyty!**
Wszyscy finaliści otrzymają także **Zestawy POP z telefonem** - bo POP łączy z ludźmi zdolnymi!

Wszystkie osoby, które zakwalifikują się do półfinałów, dostaną **koszulki POP DJ**.

żeby się dostać, musisz coś wysłać

Wyślij do nas swoje sety didżejskie lub własne nagrania **na płycie CD** lub kasecie audio na adres: **POP DJ KONKURS, 00-025 Warszawa, ul. Krucza 50** z dopiskiem CLUBBING lub HIPHOP.

Wraz z nagraniami wyślij do nas podpisaną kartę zgłoszeniową, którą wraz z pełnym regulaminem konkursu znajdziesz na stronie **www.popaki.pl** oraz **www.empik.com**. Koniecznie potwierdź chęć uczestnictwa, wysyłając SMSem swoje imię i nazwisko na numer **7118** (koszt wysłania SMSa ze wszystkich sieci - 1,22 zł brutto). Termin nadsyłania zgłoszeń mija 22 lipca 2003.

Jury w składzie **DJ Novika** (Radiostacja), **DJ Feel-x** i **DJ Sorbee Sorbiani** (Radio Jazz) przesłucha nadesłane nagrania i wybierze półfinalistów: **po 10 osób z każdego miasta** - 5 DJ-ów clubbingowych i 5 DJ-ów hiphopowych !

zaczyna się jazda

Półfinaliści spotkają się na pojedynkach DJ-ów i powalczą o finał. Spotkania półfinałowe odbędą się w 5 miastach Polski, w wybranych salonach EMPiK. W każdym z salonów, na specjalnym stole do miksowania półfinaliści zaprezentują **15 minutowe sety grane na żywo**. Specjalna kamera będzie prezentować obraz ze stołu za pomocą rzutnika, a jury będzie uważnie przysłuchiwać się setom. Do finału przejdzie **po 2 finalistów z każdego miasta** – DJ clubbingowy i DJ hiphopowy!

finał konkursu

Finał Konkursu POP DJ odbędzie się 6 września 2003 roku w Warszawie. Każdy z 10 finalistów zagra 20 minutowy set na żywo. W ten sposób wybrani zostaną 2 zwycięzcy:
najlepszy DJ clubbingowy i najlepszy DJ hiphopowy.

Po konkursie - nagrody i DJ party!











SICK OF IT ALL

CHŁOPAKI Z HARD CORE'OWEJ FERAJNY

Kiedy w Wielkiej Brytanii dogasały już zarzewia punk rockowej rewolty, a najwięksi jej bohaterowie zdołali przejść do historii bądź wymościć sobie wygodne leża na łonie muzycznego przemysłu, po drugiej stronie Oceanu nadal wrzało. Rdzennie amerykański wynalazek punk rocka, spopularyzowany przez Wyspiarzy, rykoszetem powrócił do Nowego Świata. Tyle że zagubiony w nihilizmie i bezmyślnej destrukcji, do dalszego rozwoju potrzebował dopływu świeżego powietrza. Tę duszną atmosferę rozwiać miał hard core, najogólniej rzecz ujmując - kolejna faza rozwoju punk rocka. Rewolucja umysłowa, która pod hasłami doskonalenia samego siebie i zmiany rzeczywistości doprowadziła do odświeżenia kostniejącego już ruchu.

„Wielu ludzi mówi, że hard core jest ich sposobem na życie, ale w naszym przypadku tak właśnie jest. Bez tego nie wiem co bym robił. Nadal kocham każdą godzinę, kiedy jestem na scenie" - Pete Koller

Sick Of It All należy do tych zespołów, które zdefiniowały hard core. Ta działająca już 17 lat formacja współtworzyła legendę nowojorskiej sceny HC wraz z grupami takimi jak Gorilla Biscuits, Youth Of Today czy Agnostic Front. Pierwotnie związana z ruchem Straight Edge, nawołującym do oczyszczenia ciała od wszelkich używek, bezkompromisowa tak w warstwie tekstowej, jak i muzycznej, wciąż kontynuuje obraną na początku istnienia drogę, pozostając wierna ideałom wyrażonym w utworze „We Stand Alone", swoistym credo SOIA: „Nie potrzebujemy niczyjej pomocy / Nasze przekonania są wystarczająco silne, aby stać twardo / Nasze pragnienie płonie głęboko w naszych sercach / To jest w naszych głowach, to jest w naszych duszach".

„Próbowaliśmy ze wszystkich sił. Wszyscy przywykliśmy do wysiłku i wiemy, czym jest ciężka praca. Kiedy zaczynaliśmy, nigdy nie mieliśmy żadnych planów. Po prostu robiliśmy to, co uważaliśmy za słuszne i wciąż to robimy. Jeżeli publika przychodzi na nasze koncerty, jest świetnie, ale nie zmieniamy się i nie alienujemy nikogo. Naszym zdaniem każdy powinien móc wejść w hard core" - Lou Koller

1984 rok. Nowojorska dzielnica Queens. Dwóch zainfekowanych hard core'em nastolatków, bracia Lou i Pete Koller przesiadując w piwnicy swoich rodziców snuło plany założenia zespołu grającego ostrą i bezkompromisową muzykę. Pete grał na gitarze, Lou zaś miał zająć się emisją odgłosów paszczowych. Od razu wymyślili bardzo adekwatną nazwę, wyrażającą ich frustrację rzeczywistością - Sick Of It All.

Realizacja planu powiodła się dopiero dwa lata później. Kollerowie skrzyknęli się z dwoma przyjaciółmi z dzieciństwa i zagrali swój pierwszy koncert. Okazało się jednak, że koledzy nie są zbyt sprawnymi muzykami, więc zaraz po występie otrzymali wypowiedzenia. Ich miejsca zajęli wówczas Richie Cipriano (bas) oraz Armand Majidi (perkusja). Ta czwórka nagrała w 1987 roku debiutancką Epkę zatytułowaną po prostu Sick Of It All. Płytka zawierała dziewięć utworów utrzymanych w stylu agresywnego, szybkiego hard core'a z silnym piętnem punk rocka. Mocno rebelianckie, naładowane emocjami teksty wyrażały frustracje młodego pokolenia, atakowały zastany porządek.

Po serii lokalnych koncertów (m.in. w słynnym klubie CBGB's) oraz ugruntowaniu sobie solidnej pozycji na nowojorskiej scenie, przyszedł czas na pełnometrażowe wydawnictwo SOIA. Album zatytułowany wymownie Blood, Sweat and No Tears ujrzał światło dzienne w lipcu 1989 roku. Tnąca niczym brzytwa gitara Pete'a, potężna i dokładna gra sekcji Richie - Armand oraz charczący, gardłowy wokal Lou tworzyły rozpoznawalny styl grupy. Na płycie znalazł się pokaźny arsenał wybuchowych hard core'owych hymnów (z których tylko jeden trwał dłużej, niż dwie minuty) oraz „mówione" intro wygłoszone przez rapera KRS-One. Do dziś pozostaje ona klasyczną pozycją w muzycznym kanonie NYHC.

„Wszyscy jesteśmy po prostu zwykłymi ludźmi. Każdy może przyjść na nasze koncerty, nieważne jak wygląda i nie liczy się nawet to, jaką muzykę lubi. Na nasze koncerty przychodzi wiele dzieciaków, które siedzą w muzyce techno. A powód, dla którego przychodzą, to fakt, że nasze występy są energetyczne i pełne zabawy. Chcę, aby wszyscy mieli otwarte umysły i byli w porządku wobec innych" - Pete Koller

Po wydaniu płyty, nowojorczycy ruszyli w ogólnokrajową trasę. Machina Sick Of It All wydawała się funkcjonować bezbłędnie, a sam zespół potwierdzał kolejnymi występami opinię jednej z najbardziej widowiskowych formacji w USA. Drugi album SOIA, Just Look Around, wydany w październiku 1992 roku, okazał się dla ekipy z Queens pożegnaniem z dotychczasowym wydawcą, Relativity Records, a nawet z undergroundowym obiegiem. Nowojorczycy związali się bowiem z dużą wytwórnią EastWest i dla niej zrealizowali kolejną produkcję, Scratch The Surface (1994). Wprawdzie na promocyjnym singlu płyty znalazł się m.in. cover „Borstal Breakout" klasycznego punkowego zespołu Sham 69, jednak Scratch The Surface muzycznie był mocno zmetalizowanym wydawnictwem, najsłabszym w dorobku grupy. Dodać należy, że na tej właśnie płycie zadebiutował w szeregach SOIA nowy bassman, Craig Setari, grający wcześniej m.in. w Agnostic Front i Youth Of Today.

Premiera kolejnego albumu, Built To Last, miała miejsce w lutym 1997 roku. SOIA kompletnie zatarło nienajlepsze wrażenie, jakie wywarł poprzedni materiał. Built To Last okazał się produkcją nieco lżejszą, bardziej punkową. Hard core'ową agresję zestawiono na nim z melodyką charakterystyczną dla ulicznej odmiany punk rocka, oi! punka. Problem w tym, że w skutek braku należytej promocji, płyta pozostała niezauważona. Sfrustrowani członkowie SOIA zerwali wówczas kontrakt z EastWest. Po nienajlepszych doświadczeniach z komercyjną wytwórnią, band powrócił do swoich korzeni i na nowo stał się niezależną formacją. W 1998 roku nowojorczycy podpisali kontrakt z należącą do wokalisty No Fx, Fat Mike'a, wytwórnią Fat Wreck Chords. Posunięcie to było szokiem dla wielu scenowych działaczy, bowiem Fat Wreck specjalizował się do tej pory raczej w pop punku i lekkiej, lajtowej odmianie hard core'a. Sick Of It All stało się tym samym najcięższego kalibru działem w katalogu kalifornijskiego labela.

„Kiedy po raz pierwszy weszliśmy w hard core, na koncertach grały razem zespoły punk, oi! i hard core. Potem zaczęły się wszystkie te podziały i Straight Edge kids zaczęli chodzić na Straight Edge'owe zespoły, a fani metal core'a chcieli tylko takiej muzy. Nie o to chodzi w hard core. Chodzi o zbieranie się razem. Podziały rujnują całą koncepcję sceny" - Pete Koller

Sick Of It All to zespół zjednoczeniowy. Członkowie grupy zawsze opowiadali się za jednością wszystkich dzieciaków, a na jej koncertach zawsze mile widziani są hard core'owcy, punx, skinheadzi, jak i członkowie innych subkultur. Ta tendencja znajduje także odbicie w muzyce. Po przejściu do Fat Wreck, SOIA zaczęło łączyć hard core'owy rdzeń swoich kompozycji z innymi brzmieniami. I tak wypuszczony w lutym 1999 roku album Call To Arms kontynuował drogę rozpoczętą na Built To Last, sygnalizując dalszy zwrot nowojorczyków w stronę punk rocka. SOIA włączyło do swojej muzyki jeszcze większą dawkę melodii i typowych dla oi! punka charakterystycznych chórów. Zespół wydawał się być w znakomitej formie i potwierdził to kolejnym, równie przebojowym materiałem Yours Truly (2001). Mariaż z Fat Wreck bardzo umotywował SOIA, bo już rok później grupa wydała album koncertowy z utworami ze wszystkich okresów działalności.

„Nikt nie chce być częścią czegoś, co nie jest pozytywne. Chcesz coś stworzyć, nie niszczyć. Podstawowa przesłanka hard core'a to fakt, że jest on czymś pozytywnym. Mówimy o jedności, o wyzbyciu się uprzedzeń, trzymaniu się razem. W taki sposób wiodę życie. Traktuję ludzi z szacunkiem i chcę być traktowany tak samo. Skoro tworzę muzykę - a ta jest emocją dla mas - jest w niej więcej miłości, niż nienawiści" - Craig Setari

Czas upływa, zmieniają się trendy, a członkowie Sick Of It All wciąż pozostają sobą. Nie ulega wątpliwości, jak wielki wpływ wywarła załoga z Queens nie tylko na muzykę, lecz i postawę wielu hard core'owych oraz punkowych bandów. Zespół zdołał przetrwać nawet wyjątkowo czarne godziny, kiedy media niesłusznie oskarżały go o propagowanie agresji. Wpływ na te zarzuty miało zdarzenie z początku lat 90., kiedy pewien uczeń z Massachusetts zastrzelił kilku kolegów z klasy. Zbrodni dokonał ubrany w koszulkę SOIA. W specjalnym oświadczeniu dla „New York Times" członkowie grupy wyjaśnili, że zabójca wypaczył przesłanie ich tekstów. Wprawdzie słowa utworów SOIA poruszają tematy związane z ciemnymi stronami życia (w tym przemocą), ale z pewnością ich nie gloryfikują. Zresztą gdyby nowojorczykom zależało na lansowaniu agresywnych postaw, czy wówczas wspieraliby działalność różnego rodzaju inicjatyw społecznych? SOIA często można zobaczyć na benefitowych koncertach na rzecz Amnesty International, grup antyfaszystowskich, organizacji wspierających bezdomnych bądź finansujących walkę z rakiem piersi. Hard core'owe idee zmieniania świata na lepsze ekipa z Queens realizuje także poprzez działanie.

„A więc idź naprzód, trzymaj się swoich zasad, ja wybiorę swoje własne wojny / Twoje oskarżenia i szorstkie słowa nie mogą zrobić mi krzywdy / Nie wierzę w ślepą lojalność / To po prostu mentalność tłumu / Odpowiem na to co jest moim zdaniem słuszne / A nie na twoje wezwanie do walki!" - Sick Of It All „Call To Arms"

Nowy album Sick Of It All, Life On The Ropes, ma ujrzeć światło dzienne 9 września br. W chwili gdy czytacie te słowa, dostępna powinna być już promocyjna Epka Relentless z próbką nowego materiału. Wypatrujcie tej płyty, bo na pewno nie zabraknie na niej ostrej muzy i intensywnych emocji. Żeby zakończyć tekst optymistycznym akcentem, posłużę się tytułem jednego z utworów z poprzedniego albumu SOIA: „Disco sucks, fuck everything!". Nic dodać, nic ująć.

Sebastian Rerak



Liga Niezwykłych Dżentelmenów



Hulk



Kuloodporny Mnich

Celuloidowy komiks

Co łączy Daredevila, Blade'a, Largo Wincha, Hellboya, Garfielda i Spawna? Pytanie proste, to i odpowiedź łatwa: wszyscy są bohaterami komiksów i wszyscy trafili (bądź trafią w najbliższej przyszłości) na kinowe ekrany.

Podobno Mark Hammill (Luke Skywalker z Gwiezdnych Wojen) szykuje się do nakręcenia filmu o manii ekranizacji komiksów, jaka ogarnęła w ostatnich latach Hollywood, powoli przenosząc się do Europy (patrz: Asterix). No cóż, komiks i film nie dość, że są niemal rówieśnikami, to od dawna ze sobą współistnieją. Ekranizacje komiksów to temat na co najmniej pracę doktorską, a zaryzykowałbym twierdzenie, że nawet na małą encyklopedię. Miejsca, do którego muszę się ograniczyć, nie starczyłoby choćby na wymienienie tytułów. A jeśli dołożyć do tego komiksowe kontynuacje i adaptacje znanych filmów (np. Obcy, Predator, Terminator czy niezliczone Gwiezdne Wojny, a w Polsce Pancerni, Kloss i Janosik), to utonęlibyśmy w powodzi tytułów i nazwisk. Skupmy się więc na nowościach...

Plansza 1

Jeden z amerykańskich potentatów na komiksowym rynku, czyli Marvel, mocno inwestuje teraz w ekranizacje własnych komiksów. Niedawno oglądaliśmy Spider-Man i sequel Blade'a, dopiero co z kin zniknął Daredevil i X-Men 2, a już wkrótce czekają nas drugi Spider, Fantastic Four i Ghost Rider. Tymczasem na nasze ekrany wdziera się siłą Hulk, zielony olbrzym, obdarzony nadnaturalną siłą, a w cywilu Bruce Banner, utalentowany naukowiec. Gdy Bruce był mały, jego wyrodny tatuś nieco na nim eksperymentował. A już w dorosłym życiu, na skutek nieszczęśliwego wypadku w laboratorium, ujawniła się tkwiąca w mężczyźnie nieokiełznana moc. Teraz pod wpływem ataków gniewu Banner zmienia się w niezniszczalnego Hulka.

Komiksy o zielonoskórym olbrzymie, bardzo mało zresztą w Polsce znane, były już ekranizowane kilkakrotnie, w latach 70. i 80. Tamte filmy były głupawymi, ale dość zabawnymi historyjkami, a w rolę Hulka wcielał się wówczas kulturysta Lou Ferrigno. Teraz olbrzyma wygenerował komputer, zaś realizacją zajął się uznany twórca Ang Lee („Przyczajony tygrys, ukryty smok"). Niestety nie poradził sobie z komiksem i, doszukując się w nim zbyt głębokiego przesłania, zmienił go w klasyczny melodramat o rozdartej osobowości, nieszczęśliwej miłości i rywalizacji ojca z synem. Mam nieodparte wrażenie, że komiksu takiego jak Hulk nie można ekranizować na poważnie, spora dawka humoru i mocne przymrużenie oka mogło dać kawałek dobrej, bezpretensjonalnej rozrywki. Mogło, ale nie dało, „Hulk" jest poważny niczym noc listopadowa, pozbawiony niezbędnego dystansu do opowiadanej historii. Ang Lee zbyt serio potraktował swoje zadanie, nie zauważył jednak, że ten akurat materiał nie bardzo nadaje się na objawianie prawd o życiu i to przez blisko dwie i pół godziny. Nie znaczy to jednak, że film nie ma zalet. Fajny jest „komiksowy" montaż: obraz dzieli się często na kilka kadrów, płynnie się zmieniających, pojawia się też chwilami charakterystyczna dla amerykańskich komiksów czcionka. Niezła jest też animacja olbrzyma - Hulk wygląda tak jak powinien, szkoda tylko, że reszta efektów nie jest w stanie zaskoczyć widzów niczym nowym. Fanom komiksów o Hulku film może się podobać, ale moim zdaniem to niestety zmarnowana szansa.

Plansza 2

Zdarza się czasem tak, że nawet „małe" komiksy lub mini serie trafiają na duży ekran. Tak jest w przypadku „Kuloodpornego", będącego adaptacją mini serii stworzonej przez Bretta Lewisa i R.A. Jonesa „Bulletproof Monk", wydanej pod koniec lat 90. przez Image Comics. Jego bohaterem jest tajemniczy Bezimienny Mnich (gra go Chow Yun-Fat, znany m.in. ze wspomnianego już „Przyczajonego tygrysa..."), przez lata strzegący starożytnego Zwoju Najwyższej Władzy. Nadszedł jednak czas, by Mnich znalazł swojego następcę, a los wskazał zarozumiałego cwaniaczka Kara. Mnich i Kar wspólnie będą musieli stawić czoła okrutnemu wrogowi, byłemu hitlerowcowi, ogarniętemu obsesją zdobycia Zwoju i odzyskania młodości. „Kuloodporny" jest oczywiście produkcją czysto rozrywkową, łączącą elementy filmów walki i przygodowego kina w stylu Indiany Jonesa. Zresztą rozpoczyna się sekwencją, która przywodzi na myśl „Poszukiwaczy zaginionej arki", a to niewątpliwie dobry do naśladowania wzór. Film jest reżyserskim debiutem Paula Huntera, a na polskie ekrany kinowe wchodzi 22 sierpnia. W Stanach - choć nie zrobił powalających wyników finansowych - wywołał ponowne zainteresowanie bohaterem i niedawno ukazał się „one shot" specjalnie mu poświęcony. Ciekawe czy i u nas ktoś pokusi się kiedyś o komiksowe wydanie przygód Mnicha. Na razie się na to nie zanosi, pozostaje więc zaprosić do oglądania filmu.

Plansza 3

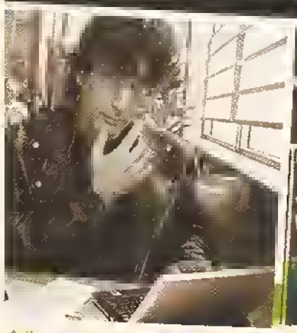
Są też filmy, o których niewtajemniczeni widzowie nawet by nie pomyśleli, że są ekranizacjami komiksów. Do takich należą choćby „Z piekła rodem" (historia Kuby Rozpruwacza), „Ghost World" (opowieść o rozterkach - powiedzmy - pokolenia X) czy oglądana niedawno „Droga do zatracenia" (rewelacyjny dramat gangsterski, gorąco polecam). Do takich tytułów należy też „Liga niezwykłych dżentelmenów". Niby łatwo się wyczuć komiksowy rodowód filmu - supergrupy są charakterystyczne dla opowieści obrazkowych. Ale tu akurat mamy do czynienia z supergrupą bardzo nietypową. W jej skład wchodzą postaci znane z dziewiętnastowiecznej literatury: awanturnik i poszukiwacz przygód Alan Quartermain, doktor Jekyll (a czasami Mr. Hyde), Mina Harker (ta z Drakuli), Tom Sawyer, Dorian Gray, Kapitan Nemo i Niewidzialny Człowiek. Trzeba przyznać, że dość nietypowe zgromadzenie nieprzeciętnych bohaterów. Nie spotkali się przypadkowo - mają poważną misję do wypełnienia. Wszystkich razem zgromadził jeden z najwybitniejszych współczesnych scenarzystów komiksowych, Alan Moore (również autor komiksu „Z piekła rodem"), a narysował Kevin O'Neill. Film, wyreżyserowany przez Stephena Norringtona, zobaczymy w naszych kinach dopiero w październiku, ale już możecie przeczytać jego komiksowy pierwowzór: „Liga niezwykłych dżentelmenów" właśnie ukazała się nakładem wydawnictwa Egmont. Nieco więcej o samym komiksie przeczytacie za miesiąc. Tymczasem możecie odwiedzić bardzo ciekawą stronę filmu www.lxgmovie.com.

Ten krótki przegląd letnich i jesiennych filmowych komiksów warto zakończyć jeszcze kilkoma zapowiedziami, oby wszystkie okazały się już wkrótce kinowymi hitami! Już w przyszłym roku czeka nas nowa ekranizacja przygód Punishera, a już krótkie zwiastuny (sprawdźcie www.punisherthemovie.com) sprawiły, że czekam na ten film bardzo niecierpliwie. Tym bardziej, że pierwsze podejście filmowców do Punishera (Franka Castle grał tam Dolph - niestety - Lundgren) było delikatnie mówiąc chybione. Poza tym będziemy mogli obejrzeć fabularną i pełnometrażową wersję przygód Garfielda (sam kocur zostanie zanimowany komputerowo), choć tu akurat obawiam się, że ten rodzaj humoru nie sprawdzi się w długim metrażu. A ponadto Hellboy, Blueberry, Kaznodzieja, Batman: Year One (na podstawie komiksu Franka Millera), Midnight Nation. Kolejne części Asterixa, X-Men, Blade'a... A jeśli dorzucimy pogloski o Alien vs. Predator, Superman & Batman czy Silver Surferze... Ech, kiedy ktoś pokusi się o zekranizowanie któregoś z polskich komiksowych przebojów? Plany sfilmowania Kajka i Kokosza upadły (może to dobrze, podobno czarownicę Jagę miał grać Cezary Pazura), ale jest jeszcze kilka innych tytułów. Fabularnej wersji Jeża Jerzego sobie raczej nie wyobrażam, ale na przykład 48 stron? Osiedle Swoboda w klimacie filmów Kevina Smitha? Cholera, nawet kapitan Żbik, ale koniecznie w realiach PRL-u. Na razie możemy tylko sobie pomarzyć.

.:Kuba Demiańczuk:.








neil gaiman władca snów

Neil Gaiman to bardzo zapracowany człowiek: pisze książki i scenariusze komiksów, pracuje przy filmach, wychowuje dzieci i hoduje koty, spotyka się z fanami w Stanach i Europie... Musi mieć jakiś układ z Sandmanem, bo na sen chyba nie znajduje już czasu. „Im więcej roboty, tym więcej zabawy" - twierdzi autor, a jego kolejne dzieła, to kolejne sukcesy, potwierdzane licznymi nagrodami literackimi i komiksowymi.

Tworzy już od ponad 20 lat, ale jego prawdziwa Kariera (i to przez duże K) rozpoczęła się na początku lat 90. Rozpoczął wówczas współpracę z wydawnictwem DC Comics, które zleciło mu wskrzeszenie starej serii o przygodach Sandmana. Bohater komiksu wydawanego najpierw w latach 40., a potem w 70., był zwykłym łowcą przestępców, noszącym kolorową pelerynę. Edytor zaproponował więc Gaimanowi wykorzystanie samego imienia i stworzenie nowego bohatera dla „mrocznego" imprintu DC, czyli Vertigo. Gaiman ożywił więc Morfeusza, Pana Snów, czyniąc go jedną z najpotężniejszych istot na Ziemi. Artysta nie zapomniał jednak o dawnym Sandmanie: jak wiemy przez dziesiątki lat Władca Snów był uwięziony przez szalonego Rodericka Burgessa. W tym czasie Hector Hall (czyli Sandman z komiksów z lat 70.) samozwańczo przejął jego obowiązki (w każdym razie w takim zakresie, w jakim to było możliwe). Gdy Sandman (ten gaimanowski) uwolnił się z pułapki, zaprowadził porządek w świecie snów i rozliczył się również z Hallem, a ich spotkanie mogliśmy obserwować w zakończeniu polskiego wydania pierwszej części „Domu lalki". Uff, nieco to skomplikowane, ale dowodzi ogromnego szacunku Gaimana zarówno dla czytelników, jak i dla twórców poprzednich wcieleń swojego bohatera.

Sandman jest jednym z siedmiorga rodzeństwa. Wraz ze swoimi braćmi i siostrami uosabia siły rządzące ludzkim życiem: Sen (Dream), Śmierć (Death), Pożądanie (Desire), Maligna (Delerium), Przeznaczenie (Destiny), Zniszczenie (Destruction) i Rozpacz (Despair). Im wszystkim Gaiman poświęcił ogromną część swojego komiksowego dorobku. Kolejne albumy (zwłaszcza te poświęcone Sandmanowi i Śmierci) stawały się bestsellerami i zgarniały liczne nagrody: wśród nich kilkakrotnie prestiżową nagrodę Willa Eisnera oraz World Fantasy Award za najlepsze opowiadanie, co było wydarzeniem precedensowym, bowiem pierwszy raz nagroda stricte literacka przypadła komiksowi.

Rzecz jasna nie tylko do sandmanowskiego cyklu ogranicza się komiksowa twórczość Anglika. Jeden z albumów - „Morderstwa i tajemnice", narysowany na podstawie opowiadania ze zbioru „Dym i lustra" - ukazał się niedawno w Polsce. Przed kilkoma laty ukazały się jeszcze „Świat w czerni i bieli", nowelka ze zbioru Batman: Black and White, narysowana przez Simona Bisleya oraz „Angela" - jeden z epizodów Spawna, rysowany przez Todda McFarlane'a. Co ciekawe później Gaiman procesował się z McFarlanem o prawa autorskie i wygrał... A my być może wkrótce doczekamy się kolejnych edycji, a jest na co czekać. Gorzka opowieść o umieraniu „Signal to noise" czy groteskowo - straszny „Mr. Punch" (oba narysowane przez Dave'a McKeana) to prawdziwe komiksowe perły. Obyśmy nie musieli długo na nie czekać...

Gaiman współpracował z wieloma znakomitymi rysownikami - wiem, że część czytelników jest nieco rozczarowana graficzną oprawą pierwszych tomów Sandmana, zapewniam jednak, że będzie lepiej. „Najbardziej cenię Mc Keana - mówi autor - bo zawsze potrafi mnie zaskoczyć. Za to marzę, żeby zrobić coś wspólnie z Moebiusem". Być może to marzenie się spełni, bo Gaiman dąży do tego, by swoje pragnienia realizować. Na jesieni (na razie tylko w Stanach niestety) ukaże się specjalny zbiór poświęcony Sandmanowi i jego rodzeństwu. Autorami ilustracji będą ludzie, z którymi Neil zawsze chciał współpracować, a wśród nich takie sławy jak Glenn Fabry, Bill Sienkiewicz czy Milo Manara.

Gaiman jest - poza twórczością komiksową - uznanym pisarzem. Pierwszą powieścią, która zdobyła światowy rozgłos, był „Dobry Omen", napisany do spółki z Terrym Pratchettem. Współpracę z twórcą Świata Dysku Gaiman wspomina jako świetną zabawę, ale na razie nie planuje powtórzenia podobnego wyczynu. Być może dlatego, że jego pisarska osobowość przytłoczyłaby każdego współpracownika, choć sam jest zbyt skromny, żeby to przyznać. W każdym razie każda kolejna książka Neila to ogromne wydarzenie, zwłaszcza, że autor świetnie czuje się we wszystkich odmianach fantastyki: od wykreconego „urban fantasy" „Nigdziebądź", poprzez sympatyczną baśń „Gwiezdny pył" aż po wielokrotnie nagradzaną (w tym jedną z najważniejszych nagród literatury fantastycznej, Hugo) powieść „Amerykańscy bogowie", która jest tworem tak eklektycznym, że nie sposób przypisać jej jednego określenia gatunkowego.

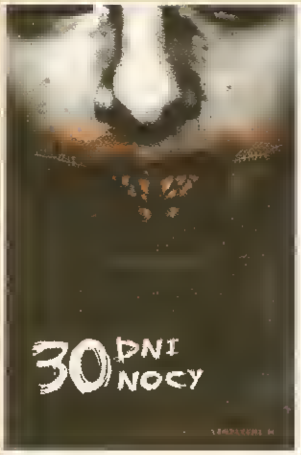
Jednym z najbardziej znienawidzonych przez wszelkich twórców pytań jest „Skąd bierzesz swoje pomysły". Gaiman jako jeden z nielicznych pisarzy mówi o tym bardzo chętnie: „Kradnę pomysły ze swoich snów, a także ze snów moich córek" - mówi. Tak powstały m.in. „Koralina" i „Wolves in the Walls" (najnowsza powieść, zapowiadana na zimę tego roku). „Ale najczęściej śnią mi się budynki, korytarze i zamknięte pomieszczenia". Nieposkromiona wyobraźnia pisarza pozwala mu jednak na wiele, wiele więcej. Przyznaje się ponadto do wielu innych inspiracji. Kocha książki i kino „Moją ulubioną książką w tym tygodniu jest Człowiek, który był czwartkiem Gilberta Chestertona, a moim ulubionym filmem w tym tygodniu jest Cały ten zgiełk (All That Jazz) Boba Fosse'a" - tak było jakiś czas temu, teraz pewnie Gaiman zachwyca się czymś innym. Niewątpliwie czymś równie zaskakującym. Ma jednak swoich stałych faworytów: „Alicję w krainie czarów" czy piosenki Tori Amos, na co dzień dobrej przyjaciółki pisarza (sportretował ją jako Drzewo w „Gwiezdnym pyle"). „Uwielbiam też Monty Pythona i wszystkie filmy Terry'ego Gilliama" - dodaje. I to czuć w części jego prac, choćby w jednym z najśmieszniejszych opowiadań ze zbioru „Dym i lustra", opowiadającym o starszej pani, która kupiła w sklepie ze starociami Świętego Graala.

Osobną działką w twórczości Gaimana jest film. W tej akurat dziedzinie jego dorobek nie jest może jeszcze bardzo bogaty, ale rosnąca popularność pisarza sprawia, że stan ten wkrótce zapewne ulegnie zmianie. Neil jest m.in. autorem scenariusza do jednego z odcinków serialu Babylon 5 Michaela Straczynskiego (twórcy komiksu Midnight Nation), a także telewizyjnej mini serii „Nigdziebądź", którą później zamienił na znaną nam powieść (a teraz Amerykanie przymierzają się do zekranizowania tejże - ot, hollywoodzki paradoks). Wkrótce zaś jeśli wszystko dobrze pójdzie - będziemy mogli zobaczyć filmowe wersje „Dobrego Omenu" (reżyserowanego przez Terry'ego Gilliama!) i „Koraliny". Kolejne adaptacje posypią się pewnie lawinowo... Gaiman stworzył też angielską wersję dialogów do (znanego także w Polsce) anime „Księżniczka Mononoke". Pracę nad nim wspomina jednak z rozbawieniem: „W momencie gdy Japończycy naciskali na zachowanie jak największych realiów, Miramax (amerykański dystrybutor filmu) żądał wykreślania ze skryptu niezrozumiałych japońskich słów, takich jak kimono". Kompromis został wreszcie osiągnięty, choć poprzedziło go zerwanie umowy i szybki powrót do dialogów Gaimana, gdy publiczność wygwizdała nową wersję na próbnym pokazie. I jak wszystko, czego pisarz dotknie, zamieniło się w sukces, tym razem uhonorowany nominacją do prestiżowej nagrody Nebula.

Zaś prywatnie Neil Gaiman jest bardzo sympatycznym i otwartym człowiekiem. Jak sam mówi mieszka z szalonymi kotami oraz - ku jego zdziwieniu - całkowicie normalną żoną i dziećmi. Kilkanaście lat temu przeprowadził się z rodziną z Anglii do Stanów, podobnie jak uczyniła to cała fala brytyjsko - irlandzkich „komiksowych emigrantów" (oprócz niego byli to m.in. Bisley, Moore, Morrison czy Ennis). Spytany o przyczyny popularności europejskich twórców na amerykańskim rynku odpowiada przewrotnie: „To dzięki naszym uśmiechom i optymistycznemu spojrzeniu na życie". Wraca jednak do Europy chętnie. Spodobała mu się również Polska i choć podczas jedynej na razie wizyty gościnni rodacy ukradli mu portfel, zapowiada że wróci na kolejne spotkania z fanami. Stwierdził jednak, że do swojej skórzanej czarnej kurtki, w której wszędzie się pojawia, wszyje dodatkową kieszeń...

:Kuba Demiańczuk:

komiks miesiąca



30 DNI NOCY
Niles - Templesmith
wyd. Mandragora

Album „30 dni nocy" ma zarówno swoich zagorzałych zwolenników, jak i zaciętych przeciwników, którzy twierdzą, że jest to przeciętna opowieść grozy, zaś rysunkowo nieudolnie podrabiająca komiksy Dave'a McKeana. No cóż, mi akurat komiks się podobał, nawet bardzo, co nie znaczy, że nie dostrzegam w nim kilku wad. Ale do rzeczy: w miasteczku Barrow na północy Alaski raz w roku słońce zachodzi na cały miesiąc, tworząc coś w rodzaju mini nocy polarnej. Niezwykła to okazja dla wampirów, które postanawiają skorzystać z Barrow jako darmowej restauracji, otwartej przez 30 dni bez przerwy. Odcinając wszelką łączność ludzi ze światem, gdy tylko słońce zachodzi, wampiry rozpoczynają krwawą orgię. Ostatnią nadzieją dla grupy ludzi ocalonych z rzezi jest szeryf miasta, który postawi wszystko na jedną kartę... Bardzo ciekawa to historia, inteligentnie wykorzystująca schematy opowieści grozy i... westernów (samotny szeryf kontra banda przestępców). Jeśli miałbym się czegoś czepiać, to może zbyt łatwego rozwiązania całej sytuacji, końcowe sceny - choć rozgrywają się w szybkim tempie - pozostawiają pewien niedosyt. Mam wrażenie, że można było wycisnąć z tej fabuły więcej, a może nawet pokusić o jeszcze bardziej gorzkie zakończenie. Ale akcja trzyma w napięciu, chwilami porządnie straszy, ale jej celem jest raczej utrzymanie mrocznego, chwilami przygnębiającego klimatu klasycznych opowieści o wampirach. Dodatkowym plusem komiksu jest efektowna oprawa wizualna. Rysownik rzeczywiście zapatrzony jest w twórczość McKeana (czego zresztą nie ukrywa), ale nie uważam tego za wadę, bo to wzór godny naśladowania. Poprzez swoje ekspresyjne ilustracje Templesmith skupia uwagę czytelnika na twarzach i postaciach bohaterów, do minimum ograniczając elementy tła. Dzięki temu - mimo dość nietypowych warunków, w których rozgrywa się akcja - mamy wrażenie, że ta ponura historia mogła wydarzyć się wszędzie. **(jd)**



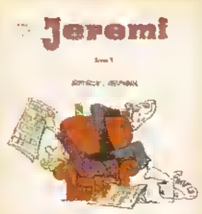
100 NABOI. STRACONE JUTRO #1
Azzarello - Risso
wyd. Mandragora

Cykl "100 naboi" to zapewne jedna z najlepszych opowieści "political fiction" z jakimi się w życiu zetknąłem. A może nawet najlepsza, bo wcale nie taka "fiction" jak by się mogło wydawać. Ludzie nadmiernie wierzący we wszelkiego rodzaju teorie spiskowe, po przeczytaniu kolejnych albumów serii pewnie wychodzą na ulicę ze strachem, że zza rogu wyłoni się agent Graves. Albo co gorsza ktoś, komu Graves wręczył teczkę z pistoletem i setką naboi, których nie można namierzyć. Ale nawet gdy poszczególne epizody odchodzą nieco od głównego nurtu historii, a tak jest w przypadku tego albumu, "100 naboi" pozostaje wciągającą, brutalną i szczerą opowieścią, znakomicie napisaną i zilustrowaną. Natomiast ten akurat zbiór ma dodatkowy silny atut w postaci bardzo interesującego i bogatego wstępu, dzięki któremu dowiecie się o serii nieco więcej. Co ciekawe ów wstęp został napisany przez uniwersyteckiego wykładowcę. Ech, kiedy wreszcie u nas komiks będzie traktowany tak jak na to zasługuje... **(jd)**



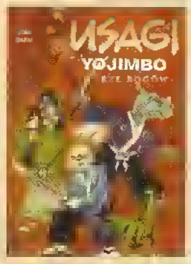
HELLBOY. PRAWA RĘKA ZNISZCZENIA
Mike Mignola
wyd. Egmont

Hellboy rządzi! Najnowszy tom przygód najlepszego agenta do spraw paranormalnych, to kolejny zbiorek krótkich historii, z których dowiecie się nieco więcej o przeszłości bohatera, a być może wyjaśni się nieco tajemnica kamiennej ręki Hellboya. Jak zwykle autor czerpie pełnymi garściami z rozmaitych podań i mitologii (tu między innymi z mitów skandynawskich i japońskich), ubarwiając swoje opowieści dynamiczną akcją i sporą ilością czarnego humoru. Genialne scenariusze, fenomenalne ilustracje (Mike Mignola to ścisła czołówka amerykańskich komiksiarzy), niezwykła atmosfera, krótko mówiąc: komiksowe arcydzieło. A jednak najbardziej rozwaliło mnie pierwsze, króciutkie opowiadanko, zatytułowane "Placuszki". Takiego Hellboya się nie zapomina! **(jd)**



JEREMI tom 1
Scott & Borgman
wyd. Egmont

Paski komiksowe to niezwykle popularny na zachodzie rodzaj prasowej rozrywki, który jakiś czas temu trafił również do nas. Nie przybrał jeszcze tak potężnych rozmiarów jak w Stanach (taki np. Garfield ukazuje się codziennie w kilku tysiącach tytułów na całym świecie), ale kilka znanych serii trafiło również na łamy naszej prasy. Wśród nich są między innymi wspomniany już Garfield, Peanuts, Hagar czy właśnie Jeremi. Tytułowy bohater to sfrustrowany nastolatek, przyszła gwiazda rocka, tymczasowo użerająca się z problemami codzienności. Takie kłopoty miał (lub ma) każdy z nas: utarczki z rodzicami, pierwsze randki, głupawe pomysły na życie. Zebrane w książeczkę paski to porcja solidnej zabawy, choć nie da się ukryć, że sporo lepszych prasowych komiksów czeka jeszcze u nas na odkrycie. Jest szansa, że w przyszłości je poznamy, "Jeremi" otwiera bowiem nowy cykl wydawniczy, zatytułowany "Strefa śmiechu" **(jd)**



USAGI YOJIMBO. OSTRZE BOGÓW
Stan Sakai
wyd. Egmont

Cykl o przygodach długouchego samuraja polecałem wam na łamach Ślizgu już niejednokrotnie, bo jest to zdecydowanie jedna z najciekawszych (i graficznie, i literacko) serii ukazujących się u nas w miarę regularnie. Tym razem jednak twórca Usagiego, Stan Sakai, przebił wszystkie wcześniejsze dokonania i stworzył dzieło kompletne. Jak zwykle akcja mocno osadzona jest w historycznych realiach feudalnej Japonii, mocno wsparta licznymi odwołaniami do legend i podań. Usagi - zupełnie przypadkowo (choć tak naprawdę to może nie był przypadek, a przeznaczenie) znajduje legendarny miecz, Pożeracza Traw, który ma przywrócić władzę prawdziwemu cesarzowi. Ale w jego posiadanie (miecza, nie cesarza) pragnie wejść zbyt wiele osób, dążących do przejęcia japońskiego tronu. Usagi znajdzie się więc w samym centrum krwawej walki o władzę, dalekiej od samurajskich kodeksów honorowych. Znakomita historia. "Ostrze bogów" to żelazny kandydat na najlepszy album wydany w tym roku w Polsce. **(jd)**

JEŻ JERZY

txt: Rafał Skarżycki gfx: Tomasz Lew Leśniak





www.jezjerzy.pl

TRIK SNOW SKATE
WARSZAWA C.H.WILEŃSKA UL.TARGOWA72 LOK.105A
TEL/FUCKS 0-22-3316375 SIEDEM DNI W TYGODNIU

dibo
RZESZÓW KOŚCIUSZKI 15

CHROM HIP HOPsklep
GDAŃSK ul.szafarnia4 ul wajdeloty10 GDYNIA ul morska11a
GDYNIA ul. świętojańska 112 KATOWICE ul.stawowa3
WARSZAWA metroRatusz box4 i box12 rondoJazdyPolskiej box19
KRAKÓW ul.sławkowska20 CHRZANÓW ul.piastowska15
CIESZYN ul.głęboka20 CZESKI CIESZYN ul.smetanowa20

MONUMENT SKATE SHOP
www.monument.pl
Lublin Krakowskie Przedmieście 30, Narutowicza 27
Częstochowa al. Najświętszej Marii Panny 31, Wolności 18

3S Surfing Snowboarding Skateboarding
UL.JANA PAWŁA II 43A W-WA

EVIL DEVIL SKATE SHOP
DĄBROWA GÓRNICZA
(32) 261 49 18
SOBIESKIEGO 15
www.wuteele.prv.pl

SKATESHOP
Al. 1 Maja 19 B
62-510 KONIN
tel./ fax 0-63 242 39 56

BAD MAD
BYDGOSZCZ GALERIA POMORSKA
GDAŃSK CENTRUM ALFA

PATROL Jeanswear
ul. Dworna 5 18-400 ŁOMŻA

ANAGRAM REAL STREET CLOTHING 13
9-300 Ełk ul. W.Polskiego 13, tel./fax (0)87 6215387, www.anagram.elk.pl

SALAMANDRA SKATE SHOP
Nowy Sącz

"C4" SKATESHOP
06-400 CIECHANÓW
UL. PL. KOŚCIUSZKI 12 A
TEL. 607-989-211

SKATE SHOP ŻURAF
ul. Noniewicza 85
16-400 Suwałki

kamuflage hip hop skate shop
WOLAPARK » WARSZAWA
ul. Górczewska 124
tel/fax 22 533 41 83
kamuflage@kamuflage.pl

Pan Krok SKATEBOARDING
GDAŃSK WRZESZCZ, PARTYZANTÓW 6/12 (C.H.BIS)
BOX 109, tel. 761-29-05
PON.-PT. 11⁰⁰-19⁰⁰ SOBOTA 11⁰⁰-15⁰⁰

www.sk8shop.pl
SK8SHOP

SKATE SHOP ZGRZYT
GRUDZIĄDZ ul. Szewska 18

Skateshop CRAZE
Olsztyn Ul. Narutowicza 1
Lidzbark Warmiński Ul.Prosta 7

PIOTRKOWSKA 44 BURAK SKATE SHOP
042 6303348

MUCHA-DOBRY SKLEP
HIP HOP & SKATE SHOP IŁAWA
648 97 41 0606 69 26 59
SOBIESKIEGO 16C (obok " Budowlanki")

skateshop SKATECITY
Opole, ul. Ozimska 14-16
DH RZEMIEŚLNIK II p.

Skate shop & hip hop
sprzedaż i dystrybucja
Piła, Śródmiejska 2
Piła, Powst.Wlkp 2
Poznań, Wielka 21
www.hip-hop.com.pl

SKATE SHOP
ul. Piastowska - D.H. "Pasaż"
66 - 470 Kostrzyn

SKATE SHOP od 1993
Warszawa, ul. Rakowiecka 9, tel. (22) 849 42 45
Poznań, ul. Wielka 11, tel. (61) 853 29 50

GLOBAL SKATESHOP

BONGO HIP-HOP SKLEP
ul. Kościuszki 17; 88-100 Inowrocław
tel. (52) 357 59 36

andegrand.pl
buty
graffiti
muzyka
ubrania
skateboard
SKLEP INTERNETOWY
WWW.ANDERGRAND.PL

Szczegółowe informacje pod telefonem
tel. 0-prefix-22 825 49 07,
e-mail: magazyn-slizg@o2.pl

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
15001777-121770066518
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3 | 6 | 12 miesięcy

17 PLN | 35 PLN | 66 PLN

opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 15001777-121770066518

W P | waluta **PLN** | kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica | nr domu | nr mieszkania

kod pocztowy | miejscowość

prenumerata: na okres | od miesiąca | numery archiwalne + koszt przesyłk

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA ODBIORCY

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
15001777-121770066518
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3 | 6 | 12 miesięcy

17 PLN | 35 PLN | 66 PLN

opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 15001777-121770066518

W P | waluta **PLN** | kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica | nr domu | nr mieszkania

kod pocztowy | miejscowość

prenumerata: na okres | od miesiąca | numery archiwalne + koszt przesyłk

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA BANKU WPŁACAJĄCEGO





Bartek Milczarek

Bartek Milczarek jest skaterem pochodzącym z Tomaszowa Mazowieckiego. Przygodę z deskorolką zaczął bardzo dawno temu. Niestety w chwili obecnej nie może uprawiać swojego ulubionego zajęcia, gdyż od kilku lat trapią go poważne kontuzje, dlatego swoją energię skierował na rozwój własnego brandu o nazwie Nervous. Od dłuższego czasu mieszka i pracuje w Łodzi.

Chcę poruszyć temat, na który już wiele pisano, lecz przedstawię go wam ja, jako Barciu the Shoper.

Sprzedawca roku - to określenie pada często od moich znajomych w formie żartu. Podoba mi się to nawet, bo widzę, że ktoś docenia to, co robię, a przecież zawsze jakaś cząstka prawdy w tym jest, he he. Zaczyna się to tak, że najpierw się jeździ na desce przez dłuższy czas, a później z reguły zaczyna pracę w skateshopie. Znam wiele takich osób. Są to znani polscy deskorolkowcy i nie tylko. Praca ta zabiera dużo czasu i czasami energii, a za coś trzeba żyć. Do tego po pracy jeszcze przydałoby się wyjść na deskę. Ja pracuję tak od czterech lat i pogodziłem się z tym dawno. Są tego plusy i minusy. Plusem jest to, że można wziąć coś na kreskę i spłacać w ratach, bądź dostać jakąś rzecz, żeby reklamować ją w pracy i nie tylko. Natomiast minusem jest to, że trzeba tam siedzieć cały dzień, kiedy w tym czasie można by postukać na deseczce. W tym momencie człowiek staje się trochę ograniczony, lecz musi pogodzić jedno z drugim.

Sprzedawanie - tu zaczyna się tłumaczenie komuś co jest co i dlaczego. Czasem takim gadaniem można zedrzeć sobie gardło, bo wytłumacz takiemu, co chce najlepszą deskę i koniec.

Znajomości - podczas tej pracy chcąc czy nie chcąc poznajesz nowych znajomych. Później spotykasz ich na ulicy i cię męczą: "A co jest w sklepie?" itd. Po dłuższym czasie masz dosyć, bo gdzie nie pójdziesz, to każdy włącza ten sam temat. Jest też dużo takich gości, co są zajarani, że znają kolesia, który pracuje w skateshopie.

Skateshopy - powstają one jak grzyby po deszczu i często są to sklepy, które posługują się tą nazwą nie mając nic wspólnego z deską. Do tego wszystkiego ludzie, którzy się tym zajmują, nie mają o tym pojęcia. Prowadzą interesy, bo usłyszeli od kogoś, że to się sprzedaje i można na tym zarobić parę groszy.

Hip-hop - moda ta na dobre zawitała na polski rynek. Wszędzie, gdzie nie spojrzysz, widzisz młodych gniewnych hip-hopowców obciętych na łyso w szerokich porach. Wiadomo! To się teraz sprzedaje, ale jest to moda, która kiedyś minie tak jak inne, a deskorolka to nie moda, lecz pasja, zwana też sportem ekstremalnym. Jeśli masz szerokie spodnie i jeździsz na desce, to pewnie słuchasz hip-hopu. Ostro mnie to wkurza, bo doszło do tego, że na każdej imprezie związanej z deskorolką jest muzyka rapowa i np. na zawodach pojawia się dużo ludzi, bo gra jakiś zespół czy dj i ludzie przychodzą na koncert tak naprawdę, a nie obejrzeć chłopaków skaczących na deskach.

Skate przemysł - na dzień dzisiejszy polski rynek jest zalany firmami rodzimej produkcji. Są to przeważnie ciuchy - bo to się sprzedaje najlepiej, buty, akcesoria i nawet deski. Kiedyś były dwie firmy na krzyż, które prowadziły ze sobą konflikt, a dziś jeden chce być lepszy od drugiego. Przez to powstało wiele firm, które niby są deskowe i zawadzają tym prawdziwym. Wszystko to posunęło się bardzo do przodu, choć Ameryki tu nie ma. Cieszy mnie to, jak widzę czasami jakieś fajne rzeczy, które są naprawdę fajnie zrobione.

Skateparki - no i tutaj zaczynają się schody, bo nie ma u nas takiego czegoś, co można nazwać skateparkiem z prawdziwego zdarzenia. No, może oprócz tego, który został zbudowany na zawody Mentora i tego w Puławach. Dziwi mnie to, że stał on rok czasu gdzieś tam pod jakimś dachem i nie można go było wykorzystać, aby służył cały rok. Wiem, że to było trochę od dupy strony zrobione, bo najpierw trzeba było znaleźć jakąś halę, a nie na odwrót. Polska jest biednym krajem i nie ma pieniędzy na nic, ale skoro skate przemysł się tak rozwinął, to dlaczego nie mamy na czym jeździć? Przecież jakby były do tego miejsca, to by się coś działo, a wtedy zwiększyłaby się liczba zainteresowanych tym sportem. Nie ma niczego lepszego od tego, jak zobaczyć coś na żywo i tak się tym zafascynować, że to coś staje się twoją pasją. Co do skateparków to przez to, że ich nie ma, to praktycznie wszyscy są tzw. murkowcami. Widząc zawody Mentora i zajebisty tor do jazdy, polscy rajderzy ślizgają się non stop po murkach, bo nie czują kątów, żeby wyskoczyć i wykonać jakiś fajny efektowny locik.

Z tym właśnie optymistycznym akcentem zwracam się do dużych kompanii, aby zaczęły budować skateparki. Na koniec, mówiąc krótko, u nas brakuje takich imprez, co by przyjechali tacy kolesie robiący kosmosy, żeby wszystkim szczęki poopadały. Polscy dystrybutorzy, pomyślcie o tym. I to jest ten ból. Miejmy nadzieję, że będzie tylko lepiej, a efektowne triki będziemy oglądać nie tylko na Extreme Channel czy na video.

.:Bartek Milczarek:.

UWAGA!
RUBRYKA AUTORSKA NIECENZUROWANA


BLACKZONE
INFO 042 656 65 10



error
CLOTHEZ
WWW.ERROR.COM.PL
ERROR CLOTHEZ
tel/fax: (042) 637 19 72
tel. kom: 0 601 303 553
0 603 199 388
e-mail: error@clothez.pl
WWW.PUNKTWIDZENIA.COM
WWW.PNS.PRV.PL
info koncerty: 0 606 264 929
0 505 656 947